THIS WORLD IS TABOO

Land on Dara? One might as well commit suicide!

Untouchable, like the Darans — that's what they'd call Calhoun if he broke the quarantine. And they'd wipe him out on sight.

But Dara needed him and that was the kind of challenge this Interstellar Med Serviceman would never dodge.

Murray Leinster

Wyklęta planeta

(This World Is Taboo)

Na podstawie wydania Ace Books.

Pierwsze wydanie jako Pariah Planet, Amazing Stories, July 1961
Wydanie magazynowe nieznacznie krótsze (wg moich wyliczeń około 2000 słów)

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

I

Mały Statek Medyczny wyszedł z hipernapędu w miejscu, w którym zarówno same gwiazdy jak i ich układ wyglądały dziwnie, a Droga Mleczna sprawiała zupełnie obce wrażenie. Co oczywiście było normalną sprawą, ponieważ w tej części galaktyki Droga Mleczna i lokalne Cefeidy, służące jako wskaźniki położenia, oglądane były pod nietypowym kątem, tworząc dziwną układankę punktów świetlnych o różnej wielkości, do której nie do końca jeszcze się przyzwyczaił.

Pomimo tego, Calhoun chrząknął z satysfakcją. Przez port widokowy widać było poznaczone pasami słońce, co było dobrą oznaką. Wyjście w odległości nie przekraczającej sześćdziesięciu godzin świetlnych od miejsca przeznaczenia, nie było złym wynikiem, zwłaszcza w tym dziwnym sektorze galaktyki i po trzech latach świetlnych podróży zupełnie na ślepo.

– Murgatroyd, wstawaj i pucuj się – zawołał Calhoun. – Bierz się za czesanie tych swoich bokobrodów. Musisz się wyszykować, żeby zadziwić tubylców!

Odpowiedział mu senny cienki, ostry głos:

– Chee!

Tormal Murgatroyd wysunął się z małej norki, która do niego należała. Zamrugał na Calhouna.

– Wkrótce będziemy lądować – zauważył Calhoun. – Zrobisz duże wrażenie na miejscowych. Ja i tak będę raczej mało popularny. Zgodnie z zapisami w rejestrach, nie było tutaj inspekcji Statku Medycznego już od dwunastu lat standardowych. A sądząc po raporcie, wtedy też praktycznie rzecz biorąc, to nie była żadna inspekcja.

– *Chee-chee*! – oznajmił Murgatroyd.

Zaczął wykonywać zwykłą toaletę, najpierw wylizując bokobrody z prawej strony, a następnie z lewej. Potem wyprostował się, otrząsnął i popatrzył z zainteresowaniem na Calhouna. *Tormale* są towarzyskimi małymi zwierzątkami. Są wręcz oczarowane, kiedy ktoś do nich coś mówi. Czują olbrzymią, głęboką satysfakcję, mogąc naśladować zachowanie ludzi, tak samo jak papugi, czy też szpaki naśladują ludzką mowę. Ale *tormale* mają również pewne wartościowe, przekazywane genetycznie talenty, które czynią ich czymś znacznie bardziej wartościowym, niż zwykłe zwierzątka domowe do towarzystwa.

Calhoun wykonał odczyt promieniowania poznaczonego pasmami słońca. To była kiepska miara odległości, jeżeli chodzi o dokładność, ale zawsze jakaś wskazówka.

– Murgatroyd, przytrzymaj się czegoś! – polecił.

Murgatroyd przyglądał się mu. Widział, że Calhoun wykonuje pewne ruchy rękoma, które zapowiadały niewygody. Wcisnął się z powrotem do

swojej norki. Calhoun przełączył dźwignię hipernapędu i Statek Medyczny mignął i wskoczył z powrotem w ten wątpliwy stan istnienia, w którym możliwe są szybkości setki tysięcy razy przekraczające prędkość światła. Uczucie wchodzenia w nadprzestrzeń było niezbyt przyjemne. Chwilę później, kolejne uczucie wychodzenia z niej, nie było wcale przyjemniejsze. Calhoun doświadczał ich dosyć często, ale nadal zdecydowanie za nimi nie przepadał.

Gwiazda Weald płonęła przed nimi w kosmosie, wielka i straszliwa. Obecnie, znajdowała się już dużo bliżej. Jej tarcza pokrywała kąt o mierze pół stopnia.

– Bardzo ładnie – ocenił Calhoun. – Naszym portem przeznaczenia jest Weald Trzy, Murgatroyd. Płaszczyzna ekliptyki będzie… Hm…

Wysunął na zewnątrz teleskop elektronowy, złapał nim pobliski jasny obiekt i powiększył jego obraz, tak by dostrzec szczegóły, i sprawdzić go w miejscowym atlasie gwiezdnym. Przez moment wyliczał niezbędne parametry. Odległość była za mała na najkrótszy nawet skok na hipernapędzie, a dostanie się tam na silnikach wykorzystywanych w obrębie systemu słonecznego, zajmie dużo czasu.

Wcisnął palcem przycisk komunikatora i powiedział do mikrofonu:

– Statek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia* zgłasza swoje przybycie i prosi o koordynaty do lądowania – oznajmił krótko i rzeczowo. – Celem lądowania jest planetarna inspekcja zdrowotna. Nasza masa wynosi pięćdziesiąt ton, standardowych. Powinniśmy znaleźć się w pozycji do lądowania, za nieco mniej niż cztery godziny. Powtarzam. Statek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia*…

Dokończył zwyczajowy drugi przekaz i czekając na odpowiedź, zrobił sobie kawę. Murgatroyd również wyszedł po kubek kawy dla siebie, Murgatroyd uwielbiał kawę. Po minucie trzymał w swojej porośniętej futerkiem łapce mały kubek i ostrożnie popijał gorący płyn.

Z komunikatora dobiegł jakiś głos.

– *Asklepios Dwadzieścia*, powtórz swoją identyfikację.

Calhoun podszedł do pulpitu sterowniczego.

– *Asklepios Dwadzieścia* – cierpliwie powtórzył, – jestem Statkiem Medycznym, wysłanym przez Międzygwiezdną Służbę Medyczną, do wykonania planetarnej inspekcji zdrowotnej na Weald. Proszę sprawdzić to u waszych władz publicznej służby zdrowia. To jest pierwsza wizyta Statku Medycznego, od dwunastu lat standardowych, co jak sądzę, jest niedopuszczalne. Ale wasze władze opieki zdrowotnej będą wszystko wiedziały o tego rodzaju sprawach. Proszę to z nimi skonsultować.

Głos wojowniczo zapytał:

– Jaki był twój ostatni port?

Calhoun wymienił nazwę planety. To nie był jego macierzysty sektor, ale Sektor Dwanaście, znalazł się w bardzo złej sytuacji. Niektóre z planet nie były wizytowane już od tak długiego czasu, jak dwadzieścia lat, a dwanaście lat pomiędzy kolejnymi inspekcjami, było rzeczą niemal powszechną. Inne sektory zostały wezwane do udzielenia pomocy w jego utrzymaniu.

Calhoun był jednym z wypożyczonych funkcjonariuszy i w alarmowym trybie otrzymał listę około sześciu planet, które należało zwizytować jedna po drugiej, zamiast po każdej wizycie meldować się z powrotem w Centrali sektora. Już wcześniej miał pewne drobne kłopoty z operatorami sieci lądowniczych w Sektorze Dwunastym.

A więc, był niesamowicie cierpliwy. Wymienił nazwę planety, którą inspekcjonował jako ostatnią i z której wystartował na Weald Trzy. Głos z komunikatora ostro kontynuował:

– A jaki był poprzedni port?

Calhoun wymienił tę przedostatnią.

– Nie zbliżaj się nawet na krok – szorstko oznajmił głos, – albo zostaniesz zniszczony!

Calhoun odparł zimno:

– Posłuchaj, mój nastroszony przyjacielu! Jestem funkcjonariuszem Międzygwiezdnej Służby Medycznej. Natychmiast skontaktuj się z władzami swojej planetarnej służby zdrowia! Przypomnij im o Międzygwiezdnym Porozumieniu o Inspekcji Medycznej, podpisanym na Tralee, dwieście czterdzieści lat standardowych temu. Przypomnij im, że jeżeli nie będą współpracować w trakcie inspekcji zdrowotnej, mogę nałożyć na waszą planetę kwarantannę, i wasz handel kosmiczny urwie się w mgnieniu oka!

Po chwili kontynuował:

– Żaden statek kosmiczny, na żadnej innej planecie w galaktyce, nie zostanie odprawiony do lotu na Weald, do chwili kiedy nie zostanie tutaj przeprowadzona inspekcja zdrowotna! Widzę, że sprawy całkiem zeszły na psy, przynajmniej jeśli chodzi o problemy tyczące Służby Medycznej tego sektora, ale wszystko to zostanie wyprostowane. A ja właśnie pomagam to wyprostować! I daję wam dwadzieścia minut, żeby to wszystko wyjaśnić. Potem schodzę na dół, a jeżeli nie uda mi się wylądować, to kwarantanna zaczyna działać natychmiast! Przekaż te informacje władzom swojej służby zdrowia!

Cisza. Calhoun rozłączył się pstrykając przełącznikiem i nalał sobie kolejną filiżankę kawy. Murgatroyd natychmiast wyciągnął swój kubek, aby go także ponownie napełnić. Calhoun zrobił mu tę przyjemność.

– Nienawidzę nakładać tej oficjalnej maski, Murgatroyd – wyznał z rozdrażnieniem, – ale niektórzy sami się o to proszą. Z reguły, staram się nigdy nie używać drogi oficjalnej, jeżeli można załatwić coś inaczej, ale kiedy trzeba, należy być bardziej oficjalnym niż urzędas, który chce oficjalnie spławić ciebie.

– *Chee*! – zgodził się Murgatroyd i popił ze swojego kubka.

Calhoun sprawdził kurs Statku Medycznego. Spokojnie pokonywał kolejne mile przestrzeni. Z komunikatora dobiegały jakieś ciche odgłosy. Słychać było nieustanne szepty, szelesty i od czasu do czasu nuty dziwnej i na swój sposób pięknej muzyki, której pochodzenie jest jak do tej pory niejasne, ale która, ponieważ przenoszona jest przez promieniowanie elektromagnetyczne o szaleńczo zmieniających się długościach fal, mało prawdopodobne aby była słynną muzyką sfer.

Po piętnastu minutach, z głośnika dobiegł zupełnie inny głos:

– Statek Medyczny *Asklepios*! Statek Medyczny *Asklepios*!

Calhoun odpowiedział, a głos oznajmił z niepokojem:

– Przepraszam za problemy, ale mamy tyle problemów z tymi błękitnoskórymi. Musimy być bardzo ostrożni! Czy będzie pan chciał u nas lądować?

– Już jestem w drodze – odparł Calhoun.

– Władze planetarnej służby zdrowia – kontynuował głos, z jeszcze większym niepokojem, – są bardzo zaniepokojone i będą w pełni współpracować. Potrzebujemy pomocy Służby Medycznej! Ci błękitnoskórzy spędzają nam sen z oczu! Czy mógłby pan podać nam nazwę ostatniego Statku Medycznego, jaki u nas lądował, nazwisko inspektora i kiedy ta inspekcja miała miejsce? Chcemy przejrzeć zapisy dotyczące tego wydarzenia, tak byśmy byli w stanie asystować panu na wszelki możliwy sposób.

– On kłamie – stwierdził Calhoun do Murgatroyda, – ale bardziej się boi, niż zachowuje wrogo.

Wyjął książkę rozkazów dla Weald Trzy. Przekazał informacje o ostatniej wizycie Statku Medycznego.

– Kim są – zadał sobie pytanie, – ci błękitnoskórzy?

Czytał oczywiście już wcześniej akta dotyczące Weald Trzy, ale teraz gdy statek mknął naprzód, przez pustkę kosmosu, przejrzał je jeszcze raz. Ostatnia inspekcja medyczna była zaledwie pobieżna. Statek Medyczny lądował na Weald dwanaście lat temu –– a nie trzy. Odbyło się kilka oficjalnych spotkań z urzędnikami odpowiedzialnymi za opiekę zdrowotną. Raport zawierał informacje o wskaźniku urodzin, wskaźniku zgonów, wskaźniku anomalii i przegląd wszystkich zgłoszonych chorób zakaźnych. Ale to było wszystko. Nie było żadnych specjalnych komentarzy, ani obrazu całości sytuacji.

Wkrótce Calhoun znalazł szukane słowo w słowniku Sektora, w którym można było znaleźć słowa o miejscowym znaczeniu i sposobie wykorzystania.

„Błękitnoskóry: Kolokwialne określenie dla osoby, która wyzdrowiała z zarazy, pozostawiającej po sobie łaty niebieskiego pigmentu, nieregularnie rozmieszczone na powierzchni całego ciała. Dotyczy w szczególności mieszkańców Dara. Powyższy stan, podobno, powodowany jest przez chroniczną, nie stwarzającą zagrożenia śmiercią, formę plagi z Dara, która również podobno nie jest zaraźliwa, aczkolwiek nie jest to informacja pewna. Etiologia plagi z Dara nie została jeszcze odkryta. Stan błękitnej skóry jest dziedziczny, ale nie jest on modyfikacją genetyczną, ponieważ jego oznaki pojawiają się w rozkładach nie-Mendlowskich."

Calhouna mocno to wszystko zaintrygowało. Nikt nie byłby w stanie przeczytać całego katalogu dotyczącego danego sektora, nawet mając nieograniczone ilości czasu do wykorzystania, jak to zwykle bywało podczas podróży między różnymi układami słonecznymi. Calhoun nawet nie próbował tego zrobić. Ale teraz przegryzł się pracowicie przez kolejne indeksy i odsyłacze, podczas gdy statek nadal kontynuował swoją podróż w stronę planety.

Nie znalazł jednak żadnych innych odniesień do błękitnoskórych. Wyszukał więc informacje o Dara. Była ona wymieniona jako zamieszkała planeta, skolonizowana jakieś czterysta lat temu, posiadająca sieć lądowniczą i, przynajmniej w czasie gdy sporządzana była główna notatka w katalogu, kwitnący handel międzygwiezdny. Do pozycji tej jednak, dodany został dopisek, ewidentnie podczas jakichś zmian edytorskich: „Od czasu plagi, do wylądowania na planecie, wymagane jest specjalne pozwolenie Służby Medycznej.

To było już wszystko. Zupełnie wszystko.

Komunikator przemówił słodziutkim tonem:

– Statek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia*! Proszę przejść na wizję!

Calhoun podszedł do pulpitu sterowniczego i przerzucił na wizję.

– No dobrze, i co teraz? – dopytywał się.

Jego ekran również się rozjaśnił. Spoglądała z niego uprzejma twarz.

– Udało nam się… hmm… zweryfikować pańskie twierdzenia – oznajmił trzeci głos z Weald. – Jeszcze tylko jedna sprawa. Czy jest pan sam na pokładzie statku?

– Oczywiście – potwierdził Calhoun, marszcząc brwi.

– Zupełnie sam? – natarczywie dopytywał się głos.

– Oczywiście! – ponownie potwierdził Calhoun.

– Żadnego innego żywego stworzenia na pokładzie? – nalegał głos.

– Ze… och! – powiedział rozdrażniony Calhoun. Zawołał przez ramię, do tyłu. – Murgatroyd! Chodź tutaj!

Murgatroyd wskoczył mu na kolana i z zainteresowaniem spoglądał na ekran. Uprzejma twarz wyraźnie się zmieniła. Głos zmienił się, nawet jeszcze bardziej.

– Bardzo dobrze! – stwierdził z satysfakcją. – Bardzo, bardzo dobrze! Błękitnoskórzy nie mają *tormali*! Jest pan rzeczywiście ze Służby Medycznej! Zapraszamy, z całego serca! Pańskie koordynaty do lądowania wynoszą…

Calhoun zapisał je sobie. Kliknięciem znowu wyłączył komunikator i warknął na Murgatroyda:

– A więc, to ja niby miałbym być błękitnoskórym, co? A ty jesteś moją przepustką, ponieważ tylko Statki Medyczne mają na pokładzie członków twojej szajki! O co tutaj u diabła chodzi, Murgatroyd? Oni zachowują się tak, jakby ktoś próbował wedrzeć się na ich planetę, z całym ładunkiem zarazków tej plagi!

Gderał tak sam do siebie, przez parę minut. Życie członka załogi Statku Medycznego nie jest w najlepszym razie żadną synekurą. Oznacza ono spędzanie długich okresów w pustce kosmosu, podczas przelotów w hiperprzestrzeni, które bezwzględnie są śmiertelnie nudne. Dwa, najwyżej trzy dni na ziemi, poświęcone kontroli oficjalnych dokumentów i statystyk. Wypełnione pytaniami o liczbę najnowszych technik medycznych jakie dotarły do tej planety i tym podobnych. Oraz na dostarczaniu informacji o tych technikach, które jeszcze nie dotarły.

Następnie start w kosmos, na kolejny długi okres nudy, aby powtórzyć cały proces w jakimś innym miejscu. Statki Medyczne przenosiły jedynie jednoosobowe załogi, ponieważ dwóch ludzi nie byłoby w stanie

wytrzymać tak bliskiego kontaktu ze sobą, bez wzajemnych sporów i waśni. Ale Statki Medyczne miały na pokładzie *tormale*, takie jak Murgatroyd, a *tormal* i człowiek, mogli przebywać w swoim towarzystwie dowolnie długo, podobnie jak człowiek i pies. To była przyjaźń wysoce nierówna, ale zdawała się sprawiać satysfakcję obu stronom.

Calhoun był bardzo zdenerwowany sposobem, w jaki Służba Medyczna działała w Sektorze Dwunastym. Był jednym z wielu ludzi, którzy pracowali, aby naprawić skutki niekompetencji w kierowaniu Służbą Medyczną tego sektora. Ale zajmowanie się poprawianiem błędów innego człowieka, zawsze jest zniechęcającym zadaniem, zwłaszcza w sytuacji kiedy jest tak wiele nowej pracy, którą trzeba się zająć.

Stan chorobowy, wskazywany przez podejrzenia operatorów sieci lądowniczej, był właśnie stosownym przykładem. Błękitnoskórzy odziedziczyli charakterystyczną plamiastą pigmentację skóry po swoich przodkach, którzy przeżyli plagę. Weald ewidentnie utrzymywał przeciwko nim kwarantannę całej planety. Ale kwarantanna jest normalnym środkiem zapobiegawczym tylko w przypadkach alarmowych. Służba Medyczna powinna zabrać się do roboty, zlikwidować potrzebę jej utrzymywania, a następnie ją znieść. To najwyraźniej nie zostało zrobione.

Calhoun wściekał się sam na siebie.

Planeta Weald Trzy robiła się coraz bardziej jasna, aż w końcu zmieniła się w dysk. Na jej tarczy widać było czapy polarne i rozsądny stosunek powierzchni lądów do wód. Statek hamował, głosy z dołu potwierdzały obserwacje kolejnych punktów trajektorii lotu, aż w końcu niewielki statek zatrzymał się w odległości pięciu średnic planety od jej powierzchni. Pole siłowe sieci lądowniczej zamknęło się wokół niego, i rozpoczęło się powolne sprowadzanie na dół.

Przeżycia podczas lądowania były we wszystkich punktach, znajome aż do bólu, począwszy od błękitnej otoczki, jaka pojawiła się wokół planety po osiągnięciu wysokości jednej średnicy, do osobliwego płynnego rozchodzenia się na boki cech charakterystycznych powierzchni, w miarę jak statek schodził coraz niżej. Następnie pojawiła się kolista sieć lądownicza, strzelająca w górę na wysokość niemal mili. Była ona w stanie sprowadzać na dół nawet międzygwiezdne liniowce, oraz wynosić je z powrotem w próżnię kosmiczną, w bardzo ekonomiczny sposób i z dużą wygodą dla wszystkich.

Pola sieci posadziły Statek Medyczny w jej samym środku, i natychmiast pojawiła się gromada oficjeli, aby go przywitać. Z góry był w stanie przewidzieć przebieg tej rutynowej części swojej wizyty. Trzeba będzie odbyć rozmowę z głównym zarządcą planety, czy jak tam on się tutaj nazywa. Z pewnością będzie jakiś bankiet. Murgatroyd będzie głaskany i pieszczony dosłownie przez wszystkich. Potem całe mnóstwo bolesnych wysiłków, aby zrobić na Calhounie wrażenie, wspaniałym stanem spraw, w opiece zdrowotnej na Weald. Opowiedzą mu o wielu skandalach towarzyskich.

Być może gdzieniegdzie spotka paru ludzi, którzy z pasją pracują nad poprawą jakości życia swoich bliźnich, poprzez szukanie sposobów na utrzymaniu ich przy zdrowiu, a jeżeli już im to się nie uda i zachorują, to

przez szukanie sposobów przywrócenia ich do zdrowia. A po dwóch, trzech dniach, Calhoun zostanie odprowadzony z powrotem do sieci lądowniczej, i wyniesiony przez nią w kosmos, w którym będzie musiał spędzić kolejne długie, puste dni, lecąc na hipernapędzie, aby wylądować gdzieś indziej, gdzie cała zabawa zacznie się od nowa.

I wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak tego oczekiwał, z jednym wyjątkiem. Każda istota ludzka, jaką poznał na Weald, chciała z nim rozmawiać na temat błękitnoskórych. Błękitnoskórzy i koncepcja błękitnej skóry, była obsesją dosłownie wszystkich. Calhoun słuchał, nie zadając żadnych pytań, dopóki nie miał w głowie pełnego obrazu tego, czym błękitnoskórzy stali się dla ludzi, którzy z nim rozmawiali. Wtedy zdawał już sobie sprawę, że chaotyczne zadawanie pytań na chybił trafił, nie przyniesie mu żadnego pożytku.

Nikt nie wspominał, aby kiedykolwiek widział błekitnoskórego na oczy. Nikt nawet nie wspominał, aby błękitnoskórzy mieli jakikolwiek możliwy do zdefiniowania udział, w jakimkolwiek określonym wydarzeniu. Ale każdy bał się błękitnoskórych. To był wzorcowy przypadek wpojonej i napędzanej przez otoczenie manii prześladowczej. Znajdowała ona swój wyraz we wstrząsających doniesieniach o straszliwej niegodziwości, zdeprawowaniu i potworności błękitnoskórych mieszkańców Dara, przed którymi Weald musi być chroniony za wszelką cenę.

To wszystko nie miało sensu. Tak więc Calhoun wysłuchiwał tego uprzejmie, dopóki nie spotkał pewnego szeregowego pracownika służby zdrowia, który potrzebował od niego dosyć specjalistycznych informacji na temat selekcji genów, praktykowanej niemal w połowie galaktyki. Zaprosił tego człowieka na pokład Statku Medycznego, gdzie dostarczył mu dane, które do tej pory nie były dla niego dostępne. Widział jak oczy jego gościa lekko się rozjaśniły tą charakterystyczną radosną wdzięcznością człowieka, dowiadującego się rzeczy, które już od dawna i straszliwie mocno pragnął poznać.

– Czy mógłby pan – spytał Calhoun, – o czymś mi teraz powiedzieć? Dlaczego wszyscy na tej planecie nienawidzą mieszkańców Dara? Planeta jest całe lata świetlne stąd. Nikt nie twierdzi, aby osobiście w jakikolwiek sposób, coś przez nich ucierpiał. Dlaczego uczyniliście z nienawiści do nich tak istotną zasadę?

Wealdiański lekarz zrobił kwaśną minę.

– Mają niebieskie łaty na skórze. Są odmienni od nas. Tak więc mogą zostać przedstawieni jako zagrożenie, a nasze partie polityczne mogą zrobić ich tematem kampanii wyborczej i konkurować między sobą o przywilej obrony nas przed nimi. Kiedyś, na Dara mieli zarazę. Oskarżani są o ciągłe utrzymywanie jej w gotowości do eksportu.

– Hm – stwierdził Calhoun. – Tak więc cała ta historia polega na tym, że oni chcą przenieść zarazę tutaj, tak? Czy nikt… – jego głos przybrał sardoniczny ton, – czy nikt czasami nie wspomina, że należałoby ich powystrzelać, dla zachowania czystości?

– Tak…k…k – opornie przyznał lekarz. – Wspomina się o tym w mowach politycznych.

– Ale w jaki sposób jest to racjonalizowane? – dopytywał się Calhoun. – Jakie argumenty wysuwa się, aby uzasadnić tezę, że łaty z pigmentu pociągają za sobą moralną i fizyczną degradację, z którą, jak nieustannie jestem zapewniany, mamy tutaj do czynienia?

– Już w szkołach publicznych – odparł lekarz, – uczy się dzieci, że błękitnoskórzy są obecnie nosicielami choroby, którą przeżyli ich przodkowie –– trzy pokolenia temu! Że nienawidzą oni wszystkich, którzy nie mają błękitnej skóry. Ze nieustannie knują i spiskują, aby sprowadzić swoją zarazę tutaj, tak by większość z nas umarła, a reszta stała się błękitnoskórymi. To wszystko wykracza poza racjonalne myślenie. To nie może być prawdą, ale poddawanie tego w wątpliwość, nie jest bezpieczne.

– Kiepsko to wszystko wygląda – zimno stwierdził Calhoun. – Sprawy tego rodzaju, zwykle w końcu zaczynają kosztować życie ludzkie. To może prowadzić do masakry!

– Być może już doprowadziło, w pewnym sensie – przyznał nieszczęśliwym tonem lekarz. – Nikt nie lubi o tym myśleć. – Przerwał na chwilę. – Dwadzieścia lat temu, na Dara wybuchła klęska głodu. Mieli nieurodzaj zbiorów. Sytuacja musiała być naprawdę zła bo zbudowali statek kosmiczny.

Po chwili podjął temat.

– Normalnie tego typu pojazdy są dla nich bezużyteczne, ponieważ żadna z pobliskich planet nie chce robić z nimi interesów, ani nawet nie pozwala im na lądowanie. Ale jednak zbudowali statek kosmiczny i przylecieli tutaj. Weszli na orbitę wokół Weald. Prosili o możliwość handlu, aby zdobyć ładunek żywności. Oferowali każdą cenę w metalach ciężkich – – złocie, platynie, irydzie, i tym podobnych. Rozmawiali z orbity przy pomocy komunikatorów wizyjnych. Można było zobaczyć, że to błękitnoskórzy. Może pan się domyślić, co się stało!

– Niech pan mi to powie – odparł Calhoun.

– W pośpiechu uzbrojone zostały statki – przyznał lekarz. – Ścigaliśmy ich przez całą drogę z powrotem na Dara. Opanowaliśmy przestrzeń kosmiczną wokół planety. Powiedzieliśmy im, że wypalimy ich świat od jednego bieguna do drugiego, jeżeli kiedykolwiek ośmielą się wystartować ponownie w kosmos. Kazaliśmy im zniszczyć ich jedyny statek, i obserwowaliśmy jak to robią na ekranach wizyjnych.

– Ale daliście im żywność?

– Nie – ze wstydem przyznał lekarz. – przecież to byli błękitnoskórzy.

– Jak duża była klęska głodu?

– Kto to wie? Z głodu mogła umrzeć dowolna liczba ludzi. A my przez całe lata utrzymywaliśmy na ich niebie szwadron uzbrojonych statków. Aby powstrzymać ich przed roznoszeniem zarazy, jak twierdziliśmy. A niektórzy z nas uwierzyli w to!

Głos lekarza wręcz ociekał ironią.

– Ostatnio – powiedział, – w naszym rządzie nastąpiło przesunięcie zainteresowania na sprawy ekonomiczne. Jednocześnie zaczęliśmy uprawiać szereg superwydajnych roślin. Rząd musiał skupować nadwyżkę ziarna, aby utrzymać ceny na określonym poziomie. Zdemobilizowane statki patrolowe, zbudowane aby utrzymywać straż nad Dara, zostały

wykorzystane jako kosmiczne magazyny. Wypełniliśmy je po brzegi ziarnem i wysłaliśmy na orbitę. Znajdują się tam do dzisiaj, setki tysięcy, a nawet miliony ton ziarna!

– A Dara?

Lekarz wzruszył ramionami. Wstał z krzesła.

– Nasza nienawiść do Dara – stwierdził, ponownie ironicznie, – dała w efekcie przynajmniej jeden skutek. Mniej więcej w połowie drogi pomiędzy nami i Dara, znajduje się system słoneczny z dwiema planetami, Orede. Zaproponowano, żeby zbudować tam posterunek Weald, do obrony przeciwko błękitnoskórym. Plan polegał na przetransportowaniu tam bydła, żeby żyło dziko i rozmnażało się, stwarzając kolonistom warunki do osiedlenia się na planecie.

Wzruszył ramionami.

– Tak też zrobiono, ale nikt nie chciał przenieść się bliżej do błękitnoskórych! Tak więc Orede pozostawało niezamieszkałe, dopóki jedna z wypraw myśliwskich, polująca na dzikie bydło nie znalazła na planecie powierzchniowych złóż rud metali ciężkich. Tak więc obecnie znajduje się tam kopalnia. I to wszystko. Kilkuset ludzi pracuje w kopalni za bajecznie wysokie płace. Może zostać pan poproszony, aby sprawdzić stan ich zdrowia. Ale nie na Dara!

– Rozumiem – powiedział Calhoun, marszcząc brwi.

Lekarz ruszył w stronę włazy wyjściowego ze Statku Medycznego.

– Odpowiedziałem na pańskie pytania – ponuro oznajmił. – Ale gdybym komuś innemu powiedział to, co powiedziałem panu, miałbym szczęście gdyby skończyło się to tylko moim wygnaniem!

– Nikomu pana nie wydam – obiecał Calhoun. Nie uśmiechał się przy tym.

Kiedy lekarz wyszedł, Calhoun oznajmił zdecydowanie:

– Murgatroyd, powinieneś być wdzięczny losowi, że jesteś *tormalem*, a nie człowiekiem. Faktu bycia *tormalem*, nie musisz przynajmniej się wstydzić!

Potem z ponurą miną zaczął zmieniać swój ubiór na galowy uniform Służby Medycznej. Udawał się na bankiet, podczas którego będzie musiał siedzieć obok głównego zarządcy i wysłuchiwać niezliczonych przemów o chwale i splendorze Weald. Calhoun miał co prawda jako funkcjonariusz Służby Medycznej, własną, ściśle profesjonalną opinię, na temat ostatnich i najbardziej wychwalanych osiągnięć tej planety. Ich przykładem było przykryte kopułą miasto w regionach polarnych, w którym żaden z mieszkańców nie mógł wyjść na dwór.

Nie budziły u niego również, dużego zawodowego entuzjazmu ruchome taśmociągi na ulicach, a kwestia transmisji sennych, wykorzystujących hipnotyczne, wywołujące określony sen rytmy, dostarczane wszystkim którzy chcieli ich słuchać, w ogóle nie spotkała się z jego aprobatą. Ceną ich stosowania była konieczność wysłuchiwania podczas snu reklam

produktów komercyjnych, tak że ludzie po obudzeniu mogli wierzyć bez zastrzeżeń w ich wspaniałe zalety.

Calhoun nie przybył tutaj jednak aby krytykować miejscowych, przynajmniej w sprawach, w których można było tego uniknąć. Służba Medyczna w Sektorze Dwanaście była równie fatalnie zarządzana. Tak więc na bankiecie, Calhoun wygłosił jedynie krótkie i dyplomatyczne przemówienie, w którym z zapałem chwalił wszystko to, co można było pochwalić, a o reszcie po prostu nie wspominał.

Główny zarządca poszedł w jego ślady. Jako szef rządu, powiedział kilka miłych zdań pod adresem Służby Medycznej. Potem jednak głównie podbudowywał dumę swoich słuchaczy, z rozkwitu cywilizacyjnego, wspaniałego rozwoju opieki zdrowotnej, i nadzwyczajnej pomyślności planety, jakie miały miejsce odkąd władzę przejęła jego partia. I to wszystko, jak stwierdził, pomimo nieustannej potrzeby trzymania straży przeciwko największemu i najbardziej bezpośredniemu niebezpieczeństwu, na jakie nie była wystawiona żadna inna z planet galaktyki.

Chodziło mu oczywiście o błękitnoskórych. Nie musiał przecież mówić mieszkańcom Weald, jaką niezwykłą czujność i jakie nieustanne baczenie, należało zachować przeciwko rasie zdeprawowanych i wrogich dewiantów, odszczepieńców od normy ludzkości. Ale Weald, jak oznajmił z patosem, wysoko dzierży pochodnię całej rasy ludzkiej oraz tego co jest dla niej najdroższe i najcenniejsze, nie tylko broniąc życia swoich obywateli przeciwko błękitnoskórej zarazie, także najszlachetniejszych ideałów ludzkości przez niebieską trucizną.

Kiedy w końcu usiadł, Calhoun spytał go z nienaganną uprzejmością:

– Wydaje się, że pewnego dnia, praktycznym rozwiązaniem politycznym, mogłoby okazać się wybicie wszystkich błękitnoskórych. Czy myślał pan już o tym?

Główny zarządca odparł bez zmrużenia oka:

– Takie idee były już proponowane. Nakłanianie do tego jest dobrym pomysłem na politykę, ale przeprowadzenie takiego planu, byłoby nierozsądne. Ludzie głosują przeciwko błękitnoskórym. Jeżeli zetrze się ich z powierzchni planety, to co dalej?

Calhoun zazgrzytał zębami –– po cichu.

Dalej nastąpiły kolejne przemówienia. W ich trakcie przybył posłaniec o bladej twarzy, przenosząc pisemną wiadomość dla głównego zarządcy. Ten przeczytał ją i wręczył Calhounowi. Była z Ministerstwa Zdrowia. Port kosmiczny zgłosił przybycie statku kosmicznego, który właśnie wyszedł z nadprzestrzeni w obrębie systemu słonecznego Weald. Jego nadajnik automatycznie odtwarzał z taśmy informację o przylocie statku z górniczej planety Orede.

Ale po przesłaniu tego automatycznego sygnału statek pozostawał w kosmosie jak martwy. Nie poleciał w stronę Weald. Nie odpowiadał na żadne sygnały. Dryfował jak wrak, nie trzymając się żadnego kursu. Wszystko to wyglądało dosyć złowieszczo, a ponieważ statek przyleciał z Orede, planety najbliższej, do należącej do błękitnoskórych Dara, minister zdrowia polecił poinformować o sytuacji głównego zarządcę planety.

– To na pewno błękitnoskórzy – oznajmił pewnie szczwany lis. – Są najbliższymi sąsiadami Orede. Oto, kto jest temu winien. Nie byłoby dla mnie specjalną niespodzianką, gdyby zarazili Orede swoją plagą, a ten statek przyleciał stamtąd, aby przekazać nam ostrzeżenie!

– Nie ma żadnego dowodu, na tego rodzaju twierdzenia – zaprotestował Calhoun. – Wiemy tylko, że statek wyszedł z nadprzestrzeni i nie wysyła kolejnych sygnałów. To wszystko.

– Zobaczymy – złowieszczym tonem stwierdził główny zarządca. – Jedziemy do portu kosmicznego. Tam będziemy mieli wiadomości od razu, jak tylko się pojawią, a więc będzie można oprzeć dalsze rozkazy na najświeższych informacjach.

Wziął Calhouna pod rękę. Calhoun ostrym tonem polecił:

– Murgatroyd!

W trakcie bankietu, Murgatroyd spędzał czas z żonami najważniejszych oficjeli. Miały one już dość swoich mężów w normalnej sytuacji, kiedy nie musiały wysłuchiwać ich oficjalnych przemówień. Murgatroyd był więc cały czas noszony na rękach, a jego mały brzuszek zaokrąglił się od ciasteczek, kawy i innych tego rodzaju delikatesów, którymi był nachalnie napychany. Zrobił się już bardzo śpiący, z przejedzenia i od nadmiernego pieszczenia, ale ucieszył się, kiedy zobaczył Calhouna.

Calhoun trzymał małe stworzonko w ramionach, podczas gdy urzędowy samochód pędził, przebijając się przez ruch uliczny, z wyciem syren oznajmiających prawo do wolnego przejazdu. Wkrótce dotarł do portu kosmicznego, gdzie olbrzymie metalowe belki formowały monstrualną ramę kratownicy sieci, rozpościerającą się na tle rozgwieżdżonego nieba. Główny zarządca dostojnie wkroczył do biur portu kosmicznego. Nie było żadnych nowych informacji. Sytuacja pozostawała bez zmian.

Statek z Orede wyszedł z hipernapędu i bezwładnie dryfował w próżni. Nie odpowiadał na wywołania. Nie przemieszczał się w przestrzeni kosmicznej. Dryfował w dziwny sposób, nie poruszając się po żadnej orbicie, donikąd nie lecąc, nic nie robiąc. Konsekwencją tego wszystkiego, była narastająca panika.

Calhounowi wydawało się, że oficjalne postępowanie w tej sprawie, jeszcze zwiększało strach ludzi, który jak czuł, wzmagał się coraz bardziej. Po całej planecie krążyły niczym nie skomentowane urywki wiadomości. Pomiędzy wszystkimi mieszkańcami Weald, nie było ani jednej osoby, która by nie wierzyła, że w przestworzach pojawiło się nowe zagrożenie. Nikt nie wątpił, że pochodziło ono od błękitnoskórych. Oddziaływanie przekazywanych wiadomości było precyzyjnie obliczone, na podtrzymywanie nienawiści Weald do mieszkańców planety Dara.

Calhoun zostawił Murgatroyda w Statku Medycznym i wrócił do biura portu kosmicznego. W górę posłano już małą wartowniczą łódź kosmiczną, zbudowaną do przeprowadzania od czasu do czasu, inspekcji krążących na orbicie statków ze zbożem. Sieć lądownicza wyniosła ją szybko w kosmos, pokonując większość drogi do celu. Teraz leciała już sama, pewnie zmierzając w kierunku zagadkowego statku.

Calhoun nie brał udziału w ożywionych spotkaniach, jakie miały miejsce w porcie kosmicznym, pomiędzy urzędnikami i reporterami

wiadomości. Ale przysłuchiwał się wszystkim rozmowom na interesujący go temat. W miarę jak mały stateczek badawczy zbliżał się coraz bardziej do milczącego jak głaz statku towarowego, domysły na temat przyczyn jego pojawienia się i późniejszego milczenia, stawały się coraz bardziej rozbuchane.

W osobliwy jednak sposób, nie było ani jednej sugestii, że ta tajemnicza sprawa może nie być robotą błękitnoskórych. Błękitnoskórzy stali się kozłami ofiarnymi dla wszystkich lęków i nerwów tej być może nieco przecywilizowanej planety.

Wkrótce badająca całe wydarzenie łódź kosmiczna dotarła do tajemniczego statku i okrążyła go, nadając seryjnie komunikaty z pytaniami. Bez odpowiedzi. Stwierdzono, że statek towarowy jest zupełnie ciemny. Nigdzie nie było widać żadnego światła, ani na kadłubie, ani w jego wnętrzu. Nie było śladów energii, prądów indukcyjnych ani pulsacji, generowanych nawet przez pracujące na jałowym biegu silniki. Delikatnie manewrując, statek zwiadowczy dotknął milczącego transportowca. Złożył meldunek, ze mikrofony nie wykryły żadnego ruchu w środku, nigdzie.

– Niech jakiś ochotnik przejdzie na pokład – polecił główny zarządca. – Każcie mu natychmiast meldować, co tam znajdzie.

Przerwa. Potem z bardzo, bardzo daleka, nadeszło uroczyste ogłoszenie nazwiska nieustraszonego ochotnika. Calhoun słuchając tego wszystkiego, ponuro zmarszczył brwi. Ten pompatyczny akt heroizmu, w Służbie Medycznej nie byłby nawet zauważony. To byłoby rutynowe zachowanie.

Pełne niepokoju, drobiazgowe relacje sekunda-po-sekundzie. Ochotnik przeleciał pustą przestrzeń pomiędzy dwoma, ponownie teraz rozdzielonymi statkami. Otworzył z zewnątrz śluzę powietrzną. Zniknął w jej wnętrzu. Zamknął zewnętrzne wrota śluzy. Otworzył wewnętrzne. Zameldował…

Przekazywane przez niego sprawozdanie, było niemal niespójne, z powodu grozy, niedowierzania i poczucia nieuniknionej zagłady, jakie zwaliły się na ochotnika. Statek był masowcem, do przewozu ładunków rudy metali ciężkich, zbudowanym do lotów pomiędzy Orede i Weald i transportu surowców, przy minimalnej załodze, nie więcej niż pięciu ludzi. W jego ładowaniach, w obecnej chwili, jednak nie było ładunku.

Zamiast niego, znajdowali się w nich ludzie. Byli na statku wręcz upchani. Przewożeni byli nawet na korytarzach. Wypełniali dosłownie wszystkie wolne miejsca, wciskając się wszędzie gdzie tylko znalazło się dostatecznie dużo przestrzeni, by zdołał zmieścić się człowiek. Były ich całe setki. To był kompletny obłęd. Ale mimo wszystko znacznie większym szaleństwem wydawało się, że statek w ogóle wystartował z tak bezsensownym ładunkiem żywych istot.

Teraz jednak wszyscy już nie żyli. Aparatura tlenowa była zaprojektowana na pięciu członków załogi. Byłaby pewnie w stanie oczyszczać powietrze dla dwudziestu ludzi, może nieco więcej. Ale kiedy transportowiec startował z Orede, na statku znajdowały się setki ludzi. Było ich wiele, wiele razy więcej, niż mogła obsłużyć aparatura powietrzna

jaką mieli, nawet biorąc pod uwagę zbiorniki rezerwowe. W trakcie lotu z Orede na Weald, nie było nawet możliwości ich wykarmienia.

Oni jednak nie umarli z głodu. Brak powietrza zabił ich, zanim jeszcze statek wyszedł z hipernapędu.

Istotną sprawą było to, że w dzienniku statku nie zapisano żadnej informacji, która dotyczyłaby jego startu. Nie było żadnego wpisu, o zabraniu na pokład takiej nieprawdopodobnej liczby pasażerów.

– To zrobili błękitnoskórzy – stwierdził główny zarządca Weald. Był zupełnie blady. Wszyscy ludzie otaczający Calhouna, wyglądali na chorych, wstrząśniętych i przerażonych. – To byli błękitnoskórzy! Musimy dać im nauczkę! – Potem zwrócił się do Calhouna. – Ten ochotnik, który wszedł na statek… on będzie musiał tam pozostać, tak? Nie można sprowadzić go na Weald, nie ściągając zarazy razem z nim.

Calhoun wściekł się na niego.

II

Kiedy następnego dnia rankiem Statek Medyczny odlatywał z Weald, w sposobie traktowania go przez pracowników portu kosmicznego, dawało się wyczuć pewien chłód. Calhoun nie był specjalnie popularny, ponieważ Weald wystraszyła się. Ludzie już wcześniej zostali silnie uwarunkowani do tego, by można było ich łatwo wystraszyć, wszystkim w co mogli być wmieszani błękitnoskórzy. Już dzieci były uczone, aby gwałtownie reagować na samo słowo błękitnoskóry, jeżeli tylko padło ono w ich obecności, a dorośli przywykli do jego używania, kiedy cokolwiek denerwującego pojawiło się w ich myślach. Tak więc zwyczaj irracjonalnej reakcji na błękitnoskórych uformował się na planetarną skalę, i nie był już uważany za irracjonalny, ponieważ niemal każdy mu hołdował.

Ochotnik, który odkrył tragedię jaka wydarzyła się na statku z Orede, jednak był bezpieczny. Dokonał całkiem sumiennego przeglądu statku, na który poleciał na ochotnika. Pomimo swojej odwagi byłby skazany na śmierć, gdyby nie Calhoun.

W reakcji jego czyn, współrodacy ocenili że wchodząc na statek, mógł również zostać skażony plagą błękitnoskórych, przez ciągle tam obecny materiał zakaźny, *ponieważ* ludzie na statku zostali nim zarażeni (pomimo tego, że z pewnością nie umarli na to), *ponieważ* na Orede pojawili się błękitnoskórzy aby go rozsiewać (na co nie było żadnych dowodów) oraz *ponieważ* to błękitnoskórzy byli odpowiedzialni za tę całą tragedię. Co jak do tej pory było czystą supozycją. Ale Weald obawiała się, że może sprowadzić ze sobą śmierć, jeżeli pozwoli mu się na powrót na planetę.

Calhoun uratował mu życie. Polecił, aby załoga statku wartowniczego pozwoliła temu człowiekowi na wejście do śluzy powietrznej, która miała zostać wypełniona gorącą parą wodną z chlorem. Takie połączenie powinno wysterylizować, a nawet częściowo nadtrawić jego skafander kosmiczny, po czym para i chlor miały zostać wyrzucone w przestrzeń kosmiczną, a do środka śluzy wpuszczone powietrze ze statku.

Następnie miał rozebrać się ze skafandra kosmicznego, nie dotykając jego zewnętrznej powierzchni i wejść na pokład statku, podczas gdy jego strój zostałby wyrzucony na zewnątrz przez innego człowieka w skafandrze, przy pomocy drążka, który powędrowałby jego śladem. Dzięki tym środkom ostrożności, nie było możliwe aby jakiekolwiek skażenie zostało przywiezione z powrotem na planetę.

Calhoun miał zupełną rację, ale na Weald generalnie uważano, że namówił rząd do podjęcia nierozsądnego ryzyka.

Były jeszcze inne powody dezaprobaty jaka go otoczyła. Calhoun wykazywał nieprzyjemną szczerość. Przybycie statku śmierci rozwścieczyło do szaleństwa tych ludzi, którzy uważali, że wszyscy błękitnoskórzy

powinni zostać eksterminowani, i że będzie to czyn całkowicie usprawiedliwiony. Pojawiali się niemal na każdym ekranie, przytaczając nie tylko sprawę statku z Orede, ale również inne incydenty, które interpretowali jako zbrodnie przeciwko Weald.

Domagali się, aby wszystkie reaktory atomowe na Weald, zostały zmodyfikowane do produkcji materiału na bomby fuzyjne, a jednocześnie flota została przygotowana do anty-błękitnoskórej krucjaty. Z zadufaniem żądali spuszczenia na Dara takiego deszczu bomb fuzyjnych, żeby na planecie błękitnoskórych nie pozostał przy życiu żaden błękitnoskóry, żadne zwierzę, najdrobniejszy nawet ślad roślinności, czy też żadna ryba w najgłębszym oceanie, a nawet żadna żywa komórka wirusowa.

Jeden z tych porywczych oratorów nawet zapewniał, że sam Calhoun zgodził się z tym, że nie jest możliwy żaden inny sposób postępowania, występując oficjalnie w imieniu Międzygwiezdnej Służby Medycznej. Słysząc to Calhoun z furią zażądał możliwości zaprzeczenia temu w audycji telewizyjnej, w której wygłosił gorzkie i niezbyt roztropne przemówienie, z którego widownia na planetarną skalę, mogła wywnioskować, że ma ich wszystkich za głupców.

I miał.

Tak więc, kiedy statek startował z Weald, stał się człowiekiem zdecydowanie niepopularnym. Szorstko określił jako cel swojej podróży Orede, skąd przybył statek śmierci. Sieć lądownicza zamknęła się wokół nich, wynosząc mały statek do góry, na wysokość z której Weald widoczna była jako położona pod nimi wielka, lśniąca kula. Wtedy, jakoś pogardliwie wyrzuciła ich ze swego uścisku. Statek Medyczny był wolny, w pustej przestrzeni, w miejscu gdzie pole grawitacyjne nie było już tak silne, by uniemożliwić wejście w hipernapęd.

Calhoun ustawił punkt docelowy ich podróży, z bardzo ponurym wyrazem twarzy. Gwałtownie oznajmił:

– Trzymaj się, Murgatroyd! Wchodzimy w hiperprzestrzeń!

Nacisnął palcem przycisk hipernapędu. Pełen gwiazd wszechświat zniknął, a równocześnie każde żywe stworzenie na statku, poczuło zwykłe wrażenie zawrotu głowy, mdłości i spadania po spirali w nicość. Potem zapanowała kompletna cisza.

Statek Medyczny w rzeczywistości poruszał się w tempie, które było niesamowicie wiele razy większe od prędkości światła, ale wydawał się spoczywać w miejscu, nieruchomo jak skała. Na statku lecącym na hipernapędzie, czuje się mniej więcej to samo, co w przypadku zakopania gdzieś głęboko, w samym jądrze planety. Nie ma żadnych drgań. Nie ma oznak niczego, poza uczuciem otoczenia przez coś stałego, a jeżeli ktoś wyjrzałby przez port widokowy, mógłby zobaczyć wyłącznie całkowitą ciemność. Dochodził do tego absolutny brak dźwięków, powodujący ból bębenków w uszach.

Po kilku sekundach, rozpoczęła się jednak emisja losowo dobranych odgłosów dźwiękowych. Odtwarzane były one z taśmy, i przekazywane przez specjalne głośniki, tak aby zakłócić panującą na statku grobową ciszę. Na taśmie znajdowały się, nagrane wcześniej, króciutkie trzaski, nic

nie znaczące szumy, i bardzo cichutkie odgłosy najróżniejszego rodzaju, wszystkie tuż powyżej progu słyszalności.

Calhoun martwił się. Sektor Dwanaście był naprawdę w bardzo złym stanie. Sumienny funkcjonariusz Służby Medycznej nigdy by nie pominął w swoim raporcie z Weald, kwestii błękitnoskórej obsesji. Zdrowie nie jest tylko kwestią stanu fizycznego. Jest jeszcze sprawa zdrowia psychicznego. Kiedy zdrowie psychiczne szwankuje, cywilizacja może ulec zniszczeniu z jeszcze większą pewnością i w bardziej straszliwy sposób, niż w przypadku jakiejkolwiek możliwej do wyobrażenia broni biologicznej czy zarazy. Zaraza zabija tych, którzy są na nią podatni, pozostawiając odpornych przy życiu, tak by mogli z powrotem odbudować swój świat. Ale kiedy jakąś populację wyniszcza masowa neuroza, to właśnie odporni giną jako pierwsi.

Weald był zdecydowanie planetą, którą musiała zająć się Służba Medyczna. Kolejną była Dara. A kiedy setki ludzi tłoczą się na siłę w statku transportowym, który nie jest w stanie dostarczyć im wystarczającej ilości tlenu do oddychania, a następnie startują nim i wchodzą w hipernapęd zanim zawiedzie system powietrzny… Orede dawało nie mniej powodów do zmartwienia.

– Wydaje mi się – ponuro stwierdził Calhoun, – że czas na filiżankę kawy.

Kawa należała do tych słów, które Murgatroyd rozpoznawał natychmiast. Zazwyczaj usłyszawszy je, ruszał natychmiast i obserwował ekspres do kawy, rozjaśnionymi z zainteresowania oczyma. Próbował nawet naśladować ruchy, jakie wykonywał przy nim Calhoun, i kiedyś robiąc to, poparzył sobie łapki. Tym razem jednak, nawet się nie poruszył.

Calhoun odwrócił głowę w jego stronę. Murgatroyd siedział na podłodze, owinąwszy refleksyjnie swój długi ogon wokół nogi krzesła. Przyglądał się drzwiom do kabiny sypialnej Statku Medycznego.

– Murgatroyd – zwrócił mu uwagę Calhoun. – Ja mówiłem o kawie!

– *Chee* – pisnął w odpowiedzi Murgatroyd.

Nadal jednak przypatrywał się drzwiom. W tamtej kabinie, utrzymywana była niższa temperatura, a jej wystrój wyglądał nieco inaczej niż przedziału sterowniczego. Różnica ta stanowiła część środków, przy pomocy których człowiek był w stanie znieść wielotygodniową samotność –– samotność, nie licząc towarzyszącego mu *tormala* –– nie wpadając w jej wyniku w obsesję na punkcie statku.

Na statku znajdowały się jeszcze inne dobrze przemyślane elementy, służące tym samym celom. Żaden z nich nie powinien jednak powodować u Murgatroyda takiego zaciekawienia i nieustannego zafascynowanego wpatrywania się w drzwi kabiny sypialnej. A zwłaszcza nie wtedy, kiedy przygotowywała się kawa!

Calhoun zaczął się zastanawiać. W jego głowie natychmiast pojawiło się pewne podejrzenie, które wywołało w nim falę gniewu. Jako funkcjonariusz Służby Medycznej, z obowiązku musiał być bezstronny. A bezstronność w tym przypadku, mogła oznaczać, że nie stanie całkowicie po stronie Weald, we wrogości tej planety w stosunku do błękitnoskórych.

A mieszkańcy Weald odmówili Dara pomocy w czasie głodu, i blokowali jeszcze potem tę wyklętą planetę, przez wiele kolejnych lat. Znaleźli sobie szereg innych powodów do tego, by nienawidzić ludzi, których tak źle potraktowali. Dla niektórych fanatyków na Weald, całkowicie rozsądnym mógłby się wydawać wniosek, że Calhouna należałoby zabić, aby nie mógł udzielić pomocy tym odrażającym błękitnoskórym.

Prawdę mówiąc, całkowicie możliwe było, że ktoś zakradł się na odlatujący Statek Medyczny, żeby zamordować Calhouna, tak by zlikwidować niebezpieczeństwo pojawienia się jakiegoś korzystnego dla Dara raportu, który mógłby kiedyś, gdzieś, komuś zostać przedstawiony. Jeżeli tak właśnie się stało, to tego rodzaju pasażer na gapę, mógł w tej chwili znajdować się w kabinie sypialnej, czekając aż niczego nie podejrzewający Calhoun wejdzie do niej, aby można go zastrzelić.

Calhoun skończył więc robić kawę. Wsunął do kieszeni blaster, tak by był wygodnie pod ręką. Nalał mały kubeczek dla Murgatroyda, dużą filiżankę dla siebie, a potem jeszcze jedną dużą.

Zapukał do drzwi kabiny sypialnej, odsuwając się na bok, aby ewentualny strzał z blastera przez nie, przeszedł obok niego.

– Kawa już jest gotowa – sardonicznie zaprosił. – Proszę wyjść i do nas dołączyć.

Nastąpiła dłuższa przerwa. Calhoun zastukał ponownie.

– Miejsce przy kapitańskim stole, czeka – powiedział nadal raczej sardonicznym tonem. – To bardzo niegrzeczne, kazać mi czekać!

Nasłuchiwał czujnie jakichś gwałtowniejszych odgłosów, które mogłyby stanowić oznakę desperackiej próby podjętej przez fanatyka, aby go zamordować, pomimo przedwczesnego wykrycia. Przygotował się do strzału z pełną bezwzględnością, ponieważ był na służbie, a Służba Medyczna nie aprobowała eksterminacji całych populacji, niezależnie od tego jak bardzo usprawiedliwione mogło się to wydawać drugiej stronie.

Nie było jednak słychać żadnych gwałtownych ruchów. Zamiast tego dobiegł do niego odgłos wahających się kroków, który mocno zaskoczył Calhouna. Drzwi kabiny powoli rozsunęły się na boki. W wejściu ukazała się dziewczyna, desperacko blada i desperacko zdeterminowana.

– J-jak pan się dowiedział, że byłam tam w środku? – Spytała go drżącym głosem. Zwilżyła wargi. – Przecież mnie pan nie widział! Siedziałam w szafie, a pan nawet nie wszedł do tego pomieszczenia!

Calhoun odparł z ponurą miną:

– Mam swoje źródła informacji. Tym razem, to Murgatroyd mi powiedział. Czy mogę pani go zaprezentować? Murgatroyd, nasza pasażerka. Podajcie sobie ręce.

Murgatroyd przesunął się do przodu, stanął na tylnich nogach i wyciągnął swoją chudą futrzastą łapkę. Dziewczyna nie poruszyła się. Wpatrywała się w Calhouna.

– Lepiej by było, gdybyście podali sobie ręce – stwierdził Calhoun, równie ponurym tonem, jak przedtem. – To pomogłoby nieco rozluźnić napięcie. A pani pewnie chce opowiedzieć mi swoją historyjkę? Ma pani przecież jakąś przygotowaną. Jestem tego pewien.

Dziewczyna przełknęła ślinę. Murgatroyd poważnie uścisnął jej rękę.

– *Chee-chee*! – powiedział Murgatroyd bardzo ostrym dyszkantem i wycofał się na swoje poprzednie miejsce.

– Może historyjka? – z naciskiem zaproponował Calhoun.

– Nie… nie mam żadnej – drżącym głosem przyznała się dziewczyna. – Ja tylko… muszę dostać się na Orede, a pan przecież tam leci. W tej chwili nie ma innego sposobu na to, żeby się tam dostać.

– Wręcz przeciwnie – nie zgodził się Calhoun. – Bez wątpienia w stronę Orede niedługo skieruje się cała flota, natychmiast jak tylko zostanie ona zebrana i uzbrojona. Obawiam się więc, że pani historyjka nie jest wystarczająco dobra. Proszę spróbować innej.

Wzdrygnęła się lekko.

– Ja… uciekam…

– Ach! – oznajmił Calhoun. – W takim przypadku natychmiast zabieram panią z powrotem.

– Nie – powiedziała gwałtownie. – Ja… prędzej się zabiję! Prędzej rozbiję ten statek!

Wyciągnęła rękę zza pleców. Trzymała w niej mały blaster. Ale kiedy próbowała go wycelować, widać było, że trzęsie się na wszystkie strony.

– Strzelę w stery!

Calhoun zamrugał oczyma. Musiał już raz drastycznie zmienić swoją ocenę sytuacji, w chwili kiedy zobaczył, że pasażerem na gapę jest dziewczyna. Teraz musiał zrobić to po raz kolejny, kiedy zagroziła mu nie tym, że go zabije, ale tym że uszkodzi statek. Kobiety rzadko są zabójcami, a jeżeli już, to raczej nie używają broni energetycznej. Sztylet i trucizna są bardziej typowym narzędziem w takiej sytuacji. A w dodatku ta dziewczyna groziła, że raczej zniszczy statek niż unicestwi jego właściciela, tak więc w rzeczywistości w ogóle nie była żadnym zabójcą.

– Na pani miejscu, raczej bym tego nie robił – sucho stwierdził Calhoun. – Poza tym, jeżeli utkniemy we wraku, czekając na to aż skończy nam się powietrze i jedzenie, to zanudzi się pani na śmierć.

Murgatroyd, absolutnie bez żadnego powodu, uznał za konieczne włączyć się do rozmowy.

– Chee-Chee-Chee!

– Bardzo rozsądna sugestia – zauważył Calhoun. – Może lepiej usiądźmy i wypijmy filiżankę kawy. – Dziewczynie zaś powiedział: – Zabiorę panią na Orede, ponieważ tam ponoć chce pani lecieć.

– Mam tam chłopaka…

Calhoun pokręcił głową.

– Nie – oznajmił strofującym tonem. – Niemal cała kolonia górnicza zapakowała się w ten statek, który przyleciał na Weald ze wszystkimi martwymi na pokładzie. Ale nie wszyscy. A jeszcze nie sprawdzono, kto z nich był na pokładzie, a kogo nie było. Nie byłoby sensu, żeby pani leciała na Orede, jeżeli jest bardzo prawdopodobne, że pani chłopak zginął w drodze do pani. Oto pani kawa. Cukier, czy słodzik? I czy chce pani śmietankę?

Lekko drżała, ale wzięła filiżankę.

– Nie rozumiem.

– Murgatroyd i ja – wyjaśnił jej Calhoun –– i nie wiedział, czy mówi tak głośno z gniewu, czy też jest jakaś inna tego przyczyna – lubimy spełniać dobre uczynki. Tak krążymy sobie po świecie, próbując nie dopuścić do tego, by ludzie chorowali, albo umierali. Czasami nawet próbujemy uchronić ich przed tym, aby ktoś ich zabił. To jest nasz zawód. Praktykujemy go, nawet na nas samych. Chcemy utrzymać się przy życiu. A więc, ponieważ rzucała pani takie straszliwe groźby, zabierzemy panią wszędzie tam, gdzie tylko będzie pani chciała. Zwłaszcza, że i tak lecimy w tamto miejsce.

– Nie wierzy pan w nic, co powiedziałam! – To było stwierdzenie.

– Nawet w słowo – przyznał Calhoun. – Ale prawdopodobnie wkrótce, powie nam pani coś bardziej wiarygodnego. Kiedy ostatnio pani coś jadła?

– Wczoraj.

– Może raczej woli pani swoją własną kuchnię? – spytał uprzejmie Calhoun. – Czy też pozwoli mi pani abym ja przygotował jakąś przekąskę?

– Ja… ja to zrobię – odparła.

Jednak najpierw dopiła swoją kawę, a potem Calhoun pokazał jej, co trzeba nacisnąć w przygotowaczu, żeby odpowiednie produkty zostały wyciągnięte z przechowalni, dla takich to a takich potraw, żeby zostały podgrzane albo ochłodzone, w zależności od potrzeb, oraz żeby zostały zaserwowane w żądanych odstępach czasu. Było tam również odpowiednie wyposażenie do samodzielnego przygotowania sobie pożywienia, w wybrany przez siebie sposób. Kolejny element, pomagający w tym, by samotność stała się możliwa do wytrzymania.

Calhoun zatopił się zupełnie w Katalogu Galaktycznym, sprawdzając informacje o planecie Orede. Kierował się na nią, a wcześniej nie było powodów, aby szukać informacji na jej temat. Teraz więc czytał każdy znaleziony skrawek, starając się wchłonąć wszystko co się dało.

Dziewczyna zjadła ze smakiem. Murgatroyd przyglądał jej się z bardzo przyjacielskim zainteresowaniem. Ale ona wyglądała na mocno zdenerwowaną.

Calhoun odłożył Katalog. Wyjął szpule z mikrofilmami, które zawierały więcej informacji. Szukał specjalnie rzeczy z historii Służby Medycznej, związanych ze wszystkimi planetami tego sektora. Przejrzał sfilmowane zapisy każdej inspekcji, jaka kiedykolwiek odbyła się na Weald i na Dara.

Ale Sektor Dwunasty nie był zbyt dobrze prowadzony. Nie było odpowiednich opisów zarazy, która wybiła trzy czwarte populacji, zamieszkałej planety! To wydarzyło się krótko po jednej z wizyt Statku Medycznego, i zakończyło zanim przyleciała kolejna inspekcja.

Powinno zostać przeprowadzone dokładne dochodzenie, nawet po fakcie. Powinna zostać zebrana kolekcja materiału zakaźnego i przeprowadzona, w jakimś rozsądnym zakresie kompletna, identyfikacja oraz badania drobnoustroju, który ją powodował. Prawdopodobnie w tym samym czasie pojawiła się jakaś inna sytuacja alarmowa, i wszystko to jakoś umknęło. Calhoun, którego działalność zawodowa nie łączyła się z tym sektorem, postanowił przygotować ostry raport o tym zaniedbaniu i jego konsekwencjach.

Zajmował się różnymi dorywczymi sprawami, ignorując obecność dziewczyny. Funkcjonariusze Służby Medycznej, posiadają obszerne zasoby wykorzystywane do badań i medytacji, którymi mogą zajmować swój czas, w trakcie podróży w hipernapędzie, z jednej planety na drugą. Calhoun korzystał z tych zasobów. Zachowywał się tak, jakby zupełnie stracił świadomość obecności pasażera na gapę. Ale Murgatroyd obserwował ją z zauroczeniem i uwagą.

Kilka godzin po tym, jak ją odkryto, dziewczyna powiedziała z niepokojem:

– Przepraszam?

Calhoun uniósł na nią wzrok.

– Tak?

– Nie wiem do końca, na czym stoję.

– Jest pani pasażerem na gapę – odparł Calhoun. – Zgodnie z prawem, mógłbym panią wyrzucić ze śluzy. To jednak nie wydaje się konieczne. Tam jest kabina. Jeżeli zachce się pani spać, proszę z niej korzystać. Murgatroyd i ja, możemy całkiem dobrze urządzić się tutaj. Kiedy będzie pani głodna, wie pani jak przygotować sobie coś do jedzenia. Kiedy wylądujemy na Orede, prawdopodobnie pójdzie pani swoją drogą, załatwiać sprawy, jakie pani tam ma. To wszystko.

Wpatrywała się w niego.

– Ale pan przecież nie wierzy w to, co panu powiedziałam!

– Nie – zgodził się z nią Calhoun, ale nie dodał ani słowa do tego stwierdzenia.

– Ale ja… powiem panu wszystko – oferowała się. – Ścigała mnie policja. Musiałam uciekać z Weald! Musiałam to zrobić! Ukradłam…

Pokręcił przecząco głową.

– Nie – stwierdził. – Gdyby była pani złodziejką, to powiedziałaby pani wszystko co ślina na język przyniesie, tylko nie to, że jest pani złodziejką. Nie jest pani jeszcze gotowa, żeby powiedzieć mi prawdę. Nie musi pani tego robić, a więc po co w ogóle mówić mi cokolwiek? Sugerowałbym, aby złapała pani odrobinę snu. Nawiasem mówiąc, w drzwiach do kabiny, nie ma zamka, ponieważ na statku powinna przebywać na raz tylko jedna osoba. Ale może pani podstawić krzesło, aby jakoś je zabarykadować, czy coś podobnego. Dobranoc.

Powoli wstała. Dwukrotnie jej wargi rozsunęły się, jakby chciała ponownie coś powiedzieć, ale potem poszła do kabiny i zamknęła za sobą drzwi. Usłyszał stukanie krzesłem, które miało zablokować drzwi.

Murgatroyd zamrugał, wpatrując się w miejsce, w którym zniknęła, a następnie wszedł Calhounowi na kolana, z absolutna pewnością, że zostanie mile przyjęty. Usadowił się na nich, i przez kilka chwil milczał. Potem powiedział:

– Chee!

– Wydaje mi się, że masz rację – odparł mu Calhoun. – Ona nie pasuje do Weald, w przeciwnym razie, z tym całym uwarunkowaniem, jakie musiałaby otrzymać, jedynym miejscem w którym bardziej bałby się znaleźć niż na Orede, byłaby chyba Dara. A ja wątpię, czy ona bałaby się wylądować nawet na Dara.

Murgatroyd lubił, żeby do niego mówić. Uwielbiał udawać, że podtrzymuje konwersację, tak jak ludzie.

– *Chee-chee*! – oznajmił z przekonaniem.

– Zdecydowanie – zgodził się z nim Calhoun. – Ona nie robi tego dla osobistych korzyści. Cokolwiek jej się wydaje, że robi, to jest dla niej ważniejsze niż własne życie. Murgatroyd…

– *Chee*? – powiedział Murgatroyd z pytającą intonacją.

– Na Orede jest dzikie bydło – rozmyślał Calhoun. – Całe wielkie, ogromne stada. Mam takie podejrzenie, że ktoś je odstrzeliwuje. W dużej liczbie. Zgadzasz się ze mną? Nie uważasz, że ostatnimi czasy na Orede zostało ubite całe mnóstwo bydła?

Murgatroyd ziewnął. Usadowił się na kolanach Calhouna w bardziej wygodnej pozycji.

– *Chee* – odparł sennym głosem.

Zasnął, podczas gdy Calhoun nadal przeglądał bardzo skondensowane informacje. Wkrótce udało mu się odszukać normalną stopę powiększania się stad *bovis domesticus* w stanie dzikim na planetach, gdzie nie ma ono naturalnych wrogów, oraz inne dane na ten temat.

Nie było to jakąś niesłychaną sytuacją, że na jakiejś planecie, przed podjęciem próby jej kolonizacji, były umieszczane egzemplarze gatunków terrańskiej fauny i flory. Terrańskie formy życia mogły mnóstwo zmienić w obcym systemie ekologicznym, co z kolei mogło przynieść bardzo poważne korzyści dla ludzkości. Swojskie mikroorganizmy i standardowa roślinność zwiększały możliwości tworzenia osiedli ludzkich na planetach, które w innym przypadku byłyby zbyt obce. Ale czasami skutki były dziwne.

Oczywiście, rzadko bywały aż tak dziwne, by spowodować że parę setek ludzi wepchnie się w szaleńczym pędzie na pokład statku transportowego, który nie będzie miał żadnych możliwości utrzymać ich przy życiu, tak że wszyscy ci ludzie będą musieli umrzeć, kiedy statek będzie leciał w hiperprzestrzeni.

Przez cały czas, kiedy położył się spać na zapasowym nadmuchiwanym materacu, Calhoun jednak nadal liczył w głowie, i wychodziło mu, że na odpowiedniej planecie, wypuszczone na swobodę bydło, nawet o niewielkim pogłowiu, liczącym kilkanaście sztuk, mogłoby rozmnożyć się w stado o rozmiarach tysięcy, dziesiątek, albo nawet setek tysięcy sztuk, w dużo mniejszym czasie, niż prawdopodobnie upłynął

Statek Medyczny leciał jakby zamknięty w bryle pozornie absolutnie litej materii, spoza której nie dochodziły żadne odgłosy, przez którą nie przebijał się żaden obraz, bez żadnych oznak, że nie został zagrzebany w głębi planety, zamiast mknąć przez pustkę kosmosu z prędkością tak wielką, że nie miała ona żadnego znaczenia.

Następnego dnia czasu statku, kiedy dziewczyna pojawiła się w pomieszczeniu sterowni, spojrzała dziwnie na Calhouna. Murgatroyd wpatrywał się w nią, z dużym zainteresowaniem. Calhoun skinął jej uprzejmie głową, i wrócił do tego, co robił przedtem, zanim wyszła.

– Czy mogę zjeść śniadanie? – spytała go niepewnym głosem.

– Murgatroyd i ja jedliśmy – odparł jej. – Więc dlaczego nie?

W milczeniu zajęła się obsługą przygotowacza jedzenia. Następnie zjadła. Calhoun dał popisowe przedstawienie, grając człowieka odpowiadającego uprzejmie kiedy do niego coś powiedziano, ale który był bardzo zajęty sprawami bardzo mało związanymi z pasażerami na gapę.

Około południa, obowiązującego na statku czasu, spytała go:

– Kiedy dolecimy na Orede?

Calhoun odpowiedział jej nieobecnym tonem, tak jakby myślał o czymś zupełnie innym.

– Jak… jak pan myśli, co się tam wydarzyło? To znaczy, takiego by spowodować tę tragedię na statku.

– Nie wiem – oznajmił Calhoun. – Ale nie zgadzam się z opinią władz Weald. Nie wydaje mi się, aby było to zaplanowane i umyślne okrucieństwo błękitnoskórych.

– Ki… kim są błękitnoskórzy? – spytała go dziewczyna.

Calhoun odwrócił się w jej stronę i uważnie na nią popatrzył.

– Kiedy ktoś kłamie – delikatnie zwrócił jej uwagę Calhoun, – to równie dużo mówi to o tym kogo on nie udaje, jak i o tym, kogo udaje. Przecież pani dobrze wie, kim są błękitnoskórzy!

– Ale co pan myśli o tym, kim oni są – spytała go ponownie.

– Była kiedyś pewna choroba, którą ludzie nazywali ospą – powiedział Calhoun. – Kiedy ludzie ją przechodzili, to po wyzdrowieniu zazwyczaj byli poznaczeni. Na ich skórze pozostawały tu i ówdzie małe bliznowate dołki. Pewnego razu, kiedyś, dawno temu na Ziemi, spodziewano się, że każdy wcześniej czy później zachoruje na ospę, a duży odsetek ludzi na nią umrze.

Popatrzył na nią.

– I przekonanie to było wpojone tak mocno, że jeżeli drukowano opis wyglądu przestępcy, jeżeli był on poznaczony dziobami, nigdy o tym nie wspominano. To nie była żadna cecha charakterystyczna, która by go wyróżniała. Ale jeżeli nie miał tych znaków, zawsze o tym wspominano! – Przerwał na chwilę. – Te dzioby nie były dziedziczne, ale nie licząc tego, pod wszystkimi innymi względami, błękitnoskórzy są podobni do ludzi, którzy je mieli. Nie mogą być nikim innym!

– A więc pan myśli, że to są ludzie?

– Nigdy jeszcze nie słyszałem o przypadku odwrotnej ewolucji – zauważył Calhoun. – Być może pitekantrop miał za wujka małpę, ale żaden pitekantrop nigdy nie stał się z powrotem małpą.

Odwróciła się gwałtownie od niego. Ale tego dnia, często mu się przypatrywała. Cały czas nadal zajmował się takimi rzeczami, które powodowały, że życie na Statku Medycznym pozwalało na zachowanie zdrowia psychicznego.

Następnego dnia, spytała go bez żadnego wstępu:

– Czy sądzi pan, że to błękitnoskórzy zaplanowali wysłanie tego statku pełnego martwych ludzi, aby przyleciał na Weald i rozsiał tam zarazę?

– Nie – odparł Calhoun.

– Dlaczego?

– To po prostu nie mogło by się udać – wyjaśnił jej Calhoun. – Mając na pokładzie wyłącznie martwych ludzi, statek nie był w stanie dolecieć do

miejsca, z którego sieć lądownicza sprowadziłaby go na ziemię. A więc nic by to nie dało. A dotknięci zarazą żywi ludzie, mogliby próbować ukryć, że są chorzy. Mogliby poprosić również o pomoc, ale dobrze wiedzieli, że na Weald, gdyby ktokolwiek by się dowiedział, że są oni ofiarami zarazy, to natychmiast zostaliby zabici! A więc, to również nic by im nie dało. Nie, ten statek nie mógł być wysłany, z zamiarem przeniesienia zarazy na Weald.

– Czy czuje pan przyjaźń w stosunku do błękitnoskórych? – spytała z niepewnością.

– W granicach rozsądku – odparł Calhoun. – Żywię dobre uczucia w stosunku do całej rasy ludzkiej. Trochę się jednak pani poślizgnęła. Kiedy wypowiada pani słowo błękitnoskóry, powinna je pani wymawiać ze skrępowaniem, tak jakby nie było to słowo, którego dobrze wychowana osoba chętnie by używała. Pani zaś robi to zupełnie inaczej. Tak przy okazji, wylądujemy na Orede jutro. Jeżeli ma pani zamiar kiedykolwiek powiedzieć mi prawdę, to nie zostało za dużo czasu.

Zagryzła wargi. Dwukrotnie, w trakcie pozostałej części dnia, odwracała się w jego stronę, i otwierała usta, tak jakby zamierzała coś mu powiedzieć, ale po chwili odwracała się z powrotem. Calhoun wzruszył ramionami. Do tego czasu jego wyobrażenia na jej temat stały się już dosyć sprecyzowane. Przezornie starał się przyjmować, że mają one charakter wstępny, ale żadna dziewczyna, która urodziła się i wychowywała na Weald, nie miałaby ochoty lecieć na Orede, z tymi wszystkimi rozpowszechnionymi na Weald opiniami, że cała obsada kopalni wolała ponieść śmierć, niż zostać tam dłużej. Było to łączone, jak wszystkie inne nieprzyjemne sprawy, z błękitnoskórymi. Nikt z Weald, obecnie nie mógłby pragnąć lotu na Orede. Nie w obecnych warunkach!

Niedługo przedtem, kiedy Statek Medyczny powinien wyjść z hipernapędu, dziewczyna bardzo ostrożnie zagaiła:

– Był pan bardzo uprzejmy. Chciałabym panu podziękować. Ja… naprawdę nie wierzyłam, że uda mi się na tyle długo przeżyć, że dostanę się na Orede.

Calhoun uniósł wysoko brwi.

– Żałuję, że nie mogłam panu powiedzieć wszystkiego, czego pan chciałby się dowiedzieć – dodała z żalem. – Myślę, że… pan jest naprawdę przyzwoitym człowiekiem. Ale pewne sprawy…

Calhoun oznajmił uszczypliwie:

– I tak mi pani całkiem sporo powiedziała. Nie urodziła się pani na Weald. Nie dorastała tam pani. Mieszkańcy Dara –– proszę zauważyć, że nie powiedziałem błękitnoskórzy, chociaż oni przecież tacy są –– mieszkańcy Dara, zbudowali co najmniej jeden statek, od czasu kiedy Weald zagroziła im eksterminacją. Prawdopodobnie w obecnej chwili, znowu mamy katastrofalne braki żywności na Dara, i to one doprowadziły do tej desperackiej akcji. Najprawdopodobniej, sytuacja stała się tam na tyle zła, że podjęli ryzyko lotu na Orede, aby zabijać bydło i zamrażać wołowinę. Przygotowali więc…

Sapnęła głośno i zerwała się na nogi. Wyszarpnęła z kieszeni mały blaster. Wycelowała go drżącą ręką, prosto w niego.

– Będę musiała pana zabić! – wykrzyknęła desperacko. – Ja… muszę to zrobić!

Calhoun wyciągnął rękę w jej kierunku. Ona desperacko zacisnęła palec na spuście blastera. Nic jednak się nie stało. Zanim zdołała sobie uświadomić, że nie odbezpieczyła broni, Calhoun wykręcił jej ją z dłoni. Cofnął się o krok.

– Niech pani będzie dobrą dziewczynką – powiedział do niej uspokajająco. – Oddam to pani z powrotem, kiedy wylądujemy. I dziękuję pani. Bardzo pani dziękuję!

Wykręciła sobie palce. Potem zaczęła mu się przypatrywać.

– Dziękuje mi pan? Za to, że próbowałam pana zabić?

– Oczywiście! – odparł Calhoun. – Wyraziłem tylko pewne przypuszczenia. Nie mogłem wiedzieć, czy były one prawdziwe. Kiedy podjęła pani próbę zabicia mnie, potwierdziła je pani wszystkie, co do jednego. Teraz, kiedy wylądujemy na Orede, mam zamiar nakłonić panią, aby spróbowała pani skontaktować mnie ze swoimi przyjaciółmi. Prawdopodobnie będzie to trudną sprawą, ponieważ musieli strasznie się wystraszyć, z powodu tego statku. Ale gdyby się udało, byłaby to rzecz wysoce pożądana!

Podszedł do pulpitu ze sterami i usiadł przy nim.

– Dwadzieścia minut do wyjścia – uprzedził.

Murgatroyd wyjrzał ze swojej małej norki na zewnątrz. Jego oczy były zaniepokojone. *Tormale* są przyjacielskimi małymi stworzeniami. W czasie tych dni spędzonych w hipernapędzie, Calhoun zwracał na Murgatroyda znacznie mniej uwagi niż zwykle, podczas gdy dziewczyna była fascynująca.

Zaprzyjaźnili się, ze strony dziewczyny z dużym zakłopotaniem, ze strony Murgatroyda z dużą przyjemnością. Ale zaledwie parę chwil temu, w powietrzu wisiały bardzo ostre emocje. Aby ich uniknąć, Murgatroyd uciekł do swojej norki. Był bardzo przygnębiony. Teraz, kiedy ponownie zapanował spokój, nieszczęśliwie wyglądał z niej na zewnątrz.

– *Chee*? – Żałośnie zapytał. *Chee-chee-chee*?

Calhoun odpowiedział mu rzeczowo:

– Już w porządku, Murgatroyd. Jeżeli nie zostaniemy zestrzeleni podczas próby lądowania, powinniśmy zawrzeć ze wszystkimi przyjaźń, i spróbować w ten sposób coś osiągnąć.

Stwierdzenie to było bardzo dalekie od prawdy.

III

Kiedy wyszli z hipernapędu i Calhoun podprowadził Statek Medyczny na właściwą pozycję do nawiązania łączności, z ziemi nie było żadnej odpowiedzi. Cierpliwie powtarzał raz za razem wywołanie, głoszące że Statek Medyczny Asklepios Dwadzieścia zgłasza swoje przybycie i prosi o koordynaty do lądowania. Dodawał jeszcze, że ich masa wynosi pięćdziesiąt ton standardowych, oraz że celem ich wizyty jest planetarna inspekcja zdrowotna.

Nadal jednak nie było żadnej odpowiedzi. Do tego czasu powinni już otrzymać z centrum planetarnego zwięzły, rzeczowy opis kursu, na którym po określonym czasie tylu to a tylu godzin i minut później, bezproblemowo znajdą ich pola siłowe sieci lądowniczej, zamkną się wokół nich i sprowadzą Statek Medyczny na dół. Komunikator jednak milczał jak zaklęty.

– Mają tutaj przecież sieć lądowniczą – zastanawiał się Calhoun, ze zmarszczonymi brwiami. – Jeżeli używają jej do ładowania świeżego mięsa dla Dara, które pozyskują ze stad bydła na powierzchni, to przecież powinna być ona obsadzona. Nie wydaje się jednak, żeby zamierzali nam odpowiadać. Być może wydaje im się, że jeżeli będą udawać, że ich tutaj nie ma, to ja również stąd sobie odlecę.

Zastanawiał się nad tym, i zmarszczka między jego brwiami jeszcze się pogłębiła.

– Gdybym nie wiedział tego co wiem, być może nawet bym tak zrobił. Tak więc, jeżeli wyląduję na awaryjnych silnikach rakietowych, znajdujący się tam na dole błękitnoskórzy, mogą zdecydować, że przylatuję z Weald. A w takim przypadku, rozsądnym rozwiązaniem byłoby zestrzelenie mnie, zanim uda mi się wylądować i wyładować ewentualnych żołnierzy. Z drugiej jednak strony, żaden statek z Weald nawet by nie pomyślał o wylądowaniu, nie słysząc gorących zapewnień, że może to bezpiecznie zrobić. Po prostu zrzuciłby bomby. – Zwrócił się do dziewczyny: – Ilu Daran jest tam na dole?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie wie pani – skonkludował Calhoun, – albo nie chce mi jeszcze powiedzieć. Ale oni powinni dowiedzieć się o przylocie tego statku na Weald, i co Weald myśli o tym wszystkim! Jak się domyślam, celem pani, było właśnie przekazanie im tych wieści. To mało prawdopodobne, aby Dara przesłać kogoś bezpośrednio na Weald. Dokąd została pani wysłana z Dara, kiedy zdecydowała się pani przyjąć rolę szpiega?

Jej wargi rozchyliły się, aby coś powiedzieć, ale zacisnęła je mocno. Ponownie pokręciła przecząco głową.

– To musiało być gdzieś bardzo daleko – niestrudzenie drążył skałę Calhoun. – Pani rodacy musieli zbudować statek, przygotować dla niego świetnie podrobione papiery, a następnie odlecieć tak daleko od tej części kosmosu, że w miejscu lądowania nikt nawet nie pomyślał o tym, że mogą być z Dara. Mogli zamaskować niebieskie plamki makijażem, albo mogło być to tak daleko, że nikt tam nawet nie słyszał o jakichś błękitnoskórych!

Jej twarz wyglądała na mocno udręczoną, ale nic nie odpowiedziała.

– Mogli was tam wysłać w kilka osób, z zapasem kosmetyków do maskowania niebieskich plam. Potem się rozdzieliliście, wybraliście statki, lecące różnymi okrężnymi trasami i tak, jedno po drugim, przylecieliście na Weald, aby zobaczyć co się da tam zrobić aby… – Przerwał raptownie. – Kiedy ostatecznie udało wam się potwierdzić, że zarazy już nie ma?

Zaczęła robić się coraz bledsza.

– Nie potrafię czytać myśli – powiedział Calhoun. – Ale to wszystko pasuje do siebie. Jest pani z Dara. Była pani na Weald. To praktycznie pewne, że są tam również i inni… agenci, jeżeli woli pani używać tego słowa. A na Weald zaraza jakoś nie wybuchła, tak więc pani rodacy nie są jej nosicielami. A to, jak myślę, wiedziała pani z góry. W jaki sposób się tego dowiedzieliście? Pewnie jakiś statek, który miał kłopoty, wylądował u was, na Dara?

– T-tak – odparła dziewczyna. – Nie pozwoliliśmy mu ponownie odlecieć. Ale ludzie na nim nie złapali… Oni nie umarli. Przeżyli…

Przerwała w pół słowa.

– To nie fair zastawiać na mnie w takie pułapki! – zawołała emocjonalnie. – To po prostu nie fair!

– Już nie będę – obiecał Calhoun.

Odwrócił się do pulpitu ze sterami. Statek Medyczny znajdował się już tylko w odległości kilku średnic planety od Orede. Ekran teleskopu elektronowego leniwym ruchem przemierzały świecące punkciki gwiazd. Następnie pojawił się na nim olbrzymi, wypukły, lśniący kształt dysku planety, na którym można było dojrzeć nieregularne łaty w szaro-brązowym kolorze, oznaczające dna mórz, oraz różnokolorowe obszary równin i lasów. Widać było również łańcuchy górskie. Calhoun przyjrzał się obrazowi, z przymrużonymi oczyma.

– Kopalnia – zauważył w pewnej chwili, – została znaleziona przez członków wyprawy myśliwskiej, polującej dla rozrywki na zdziczałe bydło.

Nawet niewielka planeta ma powierzchnię wielu milionów mil kwadratowych, a jedyną konstrukcję zbudowaną przez człowieka na całej planecie, trudno jest znaleźć, poszukując jej na ślepo. W tym przypadku jednak, były pewne wskazówki. Ludzie polujący dla rozrywki, nie wybraliby raczej na swoje łowy miejsc o klimacie tropikalnym, ani antarktycznym. Tak więc miejsce w którym znaleźli złoża minerałów, powinno znajdować się w trefie umiarkowanej.

Bydło trudno byłoby znaleźć w głębi terenów górzystych. Kopalnia nie mogła znajdować się na stepach. A więc, osiedle na Orede, powinno być umiejscowione gdzieś w pobliżu granicy gór, ale nie daleko od stepu, na którym dzikie bydło występowało prawdopodobnie najczęściej, no i w klimacie umiarkowanym.

Obszary porośnięte lasem, można było odrzucić z góry. Musiała tam również stać konstrukcja sieci lądowniczej. Ponieważ miała służyć do zajmowania się tylko jednym statkiem na raz, mogła być to bardzo mała sieć. Mogła mieć jedynie kilkaset jardów średnicy, i mniej niż pół mili wysokości. Ale jej cień powinien być wyraźnie widoczny.

Calhoun szukał go pomiędzy niskimi wzgórzami, leżącymi w pobliżu bezleśnego stepu w strefie umiarkowanej. Dojrzał jakąś plamkę. Powiększył ją wielokrotnie. Tak, to była kopalnia na Orede. Obok niej leżały wielkie sterty urobku. Stało tam jeszcze coś, co rzucało długi, ażurowy cień: sieć lądownicza.

– Ponieważ oni nie odpowiadają na nasze wywołania – oznajmił Calhoun, – to zejdziemy na dół bez zaproszenia.

Odwrócił Statek Medyczny w drugą stronę i zahuczały rakiety awaryjne. Statek zaczął schodzić w kierunku powierzchni planety.

Po pewnym czasie, znalazł się już głęboko w atmosferze Orede. Ponieważ na zewnątrz powietrze zrobiło się już na tyle gęste, że mogło przenosić i wzmacniać dźwięk, ryk silników statku zmienił się w potężny grzmot.

– Złap się czegoś, Murgatroyd – polecił Calhoun. – Być może będziemy musieli robić uniki przed jakimś ostrzałem przeciwlotniczym.

Z dołu jednak nic nie nadlatywało. Statek Medyczny ponownie się odwrócił, a jego rakiety zostały tym razem wycelowane w stronę powierzchni planety i wystrzeliły z nich cieniutkie jak szpileczki, błękitno-białe płomienie odrzutu, wylatujące z dysz z olbrzymią szybkością. Nieznacznie zwolnił, ale nadal opadał. Nie schodził bezpośrednio ponad siecią.

Statek mknął w dół, niemal aż do poziomu wierzchołków najwyższych gór, otaczających miejsce położenia kopalni. Ponownie się nachylił, prześlizgnął się tuż ponad szczytami górskimi, i pomknął w dolinę, w której wyraźnie było już widać sieć lądowniczą. Calhoun wywijał nim w nieregularnych manewrach, aby uniknąć ewentualnej akcji przeciwnika.

Nie było jednak najmniejszej oznaki czegoś podobnego. Potem jeszcze raz zaryczały rakiety i statek zwolnił tempo lotu, lekko się uniósł, a następnie usiadł na ziemi, na zewnątrz podstawy sieci. Sieć była mała, tak jak wywnioskował to Calhoun. Ale i tak wydawało się, że ciągnie się bez końca, w stronę nieba.

Rakiety umilkły. Płomienie odrzutu były może i cieniutkie, ale wytopiły i wydrążyły w ziemi głębokie wąskie otwory. W ich głębi wrzała i bulgotała roztopiona skała. Poza tym wydawało się, że z zewnątrz nie dochodzą żadne inne dźwięki. Nigdzie nie było widać najmniejszego ruchu. Wszędzie dookoła panował absolutny spokój. Kiedy jednak Calhoun przełączył na zewnętrzne mikrofony, usłyszeli cichy delikatny chór wysokich ćwierknięć, cykań i popiskiwań, wydawanych przez rozmaite malutkie stworzonka, kryjące się pod roślinami porastającymi zbocza gór.

Calhoun włożył do kieszeni blaster i wstał z fotela.

– Rozejrzyjmy się, jak wygląda tam na zewnątrz – powiedział nieco ponurym tonem. – Nie do końca wierzę w to, co pokazują ekrany wizyjne.

Kilka minut później stanął na powierzchni, wychodząc z włazu Statku Medycznego. Statek wylądował może ze sto stóp od czegoś, co kiedyś musiało być drewnianym budynkiem. Służył on do oczyszczania rudy z kopalń, a bezużyteczne odpadki wywożone były z niego na taśmie transportera, formując nieopodal monstrualną stertę pokruszonego kamienia. Samego budynku obecnie jednak już nie było.

W pewnej odległości za nim, stała budowla zawierająca kruszarkę rudy. Masywną maszynerię nadal można było jeszcze rozróżnić, ale sam budynek rozleciał się na kawałki. Zaraz za nią, znajdowały się już budki nadszybi kopalni. One również były roztrzaskane, praktycznie niemal na patyczki do zapałek.

Wygląd terenu otaczającego miejsca po budynkach, był po prostu i absolutnie nie do uwierzenia. Cała okolica była zryta masą odcisków racic. Tysiące i dziesiątki tysięcy sztuk bydła, stratowało wszystko co stało na ich drodze. Krowy poprzewracały drewniane ściany budynków. Krowy tłoczyły się jedna na drugiej, napierając na belki podtrzymujące dachy, dopóki budynki się nie zawaliły.

Bydło przewalało się nad zniszczonymi budynkami, dopóki nie zostało z nich nic, poza nieopisanym chaosem drobnych szczątków. Wiele, wiele krów zginęło w tym ścisku. Dookoła metalowych belek, tworzących fundament sieci lądowniczej, utworzyły się stosy martwych zwierząt. Powietrze było przesycone odorem padliny.

Osada została całkowicie zniszczona przez spłoszone bydło, przez dziesiątki lub setki tysięcy jego sztuk, szarżujące na ślepo przez wszystko, ponad wszystkim i po wszystkim. Bezrozumnie tratowały się nawzajem i każdą rzecz na którą wpadły, niszcząc ją kompletnie do poziomu straszliwych bezkształtnych resztek. Szyb kopalni nie został zawalony, tylko dlatego że na jego otwór upadły mocne drewniane belki i zablokowały go. Ale wszystko inne, stanowiło obraz czystego zniszczenia.

Calhoun stwierdził drewnianym głosem:

– Sprytnie! Bardzo sprytnie! Nikt nie będzie winił ludzi, kiedy mamy do czynienia z popłochem wśród zwierząt. Musielibyśmy przyjąć do wiadomości ewidentne dowody, że jakieś monstrualne stado, wędrując sobie przejściem przez góry, z jakiegoś powodu oszalało i popędziło przez równiny. Ta osada stanęła im akurat na drodze, no i źle to się skończyło dla osady! Wszystko wyjaśnione, poza statkiem który poleciał na Weald.

Roześmiał się szyderczo.

– Popłoch wśród bydła, tak. Ktoś mógłby nawet w to uwierzyć. Ale mieliśmy przecież również popłoch wśród ludzi. Ludzie pognali na statek równie ślepo, jak krowy które stratowały to małe miasteczko. Ten statek umknął w popłochu w kosmos, w równie szaleńczy sposób, jak bydło. A popłoch wśród ludzi i wśród krów, jednocześnie i w tym samym miejscu? To już troszeczkę za dużo!

– Ale, co…

– W jaki sposób – bez ogródek spytał ją Calhoun, – ma pani zamiar skontaktować się ze swoimi przyjaciółmi na tej planecie?

– Ja… nie wiem – odparła, wyraźnie przygnębiona. – Ale jeżeli statek zostanie tu dłużej, to oni z pewności tutaj się pojawią, aby sprawdzić dlaczego przyleciał. Czy nie? Może jednak tego nie zrobią?

– Jeżeli mają odrobinę rozsądku w głowach, to nie zrobią – stwierdził Calhoun. – Jedyną niepożądaną rzeczą w tym miejscu, byłyby odciski ludzkich stóp, nakładające się na ślady bydła. Jeżeli pani przyjaciele są grupą z Dara, mającą zdobyć mięso, tak jak sądzę, to powinni ukrywać ślady swojego pobytu, opuścić tę planetę najszybciej jak to tylko jest możliwe i modlić się aby nikt nigdy nie odkrył oznak ich dawnego pobytu. To byłby najlepszy ruch z ich strony, z całą pewnością!

– I co ja mam zrobić? – spytała go bezradnie.

– Niestety, ja również nie jestem pewien. Wydaje mi się, że chwilowo po prostu nic. Coś spróbuję wymyślić. Przede mną jednak cholernie dużo roboty. Nie mogę zostać tutaj za długo.

– Może pan mnie tu zostawić…

Chrząknął i odwrócił się. Naturalnie było to nie do pomyślenia, aby mógł zostawić inną istotę ludzką, na przypuszczalnie niezamieszkałej planecie, wiedząc tylko, że być może w rzeczywistości jest ona jednak zamieszkała, a w dodatku przewidując że ewentualni znajdujący się na niej ludzie, będą mieli bardzo dobre powody do tego, aby starannie się ukrywać.

Uważał, że ci tutaj, to byli Daranie, a dziewczyna która przyleciała z nim Statkiem Medycznym, również była Daranką. A tamci mieli tyle do stracenia, jeżeli ktoś ich odkryje, że musieli ukrywać się wyjątkowo dobrze, pewnie setki, może nawet tysiące mil od miejsc, w których normalnie mógłby wylądować jakiś statek kosmiczny. Jeżeli nie uciekli stąd na dobre, po tym incydencie z odlotem transportowca pełnego skazanych na śmierć pasażerów.

Zaczął z kolei się zastanawiać, jakie było prawdopodobieństwo ponownej klęski braku żywności na Dara. Że błękitnoskórzy w desperacji zaatakowali, właśnie atakowali, albo mieli zamiar zaatakować Orede, aby zdobyć stada bydła i przewieźć pozyskaną w ten sposób żywność na ojczystą planetę. Że górnicy na Orede w jakiś sposób dowiedzieli się o tym, że mają błękitnoskórych sąsiadów, że zginęli w wyniku panicznego strachu, jaki ich wtedy opanował. Wszelkiego rodzaju domysły, na podstawie dowodów jakimi dysponował Calhoun, albo jakimi uważał że dysponował, były bardzo ryzykowne, ale inne hipotezy nie wydawały się możliwe.

Jeżeli jego domysły były słuszne, to ciążyły na nim pewne zobowiązania, aby zrobić dokładnie to, co jak sądził, jako swoją misję przyjęła dziewczyna. Aby ostrzec wszystkich błękitnoskórych, że Weald wkrótce podejmie próbę odnalezienia ich na Orede, a jeżeli im się to uda, to w odwecie na Dara musi zwalić się całe piekło. Ale jeżeli nawet byli tutaj jacyś ludzie, to wobec braku możliwości przyjaznego kontaktu, nie mógł przecież zostawić im pisemnego ostrzeżenia.

Mogliby go nie znaleźć, a wtedy odkryłaby je wyprawa poszukiwacza Wealdian. Jedyne co mógł zrobić, to próbować nawiązać kontakt i przekazać wiadomość, przy pomocy takich środków, jakie nie zostawią po

sobie żadnych śladów. Weald przyjąłby każde ostrzeżenie jako niezbity dowód winy błękitnoskórych.

Ograniczenie się do transmisji komunikatów, które mogły zostać odebrane, ale wcale nie musiały, nie było specjalnie zadowalające. A w dodatku odpowiedź na nie, była dosyć mało prawdopodobna. Ale usiadł przy komunikatorze, żeby przynajmniej spróbować.

Rozpoczął wywoływanie na długościach fal wywołania ogólnego. Raczej nieprawdopodobne było to, by niebieskoskórzy używali do kontaktu między sobą, pasm komunikacji ogólnej, ale musiał od tego rozpocząć. Nadawał, dostrajając częstotliwości tak szeroko, jak to tylko było możliwe, przechodząc w górę i w dół przez całe spektrum komunikacji ogólnej, pieczołowicie powtarzając swoją wiadomość i nasłuchując bez specjalnej nadziei na odpowiedź.

Znalazł jedno miejsce na tarczy, w którym napotkał odbicie swojej wiadomości, jak gdyby od dostrojonego do tej częstotliwości odbiornika. Nie był jednak w stanie uzyskać na niego namiaru. Być może nikt tam wcale nie nasłuchiwał. Wyczerpał w końcu możliwości normalnych metod komunikacji. Potem zaczął nadawać przy starszej wersji modulacji amplitudy, czego nowoczesny komunikator w ogóle by nie odebrał, i która w związku z tym, mogła być używana przez ukrywających się ludzi.

Pracował przez długi czas. Potem wzruszył ramionami, i dał sobie spokój. Powtarzał aż do znudzenia fakty, które wszyscy Daranie –– błękitnoskórzy –– na Orede powinni poznać. Nie było żadnej odpowiedzi. A ponadto bardzo prawdopodobne było, że nawet jeżeli zostały one odebrane, to ci którzy powinni ich wysłuchać, wzięli jego wiadomości za sztuczkę mającą na celu ujawnienie, czy w ogóle są tutaj jacyś słuchacze.

Z kliknięciem wyłączył w końcu nadajnik i wstał, kręcąc głową. Nagle Statek Medyczny wydał mu się dziwnie pusty. Wtedy zauważył, że Murgatroyd wpatruje się nieustannie we właz wyjściowy. Wewnętrzne wrota małej śluzy powietrznej, były zamknięte. Światełko ostrzegawcze informowało że zewnętrzny właz był otwarty. Ktoś po cichu wyszedł ze statku. Dziewczyna. Oczywiście.

Calhoun gniewnie zapytał:

– Kiedy to było, Murgatroyd?

– *Chee*! – odparł z oburzeniem Murgatroyd.

To nie dawało odpowiedzi, ale pokazywało że Murgatroyd jest zirytowany tym, że on nie poszedł z nią. On i dziewczyna stali się już bliskimi przyjaciółmi. Jeżeli zostawiła Murgatroyda na statku, pomimo że chciał wyjść razem z nią, to nie miała zamiaru wracać.

Calhoun głośno zaklął. Upewnił się, że nie ma jej nigdzie na statku. Włączył zewnętrzny głośnik i powiedział szorstko do mikrofonu:

– Kawa! Murgatroyd i ja pijemy właśnie kawę. Proszę, aby wróciła pani na statek.

Powtórzył swoją przemowę, a potem powtórzył ją jeszcze raz. Przy takim wzmocnieniu, jakie dawały głośniki, jego głos powinien być słyszalny z odległości mili. Nie było jednak nigdzie jej widać. Podszedł do małej, niepozornej szafki i wyciągnął z niej broń. Po ludziach latających Statkami Medycznymi, nie oczekiwano udziału w walce, ale mieli do

dyspozycji strzelby energetyczne, na wypadek jakiegoś krańcowego niebezpieczeństwa.

Kiedy zarzucił na ramię plecak energetyczny i wszedł do śluzy powietrznej, ciągle nie było żadnych śladów jego niedawnej pasażerki na gapę. Przez długie minuty stał we włazie śluzy, rozglądając się z gniewem po okolicy. Niemal na pewno nie poszła gdzieś w stronę gór. Chciała przecież znaleźć ludzi z Dara, którzy przybyli tutaj w poszukiwaniu bydła. Uniósł do oczu lornetkę, najpierw przy niewielkim powiększeniu, aby w miarę możliwości przeszukać jak najszerszy teren w dół doliny, a następnie zwiększył je maksymalnie, aby sprawdzić najbardziej prawdopodobne trasy.

Dostrzegł małą kołyszącą się plamkę, ponad odległym grzbietem wzgórza. To była jej głowa. Znikała właśnie w dole, za szczytem.

Ostro rzucił polecenie Murgatroydowi i kiedy *tormal* zeskoczył na ziemię on zamknął drzwi śluzy na kombinację, której nikt poza ludźmi ze Statków Medycznych by nie użył i prawdopodobnie nikt nie był w stanie odkryć.

– Ona jest idiotką! – powiedział kwaśno do Murgatroyda. – Idziemy! My też musimy zachować się jak idioci!

Wyruszył w pościg.

Niebo nad głowami miało niebieski kolor, co było nieuniknione na każdej planecie o tlenowej atmosferze, krążącej wokół żółtej gwiazdy typu słonecznego. Nie brakowało również gór, także uniwersalne zjawisko na planetach, których powierzchnia unosi się, opada, ugina się i nachyla na wskutek efektów pogodowych lub wulkanicznych. Dookoła rosły rośliny, jak to zwykle dzieje się wszędzie tam, gdzie mikroorganizmy rozdrobnią skałę do takiego stanu, by mogła służyć ona jako oparcie dla wegetacji. No i naturalnie były tam zwierzęta.

Od czasu do czasu widać było nawet drzewa, o surowym, praktycznym wyglądzie, roślinność poszycia, oraz pokrywający wszędzie ziemię dywan podobny do trawy. W skrócie mówiąc, na Orede panował doskonale przewidywalny system ekologiczny. Organiczne cząsteczki, związane z tutejszym życiem, stworzone były z tych samych pierwiastków, w tej samej kombinacji, co we wszystkich innych miejscach, posiadających takie same warunki pod względem temperatury, wilgotności i nasłonecznienia.

To była wyraźnie planeta typu ziemskiego, ponieważ w tych warunkach nie mogła być inna, i wypuszczenie tutaj bydła, aby żyło i rozmnażało się, było rozsądnym pomysłem. Jedynie ludzkie umysły uniemożliwiały jej przekształcenie w miejsce, gdzie również i ludzie mogliby swobodnie żyć i rozwijać się.

Ale tylko Calhoun uznałby zniszczoną osadę, za dowód tej ostatniej tezy.

Dziewczyna miała sporą przewagę. Dwukrotnie Calhoun doszedł do miejsc, w których mogła wybrać jedną z dwóch dróg prowadzących dalej. Za każdym razem musiał sprawdzać, którędy poszła. Kosztowało to dodatkowy czas. Potem góry nagle się skończyły, i przed nim daleko, aż po sam horyzont, rozciągała się rozległa pofałdowana równina. Widać było

na niej co najmniej dwie wielkie masy i wiele mniejszych gromadek, które mogły być jedynie zebranymi razem zwierzętami. Bydło.

Ale tutaj dziewczyna była przynajmniej wyraźnie widoczna. Calhoun przyśpieszył kroku. Zaczął zmniejszać dzielącą ich odległość. Nie oglądała się za siebie.

– Chee! – oznajmił Murgatroyd tonem skargi.

– Powinienem zostawić cię na statku – kwaśno zgodził się z nim Calhoun. – Ale była i ciągle jest możliwość, że już nie wrócę. Będziesz musiał wytrzymać tę wędrówkę.

Nie ustawał w wysiłku. Pamięć układu terenu wokół osiedla i kopalni, podpowiadała mu, że dziewczyna nie ma w głowie żadnego konkretnego miejsca docelowego. Ale była w takiej desperacji, że jakby sama chciała umyślnie gdzieś się zagubić. Pomyślała sobie, jak wydało się Calhounowi, że jeżeli gdzieś na planecie są Daranie, to powinni mieć sieć lądowniczą na oku.

Jeżeli ją zauważą, jak opuszcza ten obszar i stwierdzą, że jest sama, powinni ją przejąć, aby dowiedzieć się, jaki jest cel lądowania Statku Medycznego. Wtedy ona będzie mogła ujawnić się, jako jedna z nich i przekazać im tak straszliwie potrzebne ostrzeżenie o podejrzeniach Weald.

– Ale – kwaśno powiedział sobie Calhoun, – jeżeli ona ma rację, to oni teraz zobaczą, jak ja maszeruję za nią, co popsuje jej plan. A ja chciałbym jej pomóc, ale sposób jaki sobie wybrała, jest naprawdę trochę za bardzo niebezpieczny!

Zszedł w jedno z zagłębień pofałdowanej równiny. Zobaczył w nim stadko mniej więcej kilkunastu sztuk bydła, pasące się w niewielkiej odległości od niego. Byk uniósł do góry łeb i głośno parsknął. Krowy obrzuciły go wojowniczym spojrzeniem. Ich nastrój był kompletnie odmienny od tradycyjnego, przysłowiowego spokoju wołu.

Ruszył pod górę, przeciwległym stokiem i szybko zniknął z pola widzenia byka, który najwyraźniej szykował się już do szarży. Wtedy Calhoun nagle przypomniał sobie pewien skrawek informacji na temat bydła, który przeglądał w jednym z kilku poprzednich dni. Poczuł, że robi się coraz bardziej blady.

– Murgatroyd! – ostro rzucił. – Musimy ją dogonić! Szybko! Jeżeli zdołasz, to trzymaj się mnie, ale… – mówiąc to ruszył już biegiem, – nawet jeżeli miałbyś zostać z tyłu, to ja muszę się pospieszyć!

Przebiegł pięćdziesiąt kroków, a następnie przeszedł pięćdziesiąt kroków. Przebiegł pięćdziesiąt, i przeszedł pięćdziesiąt. Zobaczył ją na wierzchołku fałdy terenu. Nagle zatrzymała się w miejscu. Zaczął biec w jej stronę. Zobaczył jak odwraca się i rusza z powrotem po własnych śladach. Przerzucił bezpiecznik strzelby energetycznej i wystrzelił z hukiem, posyłając wyładowanie w ziemię, tak by mogła je usłyszeć.

Nagle zaczęła desperacko uciekać w jego stronę. Rzucił się do przodu. Zniknęła na dole, w zagłębieniu terenu. Ponad grzbietem wzgórza, który właśnie opuściła, pojawiły się rogi. Potem pojawiło się bydło. Cztery sztuki, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia! Złowieszczo ruszyły za nią.

Zobaczył ją ponownie, jak szaleńczo biegnie pod górę pagórka na prerii. Wystrzelił kolejne wyładowanie, aby wskazać jej kierunek. Biegł z

najwyższą szybkością, z Murgatroydem podążającym z niepokojem jego śladem. Od czasu do czasu Murgatroyd wołał:

– *Chee–chee–chee*! – jak gdyby wystraszony błagał aby go nie zostawiać.

Na horyzoncie pojawiło się jeszcze więcej bydła. Pięćdziesiąt albo sto sztuk. Podążały za pierwszym stadem. Pierwsza grupa, złożona z byka i jego haremu, zaczęła teraz poruszać się szybciej. Dziewczyna od nich uciekała, ale stada bydła na otwartym terenie –– Calhoun dowiedział się o tym dopiero dwa dni temu –– instynktownie szarżują na każdego człowieka jakiego spostrzegą poruszającego się pieszo. Człowiek na koniu, dla ich mętnych umysłów jest stworzeniem jakie należało tolerować, albo od niego uciekać, ale człowiek na nogach, to coś co można było stratować, wdeptać w ziemię i przebić rogami.

Te prowadzące, definitywnie zaczęły już szarżować, z nisko opuszczonymi łbami. Byk szarżował szaleńczo, z zamkniętymi oczyma, jak to zwykle robią byki, ale krowy, na wiele sposobów znacznie bardziej niebezpieczne, atakowały mając oczy szeroko otwarte i złośliwie czujne, biegnąc z dużo większą szybkością, niż była w stanie utrzymać dziewczyna.

Dotarła w końcu na wierzchołek ostatniego wzniesienia, z kredowo biała twarzą i zasapana. Jej włosy powiewały w najwyższym stopniu przerażenia. Najbliższe ze ścigających ją zwierząt, znajdowało się już niecałe dziesięć jardów za nią, kiedy Calhoun wystrzelił z odległości dwudziestu jardów. Jedna z krów zaryczała uderzona wyładowaniem blastera.

Upadła na ziemię, a inne zderzyły się z nią, przewalając się górą. Na to wpadły jeszcze kolejne. Dziewczyna dostrzegła teraz Calhouna, i zasapana pobiegła w jego stronę. Spokojnie przyklęknął i zaczął opanowywać szarżę, strzelając do prowadzących zwierząt.

Nie udało mu się to jednak. Za pierwszymi sztukami bydła przybywały następne, a za nimi coraz więcej i więcej. Wydawało się, że wszystkie krowy znajdujące się na równinie, przyłączyły się do tej ślepej i bezsensownej szarży. Tętent racic zmienił się w pomruk, potem w huk, a następnie w grzmot.

Rzucając się do przodu, niezdarne postaci przebiegały koło nich, z obu stron. Ale nad stertą zastrzelonych przez Calhouna zwierząt, pojawiły się łby i rogi kolejnych. Również więc je zastrzelił. Coraz więcej sztuk bydła z tupotem przebiegało obok barykady utworzonej z jego ofiar, ale przez cały czas, jak się wydawało, niektóre z nich wybierały wspinaczkę na stos swoich martwych i umierających współbraci, tak więc Calhoun musiał strzelać i strzelać…

Udało mu się jednak rozdzielić stado. Zwierzęta znajdujące się z przodu, szarżowały, ponieważ spostrzegły ludzkiego wroga. Inne biegły tylko za nimi, ponieważ, instynkt każe krowom przyłączać się do swoich biegnących towarzyszek, niezależnie od tego jaki szaleńczy impuls do biegu one poczuły. Słychać było tylko potężny tupot, huk, jęki, chrząkanie i sapanie zwierząt, unoszących z ziemi nieprzeniknione chmury kurzu i

pyłu, które skryły wszystko, oprócz galopujących krów, przebiegających obok nich, po obu stronach.

Trwało to przez kilka minut. Potem grzmot racic powoli zaczął cichnąć. Urwał się zupełnie nagle, a Calhoun i dziewczyna znaleźli się sami, obok straszliwego stosu zwierząt, który rozdzielił szarżujące stado na dwie części. Ciągle jeszcze widzieli tyły nieprzeliczonej gromady biegnących krów, kretyńsko kontynuujących swoją szarżę, obecnie niewiele różniącą się od popłochu, której oryginalnego celu żadna z nich już nie pamiętała.

Calhoun zamyślony dotknął kufy swojej strzelby energetycznej, i skrzywił się boleśnie, poczuwszy jej palące gorąco.

– Właśnie sobie uświadomiłem – stwierdził zimnym głosem, – że nawet nie poznałem pani imienia. Jak ono brzmi?

– Maril – odparła dziewczyna. Przełknęła ślinę. – Dz-dziękuję.

– Maril – oznajmił Calhoun, – jest pani idiotką! Pani samotne odejście, można w najlepszym razie określić jako głupkowate! Mogła się pani zgubić! Poszukiwania pani mogłyby mnie kosztować wiele dni, dni straszliwie potrzebnych na inne, ważniejsze sprawy!

Przerwał na chwilę, aby zaczerpnąć powietrza.

– Mogła pani zepsuć nawet te niewielkie szanse, jakie mam na zrobienie czegoś z planami, które Weald już zaczął wprowadzać w życie! Zachowała się pani po prostu, w najwyższym stopniu szaleńczo, dając najwspanialszy przykład kretynizmu, do jakiego pani, czy ktokolwiek inny, byłby zdolny!

Dodał jeszcze bardziej gorzkim tonem:

– A w dodatku, żeby zdążyć na czas do pani, musiałem zostawić Murgatroyda! Był dokładnie na drodze tej szarży!

Odwrócił się od niej i kwaśno powiedział:

– Mo dobrze! Wracamy na statek. Polecimy na Dara. I tak musielibyśmy to zrobić. Ale Murgatroyd…

Wtedy usłyszał leciutkie kichnięcie. Ze skłębionej ściany ciągle wiszącego pyłu wyłoniła się nieszczęśliwa postać Murgatroyda. Był cały pokryty krzem i piachem, brudny, a jego ogon zwisał nisko opuszczony. Kichnął ponownie. Poruszał się tak, jakby ledwie był w stanie stawiać łapkę za łapką, ale na widok Calhouna kichnął ponownie i powiedział „*Chee*!”, żałosnym głosem. Potem usiadł, i czekał aż Calhoun podbiegnie do niego i weźmie go na ręce.

Kiedy Calhoun to zrobił, Murgatroyd wtulił się w niego patetycznie i oświadczył:

– *Chee*! *Chee*! – a następnie jeszcze raz: – *Chee*! *Chee*! – wszystko to z taką intonacją, jakby opowiadał o jakichś niewiarygodnych horrorach i katastrofach, które wycierpiał.

I, prawdę mówiąc, uratowanie się tak małego zwierzęcia jak Murgatroyd, była czymś godnym podziwu. Uniknął tratujących wszystko racic, co najmniej setek szarżujących zwierząt. Wielką rolę musiało w tym mieć szczęście, ale niesamowita zręczność w uskakiwaniu, również stanowiła niezbędny element.

Calhoun skierował się z powrotem do doliny, w której mieściło się osiedle, i w której stał Statek Medyczny. Murgatroyd wczepił mu się w

szyję. Maril ze spuszczoną podążała z tyłu. Była w tym wieku, w którym dziewczęta –– i mężczyźni odpowiedniego rodzaju –– najsilniej poświęcają się ideałom albo sprawom, wobec braku odpowiedniej osobistej miłości. W kwestiach dotyczących tych spraw, stają się absolutnie pewni tego, że cokolwiek zdecydują się zrobić, będzie to sensowne, jedynie w przypadku jeżeli jest niesamowicie dramatyczne. Teraz jednak, pewność siebie Maril została zupełnie roztrzaskana.

Calhoun nic więcej już jej nie powiedział. Ruszył z powrotem. Po przejściu mniej więcej mili szlakiem powrotnym w stronę gór, zaczęli napotykać maruderów, z obecnie niewidocznego stada. Kawałek dalej, ci maruderzy zaczęli zauważać ich. Nie byłoby to istotne nawet przez chwilę, gdyby były to udomowione krowy mleczne, ale to było zdziczałe bydło z pastwisk. Dwukrotnie Calhoun musiał używać niesionej strzelby energetycznej, do zniechęcania podrywających się do szarży zdenerwowanych byków, albo może jeszcze bardziej nawet zdenerwowanych krów. Zwłaszcza te, które miały cielęta, ponuro podejrzewały Calhouna o najgorsze knowania wobec swojego potomstwa.

Kiedy weszli z powrotem w dolinę, poczuli prawdziwą ulgę. Do sieci lądowniczej, przy której stał Statek Medyczny i roznosił się odór padliny, pozostały jednak jeszcze dwie mile.

Byli może jakieś dwieście stóp od statku, kiedy trzasnął wystrzał ze strzelby energetycznej, a jej ładunek przeleciał ze świstem tuż obok Calhouna, tak blisko że aż poczuł potężne uderzenie gorąca. To nie było wyzwanie. To nie było ostrzeżenie. To po prostu był strzał, któremu zabrakło straszliwie niewiele do zakończenia kariery Calhouna, w kompletnie arbitralny sposób.

IV

Pięć minut później, Calhoun zlokalizował jednego z potencjalnych zabójców kryjącego się za stertą porozbijanych desek, kiedyś tworzących ścianę budynku. Podpalił stos drewna, przy pomocy wyładowania z blastera, a następnie wściekle ostrzeliwał kryjącego się za nim mężczyznę, który cofnął się przed płomieniami. Zasypał go szeregiem strzałów, posyłanych tuż obok niego. Mógłby go już wielokrotnie zabić, ale takie rozwiązanie uznał za niezbyt pożądany wstęp do nawiązania komunikacji. Tak więc umyślnie chybiał.

Maril zaczęła krzyczeć, że jest z Dara, i że ma dla nich wiadomości, ale napastnicy nie odpowiadali. Grupa napastników składała się z trzech mężczyzn z mocno wysłużonymi karabinami energetycznymi. Ten, którego Calhoun wykurzył ogniem z jego kryjówki, był właśnie jednym z tej trójki Należący do niego karabin eksplodował, kiedy dosięgły go płomienie. Pozostały jeszcze dwa.

Drugi z napastników, jak wkrótce odkrył Calhoun, przedarł się przez zarośla i wspiął się na półkę skalną, z której mógł ostrzeliwać Calhouna od góry. Calhoun po pierwszym strzale rzucił się w jakąś dziurę i wciągnął Maril za siebie. Na szczęście napastnik postanowił jednak spróbować przenieść się w inne miejsce, z którego miałby go wystawionego na strzał, jak na patelni.

Trzeci z mężczyzn wystrzelił kilka razy, a potem zniknął. Calhoun uznał, że zamierzał on zajść go od tyłu, w nadziei że z tego kierunku Calhoun nie będzie miał żadnej osłony. Wykonanie tego manewru, powinno zająć mu nieco czasu.

Tak więc chwilowo Calhoun pracowicie skoncentrował swój ogień na człowieku próbującym wspiąć się powyżej niego. Ukrył się on właśnie za głazem, podobnym do schronienia Calhouna. Calhoun wzniecił ogień w zaroślach, w miejscu do którego zmierzał napastnik. Dzięki temu, spowodował że wysiłek tamtego spełzł na niczym.

Następnie Calhoun posłał kilkanaście wyładowań w skalną osłonę przeciwnika. Głaz mocno się rozgrzał. Z białawej bryły skalnej zaczęła wydobywać się para, zawiewając w kierunku bezpośrednio od Calhouna. Zobaczył, że jego przeciwnik ucieka. Widział go tak wyraźnie, że z całą pewnością mógł potwierdzić obecność łaty niebieskiego pigmentu na prawej stronie jego karku.

Chrząknął i odwrócił się, żeby wypatrzyć trzeciego z napastników. Tamten przedzierał się przez gęste krzewy, i Calhoun wzniecił w nich ogień, starannie zaplanowanym wzorcem, coraz szerzej rozkładających się ścian płomieni. Nie ulegało wątpliwości, że ci ludzie nie mieli za sobą żadnego przeszkolenia w taktyce walki przy pomocy karabinów

energetycznych. Trzeci z mężczyzn również powinien uciec. Tak też się stało. Ale zanim to zrobił, od jego strony coś przeleciało łukiem ponad dymem. Przedmiot upadł na ziemię dokładnie pod wiatr od Calhouna. Gwałtownie buchnął z niego jakiś biały dym.

Tylko dzięki instynktowi Calhoun zareagował tak, jak zareagował. Szarpnięciem poderwał Maril na nogi i posłał ją pchnięciem w stronę Statku Medycznego. Niesiony z wiatrem dym wydobywający się z rzuconej bomby, zaledwie zawirował wokół niego, a Maril w ogóle uniknęła z nim kontaktu. Calhoun wyczuł jednak powiew czegoś dziwnego, odmiennego od zapachu spalenizny, czy płonących roślin. Wstrzymał oddech i rzucił się przed siebie. W czystym powietrzu, opróżnił płuca i ponownie nabrał powietrza. Byli już w połowie drogi do statku, z Murgatroydem gnającym przed nimi.

Wtedy jednak serce Calhouna zaczęło szaleńczo walić. Jego mięśnie skurczyły się i naprężyły. Czuł niezwykłe objawy, związane ze skrajną mobilizacją organizmu. Zaklął, ale jako funkcjonariusz Służby Medycznej, nie zareagował na tego rodzaju symptomy tak, jak zrobiłby to człowiek nie mający wykształcenia medycznego. Calhoun był dosyć dobrze obznajomiony z gazem łzawiącym, używanym przez policję na niektórych planetach.

Ale to musiało być coś innego i znacznie gorszego. Nawet w czasie kiedy pomagał Maril i popędzał ją dalej, automatycznie analizował swoje odczucia… i już wiedział. Gaz wywołujący panikę. Policja nie używała go, ponieważ panika jest zazwyczaj czymś jeszcze gorszym niż zamieszki. Calhoun czuł wszystkie fizyczne objawy strachu i obłędnego przerażenia.

Umysł człowieka przekształca doświadczaną grozę na określone odczucia fizyczne: szaleńcze bicie serca, napięte i skurczone mięśnie oraz gwałtowny bodziec do panicznego zachowania. Człowiek w którym tego rodzaju odczucia fizyczne, wzbudzone zostaną przy pomocy innych środków, zazwyczaj stwierdzi, że jego umysł odbiera je jako uczucie przerażenia.

Calhoun nie był w stanie walczyć ze swoimi wrażeniami, ale jego doświadczenie kliniczne pozwoliło mu działać pomimo ich występowania. Trójka przybyszów z Weald, dotarła do podnóża Statku Medycznego. Jeden z ich nieprzyjaciół stracił swój karabin, i można było go już nie liczyć. Drugi uciekł przed ogniem i chociaż przez kilka najbliższych chwil, można było go również zignorować. Jednak wyładowanie energii z karabinu trzeciego napastnika, uderzyło w metalowy kadłub statku jedynie o stopę od Calhouna, który natychmiast rzucił się dookoła kadłuba, na jego drugą stronę, i stamtąd wypuścił staccato rat-tat-tat wystrzałów, opróżniając swoja strzelbę, ze wszystkich znajdujących się w niej ładunków.

Potem otworzył właz do śluzy powietrznej, ze wstrętem odbierając fakt, że nieustannie cały trzęsie się i drży. Ponaglił dziewczynę i Murgatroyda, aby schowali się do środka. Wpadł za nimi i zatrzasnął zewnętrzny właz śluzy tuż przedtem, zanim uderzyło w niego kolejne wyładowanie energii.

– Oni… oni nie zdawali sobie sprawy – desperacko powiedziała Maril. – Gdyby tylko wiedzieli…

– Jeżeli pani chce, to może pani z nimi porozmawiać – wykrztusił Calhoun. Zęby mu szczękały, i wściekał się sam na siebie, z powodu tego objawu przerażenia, które nie był w stanie opanować.

Nacisnął przycisk na pulpicie sterującym. Wskazał ręką na mikrofon. Sam zaś wyciągnął butlę z tlenem i głęboko go wdychał. Tlen, w oczywisty sposób, powinien stanowić antidotum na panikę, ponieważ wszystkie objawy przerażenia działają tak, by zwiększać natlenienie krwiobiegu i mięśni, aby w razie potrzeby organizm mógł dokonać nadludzkich wysiłków.

Oddychanie dziewięćdziesięciopięcioprocentową mieszanką tlenu, zwalczyło efekt gazu wywołującego strach, tak więc serce zwolniło mu niemal do normalnego poziomu, a ciało rozprężyło się. Wyciągnął rękę przed oczy, przestała się trząść. Odebrał to jako osobistą zniewagę, widząc jak trzęsła się w niekontrolowany sposób, gdy naciskał przycisk mikrofonu dla Maril.

Odwrócił się do niej. Przestała już mówić do mikrofonu.

– Być może oni nie są wcale z Dara! – stwierdziła drżącym głosem. – Właśnie mi to przyszło do głowy! Oni mogą być zupełnie skądinąd, to być może jacyś kryminaliści, którzy zaplanowali atak na kopalnię dla zdobycia ładunku rudy.

– Nonsens – nie zgodził się Calhoun. – Widziałem jednego z nich dostatecznie wyraźnie, aby się upewnić. Ale to sceptycznie nastawione typy. Obawiam się, że więcej takich osobników może obecnie zmierzać w naszą stronę, z miejsca, w którym się skrywają, gdziekolwiek by ono nie było. Przynajmniej wiemy, że teraz mamy kilku z nich w zasięgu słuchu. Wykorzystajmy to, i zabierajmy się stąd.

Wziął mikrofon. W chwilę później w panującej na zewnątrz statku ciszy, zagrzmiał jego głos, przerywając wysokie ostre tony świergolenia niewidocznych malutkich stworzonek.

– Tu mówi Statek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia*! – powiedział Calhoun głosem, wzmocnionym do poziomu wrzasku. – Odleciałem z Weald cztery dni temu, dzień po przybyciu tam pochodzącego stąd statku transportowego. Wszyscy ludzie na jego pokładzie byli martwi. Na Weald nie wiedzą jak to się stało, ale podejrzewają błękitnoskórych. Prędzej czy później przeszukają to miejsce.

Po chwili kontynuował.

– Odejdźcie stąd! Zamaskujcie ślady swojego pobytu! Zniszczcie wszystkie oznaki, że kiedykolwiek tutaj byliście! Zabierajcie się stąd, i to piekielnie szybko! Jeszcze jedno ostrzeżenie! Mówiło się o zbombardowaniu Dara bombami fuzyjnymi. Oni są naprawdę wystraszeni! A jeżeli znajdą po was tutaj choćby ślad, wystraszą się jeszcze bardziej! Tak więc zamaskujcie oznaki waszego pobytu i wynoście się stąd!

Jego wielokrotnie wzmocniony głos przetoczył się po okolicy, budząc echa pośród wzgórz. Było go jednak słychać bardzo wyraźnie. Wszędzie tam gdzie dotarł, powinno być absolutnie jasno zrozumiały, a słychać go było w odległości kilku mil.

Nie było jednak żadnego odzewu. Calhoun poczekał rozsądny czas. Potem wzruszył ramionami i usiadł za sterami statku.

– Przekonanie zdesperowanych ludzi – zauważył, – że przechytrzyli siebie samych, nigdy nie jest rzeczą łatwą. Trzymaj się mocno, Murgatroyd!

Ryknęły rakiety. Potem rozległ się huk, potężniejszy niż jakikolwiek inne huki, i statek ruszył w górę. Przyśpieszał i pędził coraz wyżej, i wyżej, i wyżej. Po pewnym czasie był już poza atmosferą, i miał dostatecznie dużą szybkość, aby wyrwać się w otwarty kosmos, a Calhoun wyłączył wszystkie rakiety.

Zaczął odrabiać pracę domową z astrogacji, która rozpoczynała się od zorientowania statku z kierunkami galaktycznymi, co było niezbędne po opuszczeniu planety, która obracała się ze swoją określoną specyficzną szybkością. Następnie należy wyznaczyć kurs w hipernapędzie, w stronę miejsca docelowego, biorąc za podstawę odpowiednie współrzędne planety z której się startuje, oraz tej do której się zmierza.

Potem, w tym przypadku absolutnie bezwzględnie, następowało żmudne i precyzyjne zadanie, namierzenia gwiazdy czwartej wielkości, której jedna z planet była miejscem przeznaczenia.

– Wchodzimy w hipernapęd – oznajmił po pewnym czasie. – Trzymajcie się!

Kosmos zatoczył się. Pojawiły się nudności, zawroty głowy i straszliwe uczucie spadania po gwałtownej nieprawdopodobnej spirali. Potem cisza, stałość, i czerń na zewnątrz Statku Medycznego. Mały pojazd ponownie znalazł się w hipernapędzie.

Po dłuższej chwili, Maril z niepokojem zapytała:

– Nie wiem co pan teraz planuje.

– Lecę na Dara – odparł Calhoun. – Na Orede próbowałem tylko skłonić błękitnoskórych, żeby się stamtąd wynieśli, i to szybko. Być może nam się to udało, nie wiem. Ale tej sprawy nie można spartaczyć! Nawet jeżeli ci ludzie, tam na Dara, głodują, nie powinni robić rzeczy dyktowanych przez desperację! Uczucie desperacji powoduje że mózg traci znaczenie. Nie myśli się rozsądnie!

– Teraz już zdaję sobie sprawę, że byłam… bardzo głupia.

– Zapomnijmy o tym – powiedział Calhoun. – Nie mówiłem o pani. Miałem na myśli tę sytuację, którą Służba Medyczna powinna wykryć i załatwić, już całe pokolenia temu! Ale nie chodzi tylko o zobowiązania Służby Medycznej. To przez ten obecny bałagan! Zanim zdołałem nawet wpaść na ślad podstawowego problemu, ci idioci na Orede… To wszystko wydarzyło się zanim jeszcze w ogóle przyleciałem na Weald! Eksplozja emocjonalna wyzwolona została przez statek pełen martwych ludzi, których nikt nie zamierzał zabijać.

Maril pokręciła przecząco głową.

– Przede wszystkim – mówił dalej rozdrażniony Calhoun, – ci osobnicy z Dara, nie powinni w ogóle lecieć na Orede. Jeżeli już tam polecieli, przynajmniej powinni trzymać się kontynentu, na którym nie było ludzi z Weald, pracujących w kopalni i w czasie swoich wolnych dni, polujących

dla rozrywki na bydło! Przecież mógł ich ktoś zauważyć! I jak sądzę, zauważył.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– A w dodatku, gdyby to się stało w dużej odległości od samej kopalni, prawdopodobnie byliby w stanie zlikwidować ludzi, którzy ich zauważyli, zanim tamci wróciliby do osady z wieściami! Ale wygląda na to, że górnicy zobaczyli polujących myśliwych, podeszli do nich na tyle blisko, aby zorientować się, że to są błękitnoskórzy, a potem udało im się wrócić z tą wiadomością do kopalni!

Czekała, aż jej to dokładniej wyjaśni.

– Wiem, że to tylko moje domysły, ale to wszystko pasuje do siebie! – stwierdził z niesmakiem. – Coś więc trzeba było zrobić. Albo trzeba było zetrzeć z powierzchni całą osadę górniczą, albo w jakiś sposób zdyskredytować tę opowieść, że na Orede są błękitnoskórzy. Błękitnoskórzy próbowali obydwu rzeczy. Wykorzystali gaz wywołujący panikę, aby spłoszyć stado bydła, doprowadzić je do obłędu, tak by zaszarżowało na osadę, jak czworonożne tornado.

Zawiesił na chwilę głos.

– A potem, kiedy bydło już przeszło, użyli tego gazu przeciwko samej osadzie. Po tym wydarzeniu wszyscy ludzie w osadzie mieli uwierzyć, że na chwilę stracili głowy, no i przede wszystkim, musieliby się zająć opłakanym stanem osady. Nie byliby pewni wszystkiego co wcześniej widzieli czy słyszeli. Mogliby później próbować sprawdzać tę historię z błękitnoskórymi, ale nie wierzyliby w nią z całą pewnością. To powinno zadziałać!

Ponownie czekała na dalszy ciąg.

– Niestety, kiedy górnicy ulegli panice, pognali w popłochu na statek. Także niestety, gaz wywołujący przerażenie dostał się na statek razem z nimi. Tak więc nadal byli w panice, kiedy astrogator –– w panice! –– wystartował. Skierował się na Weald i przeszedł na hipernapęd –– co i tak doprowadziło ich na Weald –– ponieważ w taki sposób mógł najszybciej uciec od swoich wyimaginowanych strachów. Ale zarówno on, jak i wszyscy pozostali ludzie na statku, nadal szaleli z przerażenia, powodowanego przez gaz, który wdychali przez cały czas, dopóki nie umarli!

Cisza. Po dłuższej przerwie Maril spytała go:

– Nie uważa pan więc, że Daranie zabili ich celowo?

– Uważam, że byli głupi! – gniewnie stwierdził Calhoun. Zawsze znajdą się tacy, którzy w przypadku jakiegoś publicznego tumultu, ponaglają policję, aby użyła gazu wywołującego panikę. Ale to jest zbyt niebezpieczne. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, co zrobi pojedynczy człowiek, kiedy wpadnie w panikę. A jeżeli weźmiemy stu, dwustu lub trzystu takich spanikowanych ludzi, to ich szaleństwo nie będzie miało granic! Ta cała rzecz była od początku źle prowadzona!

– Ale nie wini ich pan?

– Za głupotę, tak – odparł rozdrażniony Calhoun. – Ale jeżeli ja byłbym na ich miejscu, to może…

– Skąd pan pochodzi? – spytała go nagle Maril.

Calhoun pokręcił głową niemal dookoła.

– Nie! Nie stamtąd skąd pani myśli, albo ma nadzieję. Nie z Dara. Tylko z tego powodu, że zachowuję się tak, jakby Daranie byli ludźmi, nie może pani wnioskować, że muszę być jednym z nich! Jestem funkcjonariuszem Służby Medycznej, i zachowuję się tak, jak uważam, że powinienem.

Ton jego głosu wskazywał na jeszcze większą irytację.

– Cholera, moim zadaniem jest walka z zagrożeniami zdrowotnymi, faktycznymi i potencjalnymi przyczynami ludzkiej śmierci! A jeżeli Weald uważa, że znajdzie dowód na to, że błękitnoskórzy ponownie wyruszyli w kosmos i spowodowali śmierć wielu Wealdian, to nie będzie zdrowa sytuacja! Oni już i tak na wpół zaakceptowali pomysł zrzucenia na Dara bomb fuzyjnych, aby zgładzić was wszystkich!

Maril gwałtownie zawołała:

– A niech zrzucą na nas te bomby! Przynajmniej to będzie szybsze niż śmierć z głodu!

Calhoun popatrzył na nią jeszcze bardziej rozdrażniony niż przedtem.

– A więc znowu jest nieurodzaj? – dopytywał się. Kiedy skinęła głową, stwierdził gorzkim tonem: – Już macie głód? – Kiedy ponownie potwierdziła, posępnie powiedział: – I oczywiście głód jest praprzyczyną problemów zdrowotnych! A to spada na moje barki, razem z całą resztą!

Wstał. Potem ponownie usiadł.

– Jestem zmęczony – oznajmił stanowczo. – Chciałbym się trochę przespać. Czy mogłaby pani wziąć sobie jakąś książkę, czy coś innego, i pójść do drugiej kabiny? Murgatroyd i ja potrzebujemy nieco oddechu od rzeczywistości. Jeżeli będę miał szczęście, to kiedy usnę, przyśni mi się jakiś koszmar. To będzie niesamowita poprawa, w stosunku do tego, z czym mam do czynienia obecnie!

Kiedy został sam w przedziale sterowniczym, próbował się odprężyć, ale było to niemożliwe. Usadowił się w wygodnym fotelu i zadumał się niewesoło. Można się zadumać, albo zadumać. Zadumanie może przybrać formę zatopienia się w litości nad sobą, w celu osiągnięcia satysfakcji emocjonalnej. Ale może ono również służyć ujawnieniu wszystkich niepomyślnych czynników związanych z daną sytuacją. Człowiek w optymistycznym nastroju, mógłby je zignorować. A nie można liczyć na rozwiązanie trudnej sytuacji, zaniedbując jakieś jej istotne elementy.

Calhoun z uporem rozważał trudną sytuację mieszkańców planety Dara, którą jako funkcjonariusz Służby Medycznej, miał obowiązek rozwiązać albo przynajmniej ją poprawić. Ci ludzie byli napiętnowani śladami niebieskiego pigmentu, co było odziedziczonym skutkiem zarazy sprzed trzech pokoleń. Z powodu tego piętna, które łatwo było powiązać z oznakami nadal trwającej infekcji, byli oni znienawidzeni przez swoich sąsiadów. Dara stała się planetą pariasów, wykluczonych z rasy ludzkiej przez tych, którzy ich się bali.

A teraz na Dara po raz kolejny panował głód, a oni nie mieli zamiaru spokojnie umierać w jego skutek. Na Orede znajdowało się jedzenie, olbrzymie stada bydła, nie posiadającego swoich właścicieli. Naturalnie był to wystarczający powód, aby Daranie zbudowali statek i próbowali

przywieźć żywność swoim głodującym współrodakom. Ale to tak rozpaczliwie potrzebne przedsięwzięcie, pobudziło Weald do szaleńczej panicznej reakcji.

Weald, o ile było to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej histerycznie obawiała się błękitnoskórych niż wcześniej, i jeszcze mocniej zapiekła się we wrogości wobec mieszkańców głodującej planety. Sama Weald rozkwitała. Ironicznie, miała takie nadmiary zbędnych zapasów żywnościowych, że zmagazynowała je w niepotrzebnych już statkach kosmicznych, krążących wokół niej na orbicie.

Setki tysięcy ton ziarna, krążyło wokół Weald, w szczelnie zamkniętych kadłubach statków, podczas gdy mieszkańcy Dara głodowali, próbując jedynie podkraść, jeżeli to w ogóle można było nazwać kradzieżą, parę sztuk z nieprzeliczonych chmar dzikiego bydła na Orede,

Błękitnoskórzy na Orede nie mogli zaufać Calhounowi, a więc udawali, że go nie słyszą. A być może rzeczywiście nie słyszeli. Zostali opuszczeni i zdradzeni przez resztę ludzkości, żyjącą poza ich planetą. Grożono im i stłamszono statkami wartowniczymi, krążącymi na orbicie ponad ich głowami, gotowymi zestrzelić każdy statek, jaki mogliby posłać w górę…

Calhoun nadal rozmyślał, kiedy Murgatroyd ziewnął i wcisnął się do swojej norki, zwijając się w kłębek by zasnąć, ze swoim futrzastym ogonem starannie rozłożonym na nosie.

Dużo później Calhoun usłyszał ciche odgłosy, które nie były normalne na lecącym na hipernapędzie Statku Medycznym. Nie były to również elementy losowych dźwięków, pieczołowicie generowanych automatycznie, aby panująca na statku cisza, była możliwa do zniesienia. Calhoun uniósł głowę. Uważnie się przysłuchiwał. Żadne odgłosy nie mogły przecież dobiegać z zewnątrz.

Zapukał do drzwi kabiny sypialnej. Odgłosy natychmiast ucichły.

– Czy mogłaby pani wyjść – poprosił przez zamknięte drzwi.

– U mnie… u mnie wszystko w porządku – odpowiedział mu głos Maril. Ale nie brzmiał całkiem pewnie. Przerwała. – Czy narobiłam hałasu? Miałam zły sen.

– Przykro mi z tego powodu – odparł Calhoun, – że mówi mi pani prawdę jedynie od czasu do czasu! Proszę wyjść natychmiast!

W środku coś się poruszyło. Po kilku chwilach, drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich Maril. Wyglądała, jakby przed chwilą płakała. Szybko zaczęła mówić:

– Prawdopodobnie wyglądam dziwnie, ale to tylko dlatego, że spałam.

– Wręcz przeciwnie – odparł Calhoun ze złością. – Nie spała pani, tylko leżała i płakała. Nie wiem dlaczego. Siedziałem tutaj na zewnątrz, żałując że muszę to robić, dlatego że byłem sfrustrowany. Ale ponieważ pani również nie śpi, może więc pani pomóc mi w pracy. Paru rzeczy domyśliłem się sam. Przy niektórych innych, będę potrzebował faktów. Czy poda mi je pani?

Przełknęła ślinę.

– Spróbuję.

– Kawa? – spytał ją.

Murgatroyd natychmiast wystawił główkę ze swojej miniaturowej kabiny sypialnej.

– *Chee*? – zapytał z zainteresowaniem.

– Wracaj spać! – warknął Calhoun.

Zaczął chodzić w tą i z powrotem.

– Muszę dowiedzieć się czegoś o tych plamach pigmentu – powiedział urywanym głosem. – Może to brzmi dziwnie, że rozmyślam o tym w takiej chwili –– ale wie pani, wszystko po kolei. A to jest podstawowa rzecz! Jak długo Daranie nie wyglądają tak jak ludzie z innych planet, będzie się wierzyć, że są odmieńcami. Jeżeli wyglądają odstręczająco, będzie się wierzyć, że są źli.

Przystanął.

– Proszę mi opowiedzieć o tych plamach. Mają różne rozmiary i kształty, ponadto występują w rozmaitych miejscach. W każdym razie pani nie ma żadnej ani na twarzy, ani na rękach.

– Nie mam żadnej nigdzie – poprawiła go z rezerwą dziewczyna.

– Myślałem…

– Nie wszyscy – powiedziała defensywnym tonem. – Prawie, tak. Ale nie wszyscy. Niektórzy ludzie ich nie mają. Niektórzy ludzie rodzą się tylko z błękitnawymi przebarwieniami na skórze, ale te znikają, kiedy są jeszcze dziećmi. Kiedy dorosną, wyglądają dokładnie tak samo, jak ludzie z Weald, czy z dowolnej innej planety. A ich dzieci nigdy nie mają plam.

Calhoun wpatrywał się w nią.

– Wtedy nie ma możliwości, aby udowodnić, ze ktoś jest Daraninem?

Pokręciła przecząco głową. Calhoun zapamiętał to sobie i zaczął robić kawę.

– Kiedy wyjechała pani z Dara – powiedział po dłuższej chwili, – zawieziono panią bardzo, bardzo daleko, na jakąś planetę, na której praktycznie nie słyszano o Dara, i gdzie ta nazwa nic nie znaczyła. Mogła przecież pani osiedlić się tam, albo gdziekolwiek indziej, i zapomnieć o Dara. Ale pani tego nie zrobiła. Dlaczego, skoro nie jest pani błękitnoskórą?

– Ależ jestem! – zawołała ze wściekłością. – Moi rodzice, moi bracia i siostry, Korvan…

Potem przygryzła wargę. Calhoun zapamiętał to sobie, ale nie skomentował kwestii imienia, które przed chwilą wspomniała.

– A więc pani rodzice mieli przebarwienia, które zanikły, tak że pani nigdy ich nawet nie miała – stwierdził z zastanowieniem. – Coś podobnego wydarzyło się już kiedyś na Tralee! Jest taki wirus, cała grupa szczepów wirusów! Normanie my, ludzie, jesteśmy na nie odporni. Człowiek musi znajdować się w straszliwie złym stanie fizycznym, żeby mogły go dopaść i spowodować efekty, jakie zwykle powodują. Ale kiedy już się w nim zagnieżdżą, to przekazywane są przez matkę na dzieci. A jeżeli obumierają, dzieje się to również w okresie dzieciństwa!

Nalał kawę dla nich obojga. Murgatroyd zeskoczył na podłogę i niecierpliwie przypomniał o sobie:

– Chee! Chee! Chee!

Calhoun z roztargnieniem napełnił mały kubek Murgatroyda i wręczył mu go.

– To jest naprawdę cudowne! – zawołał z energią. – Błękitne łaty pojawiły się po zarazie, tak? Po tym, kiedy ludzie wyzdrowieli –– jeżeli wyzdrowieli?

Maril wpatrywała się w niego. Jego głowa wypełniona była czysto zawodowymi rozważaniami. Nie rozmawiał z nią, jako z innym człowiekiem. Była wyłącznie czystym źródłem informacji.

– Tak, jak już powiedziałam – z narastającą rezerwą powiedziała Maril. – Czy ma pan jeszcze jakieś kolejne upokarzające pytania?

Gapił się na nią z otwartymi ustami. Potem powiedział przepraszającym tonem:

– Jestem głupcem, Maril, ale pani również jest trochę za bardzo drażliwa. Nie ma w tym nic osobistego…

– Dla mnie, jest! – wykrzyknęła z wściekłością. – Ja urodziłam się pomiędzy błękitnoskórymi, oni są moimi krewnymi, ale nienawidzi się ich jak bestie! A ja zostałabym na Weald natychmiast zabita, gdyby tylko ktoś się dowiedział, kim… czym jestem! No i jeszcze Korvan, który zorganizował to wszystko, abym wysłano mnie gdzieś daleko, jako szpiega, i radził mi dokładnie to samo, co pan powiedział przed chwilą: żebym porzuciła swoją rodzinną planetę i wszystkich na których mi zależy! Również i jego! To dla mnie jest osobista sprawa!

Calhoun bezradnie zmarszczył czoło.

– Naprawdę przepraszam – powtórzył. – Proszę wypić swoją kawę!

– Nie chcę jej – gorzko odparła. – Chcę umrzeć!

– Jeżeli pozostanie pani gdzieś w pobliżu mnie – powiedział jej Calhoun, – pani życzenie może szybko się spełnić. No dobrze, nie będzie już więcej pytań.

Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi do kabiny. Calhoun spojrzał w jej stronę.

– Maril.

– Słucham?

– Dlaczego pani płakała?

– Nie zrozumiałby pan – powiedziała bez śladu drżenia w głosie.

Calhoun wzruszył ramionami, unosząc je niemal do poziomu uszu. Był zawodowcem. Jeżeli chodzi o swoją profesję, był kompetentnym człowiekiem. Ale nie istnieje taki zawód, w którym najbardziej nawet kompetentny mężczyzna byłby w stanie zrozumieć kobietę. Calhoun, z rozdrażnieniem, musiał pozwolić, aby problemami osobistymi Maril, zajął się los, szczęście, albo nieszczęście. Miał dużo ważniejsze sprawy, które musiał rozwiązać.

Ale teraz przynajmniej miał już coś, nad czym mógł dalej popracować. Zagłębił się pracowicie w taśmach z materiałami. Zaczął od jasno sprecyzowanej kolekcji informacji, poświęconej bezpośrednio dokładnie tematowi, który go interesował. Wyszedł ze sterówki, udając się do pomieszczeń magazynowych na pokładzie Statku Medycznego. Znalazł ultra zimny pojemnik zabezpieczający, którego zawartość utrzymywana była w temperaturze ciekłego powietrza.

Założył grube rękawice i używając specjalnego zestawu szczypców, wyciągnął z niego mały sześcian z plastiku, w którym znajdowały się szczelnie zamknięte szklane fiolki. Kiedy go wyjął, natychmiast pokrył się mgiełką, i do czasu kiedy pojemnik został ponownie zamknięty, sześcian otaczała już gruba, nieprzezroczysta warstwa zamarzniętego szronu.

Wrócił do pomieszczenia sterówki i pociągając w dół, rozłożył panel dający dostęp do niewielkich rozmiarów, ale zdumiewająco bogato wyposażonego, laboratorium biologicznego. Wstawił plastikowy sześcian do pojemnika, który powinien ogrzać go, bardzo, bardzo powoli, do określonej temperatury, a następnie utrzymywać ją na tym samym poziomie. To oczywiście były żywe kultury, które można było namnożyć do dowolnej potrzebnej ilości danego drobnoustroju. Calhoun ustawił parametry aparatury, z wielką pieczołowitością.

– To – wyjaśnił Murgatroydowi, – może być robota na cały dzień. Teraz wydaje mi się, że mogę odpocząć.

Po tym wydarzeniu na Statku Medycznym, na dłuższy czas zapanowała cisza, i nie było nawet śladu ruchu. Dziewczyna może spała, a być może nie. Calhoun rozłożył się w fotelu, który po naciśnięciu przycisku, zmienił się w najbardziej wygodne miejsce do spania. Murgatroyd pozostał w swojej norce, z ogonem rozwiniętym na nosie.

Przez cały czas rozlegały się uspokajające, niemal niesłyszalne, łatwe do wyrzucenia poza nawias uwagi, szmery. Podtrzymywały one na statku wrażenie życia. Gdyby nie te tak leciuteńkie drgania dźwiękowe, nagrane uważnie dokładnie w tym właśnie celu, na statku panowałoby nastrój, niemal jak w grobowcu.

Zupełnie inaczej wyglądało to, kiedy na statku rozpoczął się kolejny dzień, a z taśmy zaczęły płynąć odgłosy pobudzające do porannej aktywności, równie ciche jak odległe echa, ale bez wątpienia w odpowiedni sposób zmieniające atmosferę.

Calhoun sprawdził plastikowy sześcian i jego zawartość. Odczytał wskazania przyrządów, które zajmowały się całą tą sprawą, w czasie kiedy on spał. Włożył sześcian –– teraz już nie oszroniony –– do mikroskopu tkankowego i zobaczył zamknięte w środku, nieskończenie malutkie żywe drobinki, w trakcie namnażania się na pożywce, która była zamrożona razem z nimi, kiedy ich funkcje życiowe zostały zredukowane do stanu przetrwalników. Rozpromienił się. Włożył sześcian do ciepłego inkubatora i radośnie stawił czoła nowemu dniu.

Maril przywitała się z nim, z dużym dystansem. Zjedli śniadanie, razem z Murgatroydem, jedzącym ze swojego własnego talerza, postawionego na podłodze, obok którego stał mały kubek kawy.

– Trochę myślałam – stanowczym tonem odezwała się Maril. – Wydaje mi się, że mogę posłuchać, jakie pomysły może pan przedstawić, aby pomóc Dara.

– Służę uprzejmie – wymamrotał Calhoun.

W teorii, funkcjonariusz Służby Medycznej miał pełnię władzy, jakiej potrzebował, w takich jak ten, i innych podobnych, nagłych przypadkach. Możliwość objęcia planety kwarantanną, i w ten sposób odcięcia jej od całego handlu międzygwiezdnego, powinna był wystarczającym

argumentem, aby wymusić współpracę, od każdego rządu planetarnego. Ale w praktyce, Calhoun miał dokładnie tyle władzy, ile udało mu się uzyskać sposobem.

A Weald, zwłaszcza w kwestiach związanych z błękitnoskórymi, mogła nie myśleć rozsądnie. A po władzach na Dara również z pewnością nie można było oczekiwać zachowania chłodnego umysłu. Mieli za sobą ciągnącą się przez pokolenia historię izolacji i odrzucenia, długoletnie doświadczenia traktowania jako coś gorszego niż ludzie. Biorąc pod uwagę zimną wymowę faktów, Calhoun nie miał żadnej władzy.

– Czy mogę spytać, jakie poparcie ma pani za sobą? – zainteresował się Calhoun.

– Jest pewien człowiek – wyznała powściągliwie Maril, – który wiele o mnie myśli. Nie wiem jaka jest obecnie jego oficjalna pozycja, ale był pewien, że będzie ona bardzo wpływowa. Opowiem mu, w jaki sposób działał pan aż do chwili obecnej, o pańskim osobistym nastawieniu, oraz linii polityki pańskiej Służby Medycznej. Z chęcią panu pomoże, jestem tego pewna.

– Wspaniale! – oznajmił Calhoun, przytakując głową. – To musi chodzić o Korvana.

Drgnęła.

– Skąd pan wiedział?

– Intuicja – sucho stwierdził Calhoun. – Dobrze. Będę na niego liczył.

Robił jednak nie tylko to. Przez cały dzień obowiązującego na statku czasu, a potem następny, pracował w małym laboratorium biologicznym. Dziewczyna była bardzo spokojna. Murgatroyd próbował nawiązać z nią udawaną konwersację, ale ona nie była w stanie wciągnąć się w jego zabawę.

Kolejnego dnia okrętowego, zbliżał się czas wyjścia z hipernapędu. Kiedy statek był praktycznie odrębnym światem, samym w sobie, łatwo było spoglądać z pewnością siebie w przyszłość. Ale teraz, kiedy kontakt i to raczej w formie konfliktu, z innymi większymi światami, stawał się coraz bliższy, perspektywy rysowały się również mniej jasno. Calhoun obecnie miał już określony plan, ale było wiele sposobów, w jakie mógł on zostać zniweczony.

Calhoun usiadł za sterami i wpatrywał się w zegar.

– Mam już sprawy poukładane po kolei – powiedział do Maril, – pod warunkiem że wszystko wyjdzie. Jeżeli uda mi się nakłonić kogoś na Dara do wysłuchania mnie, co już jest mało prawdopodobne, oraz jeżeli pójdą za moją poradą, czego prawdopodobnie nie zrobią. No i jeżeli Weald nie przyjmie tych pomysłów tak, jak prawdopodobnie je przyjmie, i jeżeli nie robi tego, co podejrzewam że robi. Wtedy, być może coś da się z tym zrobić.

– Jestem pewna, że zrobi pan wszystko, co tylko będzie pan mógł – uprzejmie odparła Maril.

Calhounowi udało się uśmiechnąć. Obserwował zegar. Podróż na hipernapędzie nie pociągała za sobą żadnych przykrych sensacji, poza początkiem i końcem. Teraz nadszedł czas na koniec. Mógłby niemal z pewnością przewidzieć niemal wszystko co się wydarzy w najbliższej

przyszłości. Jego plany mogą natychmiast zostać odrzucone, jako nie rokujące nadziei. Weald mogła wysłać na Dara statki, a Dara mogła znajdować się w takim stanie desperacji…

Jak się to wkrótce okazało, Dara była zdesperowana. Statek Medyczny wyszedł z hipernapędu niemal miesiąc świetlny od gwiazdy, wokół której krążyła Dara. Calhoun wykonał krótki skok w jej stronę. Dara była po drugiej stronie jaskrawego żółtego słońca. Dotarcie do niej zajęło nieco czasu.

Wywołał ziemię, identyfikując siebie oraz swój statek i prosząc o współrzędne, skąd mógłby zostać sprowadzony na dół. Ponieważ żądanie było tak niezwykłe, że odpowiedzi na nie, nie były przygotowane, zapanowało lekkie zamieszanie. Nie pomagało również to, że sieć znajdowała się po nocnej stronie planety. Wkrótce jednak statek został zamknięty w polach siłowych sieci lądowniczej. Powędrował w dół.

Calhoun widział, że Maril siedzi w napięciu, obracając palce jednej dłoni w drugiej, do chwili kiedy statek nie dotknął ziemi.

Wtedy otworzył właz wejściowy –– i stanął twarzą w twarz z kryjącymi się w ciemności uzbrojonymi ludźmi, trzymającymi wycelowane w niego karabiny energetyczne. W sam Statek Medyczny wycelowane zostało przenośne działko energetyczne.

– Wychodzić! – warknął jakiś głos. – Jeżeli spróbujecie czegoś, zostaniecie ostrzelani! Wasz statek i cała jego zawartość zostają przejęte przez rząd planetarny!

V

Wydawało się że zapach głodu wręcz wisiał w powietrzu. Otaczający statek uzbrojeni ludzie byli wynędzniali. Zapaliły się reflektory i na ziemi zaległy grube, ciężkie, czarne cienie. Mężczyźni którzy wzięli do niewoli Calhouna byli umundurowani, ale mundury zwisały na ich chudych ciałach zupełnie luźno. Kiedy światło padało na ich twarze, widać było zagłębienia wychudzonych policzków. Wyglądali niemal jak żywe trupy. W dodatku poznaczeni byli plamami pigmentu, o którym Calhoun tyle słyszał wcześniej.

Człowiek stojący najbliżej włazu Statku Medycznego, miał olbrzymi, nieregularny ciemnoniebieski plac, pokrywający mu całą jedną stronę twarzy i wchodzący na czoło. Następny z nich miał niebieskie gardło. Kolejny był słabiej poznaczony, ale jego lewe ucho było całe niebieskie, a na skórze pod włosami wydawało się, że widać muśnięcie w tym samym kolorze.

Dowódca tej wojowniczo wyglądającej grupy –– to mógł być ich pluton egzekucyjny –– wykonał władczy gest ręką. Była ona niemal cała niebieska, za wyjątkiem dwóch palców które w tym oślepiającym świetle reflektorów wydawały się bielsze niż śnieg.

– Wychodzić! – zawołał gwałtownie ten człowiek. – Przejmujemy wasze zapasy żywności. Dostaniecie oczywiście swój udział, tak jak wszyscy pozostali, ale…

Maril powiedziała kilka słów ponad ramieniem Calhouna. Wygłosiła zdanie lub dwa, jakimś kodem. To powinno wystarczyć do identyfikacji, ale w uzbrojonej grupie panował sceptycyzm.

– Och, a więc jesteś jedną z nas, co? – sardonicznie odparł dowódca grupy. – Będziesz miała szansę to udowodnić. Wychodźcie stamtąd!

Calhoun odezwał się gwałtownie:

– To jest Statek Medyczny! – powiedział. – Wewnątrz są środki medyczne i różne kultury bakteryjne! Z nimi nie ma żartów. Tutaj, na Dara, mieliście chyba już dosyć problemów z zarazami!

Mężczyzna z błękitną ręką odparł równie sardonicznym tonem jak poprzednio:

– Powiedziałem przecież, że to rząd przejmuje wasz statek! Nie zostanie on splądrowany! Ale nie zabierzecie stąd z powrotem całego waszego ładunku żywności! Prawdę mówiąc, mało prawdopodobne, byście w ogóle opuścili to miejsce!

– A ja chciałbym porozmawiać z jakimś przedstawicielem władz! – ostro rzucił Calhoun. – Właśnie przylecieliśmy z Weald! – Kiedy wymienił nazwę Weald, poczuł wszędzie dookoła rozjątrzoną nienawiść. – Tam zrobił się potężny tumult! Mówi się o zrzuceniu na was bomb fuzyjnych. To

są na tyle ważne sprawy, że muszę porozmawiać z jakimś przedstawicielem władz, żeby podjąć parę sensownych środków ostrożności!

Zszedł na ziemię. Gdzieś z tyłu rozległo się spanikowane „*Chee*! *Chee*!” i Murgatroyd rzucił się do Calhouna, wdrapując się po nim i z niepokojem przyciskając mu się do szyi.

– Co to jest?

– *Tormal* – odparł Calhoun. – On nie jest zwierzątkiem domowym. Wasi specjaliści medyczni powinni coś o tym wiedzieć. To jest Statek Medyczny, a ja jestem funkcjonariuszem Służby Medycznej. On jest również ważnym członkiem załogi. To jest *tormal* ze Statku Medycznego i zostaje ze mną!

Człowiek z niebieską ręką tylko szorstko stwierdził:

– Ktoś na was czeka, żeby zadać wam kilka pytań. Tutaj!

Podjechał samochód, który wyłonił się gdzieś spoza budynku sieci lądowniczej. Samochód miał koła, co nie było już często spotykane na nowoczesnych światach. Dara była mocno zacofana pod wieloma różnymi względami.

– Ten samochód zabierze was do ministerstwa Obrony, a tam będziecie mogli powiedzieć im wszystko, co chcecie. Ale nie próbujcie przekraść się z powrotem na statek! Będzie dobrze strzeżony!

Samochód był zamknięty, z miejscem w środku jedynie dla kierowcy i trójki ze Statku Medycznego. Ale uzbrojeni ludzie obwiesili go dookoła z zewnątrz i wkrótce ruszył podskakując i kołysząc się, w stronę masywnych dźwigarów, z jakich na poziomie ziemi zbudowana była sieć. Przetoczył się pod jednym z nich i wyjechał na utwardzoną autostradę. Zaczął nabierać szybkości.

Po obu stronach drogi pojawiały się jakieś budynki, ale jedynie niewiele z nich było oświetlonych. Była noc, a ludzie przy sieci lądowniczej, wykazywali oznaki głodu, a więc ciche i ciemne budynki nie wyglądały na oznakę spokoju i snu, ale raczej wyczerpania i rozpaczy.

Latarni przy autostradzie było niewiele, w porównaniu z innymi zamieszkałymi planetami, i samochód potrzebował własnych świateł, prowadzących jego kierowcę po betonowej drodze, wyraźnie wymagającej napraw. Dzięki tym poruszającym się razem z nimi światłom, można było dostrzec inne przygnębiające rzeczy: brak porządku, niezbyt dobrze utrzymane budynki, oznaki apatii, droga która od dawna nie była sprzątana, to tu, to tam, śmieci.

Nawet fakt, że nie było widać żadnych gwiazd na niebie, przyłączał się do poczucia nieszczęścia, ponurości i w ostateczności, głodu.

Maril nerwowo odezwała się do kierowcy.

– Głód ani trochę się nie poprawił?

Pokręcił głową w geście negacji, ale nic nie powiedział. Na tyle szyi miał wyraźną plamę niebieskiego pigmentu. Ciągnęła się do góry, aż pod włosy.

– Wyjechałam dwa lata temu – mówiła dalej Maril. – Wtedy właśnie się rozpoczynał. Jeszcze nie zaczęto racjonowania.

Kierowca odparł jednostajnym tonem.

– Teraz mamy racjonowanie!

Samochód jechał i jechał. Przed nimi pojawiła się duża otwarta przestrzeń. Światła wokół jej granicy, wydawały się słabe i było ich niewiele.

– Wszystko wydaje się jakieś gorsze. Nawet światła.

– Wykorzystujemy całą energię – powiedział kierowca, – do podgrzewania ziemi, tak by plony mogły rosnąć nawet tam, gdzie powinna być zima. Ale to nie daje za wiele.

Calhoun jakoś dostrzegł, że Maril zwilżyła wargi.

– Wysłano mnie statkiem – wyjaśniła kierowcy, – który poleciał na Trent, a potem już miałam na własną rękę, znaleźć transport na Weald. Wysyłałam raporty, na temat tego co się dowiedziałam, na Trent. Ktoś miał je przekazywać dalej, kiedy tylko będzie to możliwe.

Kierowca stwierdził:

– Wszyscy wiedzą, że człowiek na Trent zniknął. Może został złapany, a być może ktoś zobaczył go bez makijażu. Albo może po prostu nie chciał już dłużej być jednym z nas. Jako to różnica? Bez znaczenia.

Calhoun stwierdził, że lekko się krzywi. Kierowca nie był na nich zły. Stracił wszelką nadzieję. Ale mężczyźni nie powinni wpadać w rozpacz. Nie powinni przyjmować wrogości od tych, którzy ich otaczają, jako zesłanego przez los narzędzia swojej destrukcji.

Maril szybko wyjaśniła Calhounowi.

– Nie rozumie pan? Dara jest planetą zbudowaną z metali ciężkich. W naszej glebie znajduje się bardzo niewiele lekkich pierwiastków. Potas jest bardzo rzadki. Tak więc nasza ziemia, nie jest specjalnie urodzajna. Przed Plagą sprzedawaliśmy metale i produkty przemysłowe, aby importować żywność i minerały zawierające potas. Ale od czasu Plagi, praktycznie nie mamy handlu pozaplanetarnego. Zostaliśmy odcięci przez kwarantannę.

– Tyle, to i sam zrozumiałem – odparł Calhoun. – Zadaniem Służby Medycznej, było dopilnowanie żeby takie rzeczy, nigdy się nie wydarzyły. I zadaniem Służby Medycznej jest znalezienie sposobu, aby to teraz powstrzymać.

– Już za późno, żeby cokolwiek zrobić – oznajmił kierowca. – Czymkolwiek jest ta Służba Medyczna. Mówi się o zredukowaniu naszej populacji, aby wystarczyło żywności na przeżycie chociaż części z nas. Są tylko dwa pytania z tym związane. Pierwsze, kto powinien pozostać przy życiu, a drugie, dlaczego.

Samochód zmierzał teraz w kierunku skupiska nieco jaśniejszych świateł, po drugiej stronie dużej otwartej przestrzeni. W miarę jak się do nich zbliżali, robiły się coraz większe. Maril spytała kierowcę z wahaniem:

– Znałam kogoś, kto nazywał się Korvan… – Calhoun nie dosłyszał nazwiska. Maril kontynuowała niepewnym głosem. – Pracował nad jadalnymi roślinami. Wydawało mi się, że coś mógł osiągnąć w tej dziedzinie…

Kierowca odparł uszczypliwie:

– Pewnie! Każdy o nim słyszał! Zaproponował cudowną rzecz! On i jego zespół opracowali sposób przetwarzania chwastów, tak by nadawały się one do jedzenia. No i nadają się. Możesz wypełnić sobie żołądek i nie

czuć się głodny, ale to jest jak jedzenie siana. Głoduje się tak samo jak przedtem. A Korvan nadal pracuje. Jest szefem instytucji rządowej.

Samochód przejechał przez bramę. Zatrzymał się przed oświetlonymi drzwiami. Wiszący na nim uzbrojeni ludzie, zeskoczyli na ziemię. Czujnie obserwowali Calhouna, który wysiadł z samochodu, z Murgatroydem na ramieniu.

Kilka minut później stanęli przed pośpiesznie zebraną grupą urzędników z darańskiego rządu. Lądowanie statku kosmicznego na Dara, było tak znaczącym wydarzeniem, że spotkanie to można by praktycznie nazwać posiedzeniem rządu. A Calhoun od razu zauważył, że nie byli oni specjalnie lepiej odkarmieni, niż strażnicy w porcie kosmicznym.

Spoglądali na Calhouna i Maril, z dziwnie płonącymi oczyma. Powodem tego, oczywiście, był fakt, że tylko ich dwoje nie wykazywało żadnych oznak głodu. Od razu widać było, że nie przeżyli ostatniego okresu na głodowych racjach. Daranie je mieli, i teraz powiększało to, i tak nieuniknioną, nienawiść do wszystkich ludzi spoza ich planety.

– Nazywam się Calhoun – szybko oświadczył Calhoun. – Mam zwykłe uwierzytelnienia Służby Medycznej. Tak więc…

Nie czekał aż zaczną ich przesłuchiwać. Opowiedział im o fatalnym stanie rzeczy w Sektorze Dwunastym Służby Medycznej, tak że aby zaradzić tej niemożliwej do dalszego tolerowania sytuacji, musiano wypożyczyć ludzi z innych sektorów, i on właśnie był jednym z nich. Opowiedział im o swoim przylocie na Weald i o tym co tam się stało, począwszy od niezwykle uporczywych nalegań, aby udowodnił że nie jest Daraninem, skończywszy na przybyciu statku śmieci z Orede.

Przekazał im wiadomości, bezpośrednio ich dotyczące, których jeszcze nie znali. Przeszedł do relacji ze swojego postoju na Orede i jego celu, oraz spotkania z ludźmi, których tam znalazł. Kiedy skończył, zapanowała cisza. Przerwał ją, jako pierwszy.

– Dalej więc – powiedział, – Maril jest waszą agentką. Może wiele dodać do tego, co wam opowiedziałem. Ja jestem funkcjonariuszem Służby Medycznej. Mam tutaj pracę do wykonania, muszę przeprowadzić to, czego nie zrobiono wcześniej. Powinienem wykonać planetarną inspekcję zdrowotną, i sporządzić rekomendacje dla poprawienia istniejącego stanu rzeczy. Bardzo by mi pomogło, gdyby zaaranżowali państwo możliwość rozmowy z urzędnikami darańskiej opieki zdrowotnej. Sprawy wyglądają źle, i coś trzeba z tym zrobić.

Ktoś roześmiał się, niewesołym głosem.

– Co pan przepisze na długotrwałe niedożywienie? – spytał go szyderczo. – Na tym polegają nasze problemy zdrowotne!

– Przepiszę jedzenie – odparł Calhoun.

– Gdzie możemy zrealizować receptę?

– Na to również mam odpowiedź – szorstko stwierdził Calhoun. – Chciałbym porozmawiać ze wszystkimi pilotami kosmicznymi, jakich macie państwo do dyspozycji. Proszę zebrać waszych astrogatorów, a jak sądzę oni zaakceptują mój pomysł.

Milczenie miało absolutnie sceptyczny charakter.

– Orede…

– Nie, Orede – sprostował Calhoun. – Weald będzie tam polował na Daran na całej placecie. Jeżeli znajdą choćby jednego, zrzucą na was tutaj bomby.

– Nasi jedyni piloci kosmiczni – po chwili odparł wysoki mężczyzna, – są w tej chwili na Orede. Jeżeli powiedział pan nam prawdę, prawdopodobnie teraz wycofają się, z powodu pańskich ostrzeżeń. Powinni przywieźć ze sobą mięso.

Jego usta specyficznie drgnęły, i Calhoun zdawał sobie sprawę, że stało się to na samą myśl o jedzeniu.

– Które – ostro wtrącił inny mężczyzna, – pójdzie do szpitali! Nie próbowałem mięsa od dwóch lat!

– Nikt z nas nie próbował – warknął jeszcze ktoś inny. – Mamy jednak tego tutaj człowieka, Calhouna. Nie jestem specjalnie przekonany, że będzie w stanie zdziałać cuda, ale przecież zorientujemy się, jeżeli nas okłamie. Nałóżmy areszt na jego statek. Ponadto niech zajmą się nim nasi ludzie ze służby zdrowia. Oni zorientują się, czy jest on z tej Służby Medycznej, o której mówi! A tę Maril…

– Można potwierdzić moją tożsamość – przerwała mu Maril. – Moja misja polegała na tym, abym zbierała informacje i wysyłała je w tajnych meldunkach do jednego z nas, na Trent. Mam tutaj rodzinę. Oni mnie rozpoznają! I ja… był też ktoś, kto pracował nad żywnością, i jak mi się wydaje sprawił, że można wykorzystać… jako jedzenie, wszelkiego rodzaju rośliny. On mnie rozpozna.

Ktoś szorstko się roześmiał.

Maril przełknęła ślinę.

– Chcę się z nim zobaczyć – powtórzyła. – I z moją rodziną.

Jeden z poznaczonych na niebiesko ludzi odwrócił się od nich. Mężczyzna o szerokich ramionach, powiedział otwarcie:

– Nie spodziewaj się, że będą zadowoleni, kiedy cię zobaczą. I lepiej nie pokazuj się publicznie. Jesteś za dobrze odkarmiona. Będą cię za to nienawidzili.

Maril zaczęła płakać. Murgatroyd zaś zawołał z konsternacją:

– Chee! Chee!

Calhoun przycisnął go mocno. Zapanowało pewne zakłopotanie. A Calhoun w końcu znalazł się koło Ministra Zdrowia. Wyglądał na najbardziej zabiedzonego ze wszystkich oficjeli, jacy zebrali się, aby przesłuchać Calhouna. Zaproponował, aby bezzwłocznie rzucić okiem na sytuację w szpitalach.

Nie był to dobry pomysł. W sytuacji gdy cała populacja wegetowała na połowie racji żywnościowej, lub nawet mniej, kiedy nadchodziła noc, ludzie potrzebowali snu. Większość mieszkańców Dara, w rzeczywistości, przesypiała tyle godzin z tradycyjnego dwudziestoczterogodzinnego cyklu, ile dali rady. Znacznie przyjemniej było spać, niż czuwać i być dręczonym przez nieustanny głód.

Była jeszcze kwestia zwykłego poczucia przyzwoitości. Ciągły gryzący głód, spowodował u wszystkich efekt narastającego zgorzknienia. Powszechnym doświadczeniem stała się kłótliwość. A ludzie, którzy normalnie byliby liderami opinii, odczuwali wstyd ponieważ obsesyjnie

nawiedzały ich myśli o jedzeniu. Dlatego właśnie wszyscy jak najwięcej spali.

Pomimo wszystko Calhoun spędził w szpitalach czas aż do świtu. To co tam zastał, poruszyło go potężnie, aż do gwałtownego gniewu. Za dużo dzieci było chorych. W każdym przypadku, do ich choroby przyczyniło się niedożywienie. I nie było dostatecznych ilości jedzenia, aby można było je wyleczyć. Lekarze i pielęgniarki sami sobie odmawiali jedzenia, aby zaoszczędzić go dla swoich pacjentów. A większość z ograniczeń, jakie sobie narzucili, niewątpliwie miało dobrowolny charakter, ale dla nikogo na Dara nie było zbyt roztropnym posunięciem, aby wyglądać na podejrzanie lepiej odżywionego, niż jego towarzysze.

Calhoun zabrał ze statku, pod czujnym okiem strażnika, zapasy hormonów, enzymów i innych medykamentów. Zademonstrował chętnym procesy ich syntezy oraz auto-katalizy, które umożliwiały powielanie w nieskończoność takich niewielkich próbek. Spotkał się z gorącą żądzą wiedzy. Jeszcze istnieli tutaj lekarze, którzy ignorowali ironię faktu, że naucza się ich technik medycznych służących do leczenia chorób będących skutkiem niewłaściwego żywienia, podczas wszyscy dookoła jedli połowę tego co powinni, albo nawet mniej. Oni zaaprobowali Calhouna. Zaaprobowali nawet Murgatroyda, kiedy Calhoun wyjaśnił jego zadania.

Murgatroyd był oczywiście *tormalem* Służby Medycznej, a *tormale* były stworzeniami obdarzonymi pewnym talentem. Oryginalnie odnaleziono je na jednej z planet w obszarze Deneba, i były ujmującymi i przyjaznymi małymi zwierzętami. Najbardziej jednak nadzwyczajnym faktem z nimi związanym, było to, że nie zarażały się one żadnymi chorobami. Zupełnie żadnymi.

W ich organizmy wbudowana była gwałtowna reakcja na toksyny bakteryjne i wirusowe, i jak do tej pory, nie odkryto jeszcze żadnego organizmu patogennego, przeciwko któremu *tormal* nie byłby w stanie niemal od razu stworzyć mechanizmu obronnego z antyciał. Oczywiste więc, że dla medycyny międzyplanetarnej, *tormale* stały się bezcenne.

Wystarczyło zarazić Murgatroyda z jakimkolwiek dowolnie wybranym mikroorganizmem, z dowolnego miejsca pochodzenia, i w wkrótce z jego krwi można było wyizolować jakąś bardzo wartościową substancję obronną, a on przy tym pozostawał w swoim zwyczajnym doskonałym stanie zdrowia.

Kiedy antyciało zostało przeanalizowane przez specjalne techniki mikroanalizy, stworzone przez Służbę, niemal zawsze okazywało się strzałem w dziesiątkę. Można było je dalej syntetyzować w sposób sztuczny, i lekarz mógł zaatakować daną chorobę zakaźną, z całkowitą niemal pewnością końcowego sukcesu.

Tragedia Dara polegała na tym, że trzy pokolenia temu, kiedy szalała na niej plaga, na planetę nie przyleciał żaden Statek Medyczny. Gorzej nawet, po wybuchu zarazy Weald udało się wywrzeć nacisk, jakiemu mógł ulec jedynie zbrodniczo niekompetentny dyrektor Służby Medycznej. Ale to właśnie zbrodnicza niekompetencja i jej konsekwencje spowodowały wypożyczenie do Sektora Dwanaście Calhouna, tak by pomógł rozwiązać powstałe problemy. Nie było to jednak łatwe. Z Orede ciągle nie przyleciał

jeszcze żaden statek, który mógłby potwierdzić jego próbę, nakłonienia ich do ewakuacji tej samotnej planety, zanim Weald odkryje, że na jej powierzchni znajdują się błękitnoskórzy. Maril zniknęła, aby odwiedzić swoją rodzinę, czy też wrócić do niej na stałe. Albo być może aby skontaktować się z tajemniczym Korvanem, który zaaranżował jej wyjazd z Dara jako szpiega, radząc jej przy tym, aby zorganizowała sobie nowe życie w jakimś innym miejscu, porzucając dręczoną głodem pogardzaną, wyrzuconą poza nawias społeczeństwa, planetę.

Calhoun poznał obie zdobycze, jakie ten sam Korvan dał swojej planecie. Obie nie były specjalnie konstruktywne. Ofiarował się, aby udowodnić wartość drugiej z nich, umierając z jej powodu. Co mogło oznaczać, że był naprawdę godnym podziwu człowiekiem, albo że być może miał skłonności do męczeństwa, które są dużo bardziej powszechne, niż to sądzi większość ludzi. Po dwóch dniach, Calhoun był już dostatecznie mocno rozdrażniony z powodu głodu, do którego nie był przyzwyczajony, aby podejrzewać w nim najgorsze.

W międzyczasie Calhoun z zawziętością zatopił się w pracy. W szpitalach, kiedy pacjenci nie spali, i później w Statku Medycznym, pod strażą. Dostawał już skurczy z głodu, ale nie przerywał badań nad plastikowym sześcianem, z rozwijającą się wewnątrz niego kulturą biologiczną.

Pracował również nad powiększeniem zasobów materiału. Wycinał martwym pacjentom w szpitalach malutkie skrawki pokrytej pigmentem skóry, badał obszary o najsilniejszym nasyceniu pigmentu i bardzo, bardzo starannie weryfikował swoje teorie. Potrzebował do tego mikroskopu elektronowego, ale znalazł w niebieskich plamach wirusa, który pasował do rodzaju odkrytego na Tralee.

Wirusy z Tralee działały w taki sposób, że przekazywane były przez matkę na dzieci, i obserwowalne skutki działania tych quasi-żywych cząsteczek wirusowych, wyglądały jak obciążenia dziedziczne. Następnie Calhoun bardzo, bardzo ostrożnie wprowadził do kultury wirusowej materiał, który był namnażany w plastikowym sześcianie. Obserwował co się stanie.

Tak bardzo był usatysfakcjonowany tym co zrobił, że natychmiast potem zaczął ziewać, ziewać i ledwie udało mu się dotoczyć się do łóżka. Pilnujący go w Statku Medycznym strażnicy, spoglądali na niego ze zdumieniem.

Tej nocy przyleciał statek z Orede, wypełniony cały zamrożonymi półtuszami wołowiny. Calhoun nic o tym nie wiedział. Następnego ranka wróciła jednak Maril. Miała cienie pod oczyma, a wyraz jej twarzy wyglądał jakby straciła wszystko, co miało w jej życiu znaczenie.

– Wszystko ze mną w porządku – upierała się, kiedy Calhoun to skomentował. – Odwiedziłam rodzinę. Spotkałam się z Korvanem. Ze mną wszystko jest w zupełnym porządku.

– Nie jadła pani ani trochę lepiej niż ja – zauważył Calhoun.

– Nie mogłabym! – przyznała Maril. – Moje siostry, moje malutkie siostry… one są takie wychudzone… Racjonowanie obejmuje wszystkich i jest zorganizowane oficjalnie. Mieli nawet przydział dla mnie. Ale ja… nie

mogłam jeść! Oddałam niemal całe swoje jedzenie moim siostrom, a one… one pokłóciły się o nie!

Calhoun nic na to nie powiedział. Nie było nic do powiedzenia. Potem ponownie zaczęła opowiadać, ale już nieco mniej strapionym tonem.

– Korvan stwierdził, że głupio zrobiłam wracając tutaj.

– Być może miał rację – przyznał Calhoun.

– Ale ja musiałam to zrobić! – zaprotestowała Maril. – I teraz… mogłam jeść wszystko na co miałam ochotę, na Weald, na statku, i jest mi wstyd, że oni tutaj są na wpół zagłodzeni, a ja nie. A kiedy widzę, co zrobił z nimi głód… To takie straszne, kiedy ktoś jest zagłodzony niemal na śmierć, i nie jest w stanie myśleć o niczym innym, tylko o jedzeniu!

– Mam nadzieję – przypomniał Calhoun, – że coś uda mi się z tym zrobić. Gdybym tylko mógł zdobyć jednego czy dwóch astrogatorów…

– Statek, który był na Orede, przyleciał tej nocy – drżącym głosem powiedziała Maril. – jest cały wypełniony zamrożonym mięsem, ale jeden transport, to za mało, żeby zrobić jakąś różnicę dla całej planety! A jeżeli Weald będzie polował na nas na Orede, to nie ośmielimy się wrócić tam po więcej mięsa.

Nagle oznajmiła:

– Przywieźli jakichś więźniów. Byli górnikami. Podczas paniki nie uciekli na statek. Daranie, którzy spłoszyli bydło, wzięli ich jako jeńców. Musieli to zrobić!

– To prawda – stwierdził Calhoun. – Nie byłoby zbyt rozsądne, pozostawić na Orede porozrzucane wszędzie ciała Wealdian, z poderżniętymi gardłami. Albo, z drugiej strony, żywych, i opowiadających wszystkim o pogłoskach dotyczących błękitnoskórych. Nawet jeżeli mają poderżnąć im gardła teraz. Czy tak właśnie wygląda program?

Maril zadrżała.

– Nie. Dostaną głodowe racje, takie same jak wszyscy pozostali. A ludzie będą ich oglądać. Wealdianie spodziewają się, że lada chwila poumierają na plagę, ponieważ kontaktują się z Daranami. A więc ludzie oglądają ich i śmieją się. Ale tak naprawdę, to nie jest specjalnie zabawne.

– To wszystko jest naturalne – odparł Calhoun, – być może trochę brak w tym życzliwości międzyludzkiej. Ale, ale! Co z tymi astrogatorami? Potrzebuję ich do wykonania pewnej pracy o której myślę.

Maril wykręciła sobie palce.

– P-przyjdą tutaj –powiedziała przyciszonym głosem.

W sterówce statku siedział uzbrojony strażnik. Pilnował Calhouna przez większą część dnia wczorajszego, kiedy Calhoun zajmował się swoją tajemniczą pracą. Potem skończył służbę, a teraz zaczynał właśnie nową. Był mocno znudzony. Ale dopóki Calhoun nie dotknął pulpitu ze sterami, nic nie powinno go obchodzić. Nawet więc nie odwrócił głowy, kiedy Maril z Calhounem przeszli do drugiej kabiny i zasunęli za sobą drzwi.

– Astrogatorzy przyjdą niedługo – szybko oznajmiła. – Przyniosą ze sobą parę pudeł. Będą pana prosili o przeszkolenie, tak by mogli lepiej nawigować statkiem. Wracając z Orede, zgubili się. Nie to, żeby zgubili się na dobre, ale stracili sporo czasu. Wystarczająco dużo, by można zrobić dodatkowy wypad po mięso. Muszą być znacznie lepsi. Ja też mam tu być

razem z nimi, tak żeby byli pewni, że to czego będzie ich pan uczył, jest tym co rzeczywiście powinni robić.

Calhoun stwierdził:

– Tak?

– Oni zupełnie poszaleli! – porywczo zawołała Maril. – Wiedzą, że Weald wcześniej czy później zrobi jakąś potworną rzecz. Ale oni mają zamiar spróbować ich powstrzymać, robiąc coś jeszcze bardziej potwornego wcześniej! Nie wszyscy się zgadzają, ale wystarczająco wielu. A więc oni chcą do tego użyć pańskiego statku. Jest szybszy w hipernapędzie, i tak dalej. Chcą polecieć tym statkiem na Weald i… powiedzieli, że dadzą Weald coś do roboty u siebie, tak by nie miała czasu przeszkadzać nam!

Calhoun sucho oznajmił:

– Oto odpłata dla mnie za moje współczucie dla błękitnoskórych! Ale gdybym to ja przez parę lat chodził głodny, i wszędzie spotykał się z bezdenną pogardą ludzi, którzy powodowali że byłem głodny dalej, to przypuszczam, że mógłbym zareagować tak samo. Nie – przerwał jej szorstko, widząc że otworzyła usta, aby coś powiedzieć, – proszę nie mówić mi na czym to ma polegać. Biorąc pod uwagę wszystkie fakty, jest tylko jedna rzecz o którą może tutaj chodzić. Ale szczerze wątpię, czy to mogłoby się udać. No dobrze.

Rozsunął ponownie drzwi i wrócił do sterówki. Maril wyszła razem z nim. Powiedział zmieniając temat:

– Pracowałem nad jeszcze jednym problemem, oprócz kwestii związanych z wyżywieniem. Nie mamy czasu, aby akurat teraz o tym rozmawiać, ale wydaje mi się, że go rozwiązałem.

Maril odwróciła głowę, nasłuchując. Na asfalcie koło statku słychać było odgłosy kroków. Oba włazy do śluzy powietrznej były otwarte. Do środka weszło czterech mężczyzn. Wszyscy byli młodzi, i nie wyglądali na aż tak wygłodzonych, jak większość Daran, ale były po temu określone powody. Ich przywódca przedstawił siebie, oraz pozostałych. Byli to astrogatorzy ze statku, który zbudowała Dara próbując transportować żywność z Orede. Jak stwierdził ich samozwańczy przywódca, nie byli wystarczająco dobrzy. Przestrzelili swój punkt docelowy. Wyszli z hipernapędu za daleko za celem. Potrzebowali szkolenia.

Calhoun skinął głową i zauważył, że prosił o spotkanie z nimi. Wszyscy byli, oczywiście, błękitnoskórymi. Na pierwszym z nich, jedynym widocznym zniekształceniem, była niebieska plama na nadgarstku. U kolejnego, niebieskie znamię rozpoczynało się koło oczu i szło w górę skroni. Dla odmiany trzeci z nich, miał na skroniach białą łatę, podczas gdy reszta jego twarzy była ciemnoniebieska. Czwarty miał niebieskie palce u jednej ręki.

– Otrzymaliśmy rozkazy – oznajmił mocnym tonem ich przywódca, – zgłosić się u pana na pokładzie i nauczyć się jak kierować tym statkiem. Jest lepszy niż ten, który my mamy.

– Poprosiłem o spotkanie z panami – powtórzył Calhoun. – Mam pewien pomysł, który wyjaśnię, w miarę jak pójdziemy dalej… Te pudła?

Ktoś pownosił do śluzy żelazne pudła. Jeden z tej czwórki, bardzo ostrożnie wstawił je do środka.

– To nasze racje – odparł drugi z młodych mężczyzn. – Nie ruszamy się nigdzie, poza Orede, bez naszych przydziałów.

– Orede, tak. Zdaje się, że strzelaliśmy tam do siebie – zauważył uprzejmie Calhoun. – Czyż nie?

– Tak – krótko stwierdził młody człowiek.

Nie był ani specjalnie serdeczny, ani wrogo nastawiony. Zachowywał się jak wyprany z uczuć. Calhoun wzruszył ramionami.

– No cóż, możemy więc startować natychmiast. Tutaj jest komunikator, a tu jest przycisk. Możecie panowie wywołać sieć lądowniczą i zorganizować, aby wynieśli nas w kosmos.

Młody mężczyzna usiadł za pulpitem sterowniczym. W bardzo profesjonalny sposób przebrnął przez procedurę przygotowania do wyniesienia przez sieć lądowniczą, która nie zmieniała się już od niemal dwóch wieków. Szybko przechodził przez kolejne punkty, aż do rozkazu wyniesienia. Wtedy Calhoun go powstrzymał.

– Chwileczkę!

Wskazał ręką na śluzę powietrzną. Oba włazy były otwarte. Młody człowiek przy pulpicie sterowniczym, intensywnie się zarumienił. Jeden z pozostałych zamknął i zablokował włazy.

Statek uniósł się do góry. Calhoun przyglądał się wszystkiemu z pozorną obojętnością. Znalazł jednak okazję dla kilkunastu poprawek w procedurze. To miała być podróż treningowa, pod jego nadzorem i zgodna z jego sugestiami. Dlatego kiedy błękitnoskóry pilot chciał wejść Statkiem Medycznym w niekierowany hipernapęd, Calhoun zaczął robić się coraz bardziej surowy. Nalegał na określenie punktu docelowego. Zasugerował Weald.

Młodzi ludzie popatrzyli po sobie i zaakceptowali sugestię. Polecił aby obecny pilot wyszukał prawdziwą jasność tej gwiazdy i zmierzył jej obserwowalną jasność z miejsca w pobliżu Dara. Kazał mu oszacować zmianę w jasności, jaka będzie oczekiwana po określonej liczbie godzin w hipernapędzie, jeżeli wyjdzie się z niego, aby dokonać pomiarów.

Pierwszy z błękitnoskórych uczniów, zakończył określoną przez Calhouna turę służby, z dużo większym szacunkiem dla lekarza, niż było to na początku. Drugi z nich był za bardzo zdenerwowany, by pokazać się z lepszej strony niż pierwszy. Calhoun urządził mu ćwiczenia w użyciu map jasności, na których zmiany w obserwowalnej jasności gwiazd pomiędzy skokami w hipernapędzie, mogły być korelowane ze zmianami kątowymi, dając trójwymiarowy obraz najbliższych regionów nieba.

To były wysoce przydatne umiejętności, które nie mogły zostać opanowane na Dara, i przyszli astrogatorzy całkowicie zatopili się w tym i w innych elementach pilotażu kosmicznego. W trakcie kilku rejsów na Orede, dowiedzieli się na tyle dużo, by uświadamiać sobie, że potrzebowali znacznie więcej. Calhoun im to pokazał.

Calhoun nie próbował im specjalnie wszystkiego ułatwić. Był głodny i łatwo wpadał w złość. Poza tym, pozowanie na surowego, oraz wygłaszanie wszystkich sugestii jako rozkazów, było dobrą taktyką

szkoleniową. Zmieniał po kolei czterech młodych ludzi na stanowisku dowódcy statku, pod swoim nadzorem. Bez przerwy wykorzystywał Weald jako miejsce docelowe, ale stawiał też problemy w których Statek Medyczny wychodził z hipernapędu, zmierzając w nieznanym kierunku, wirując wzdłuż własnej osi, z precesją osi obrotu.

Trzeciemu ze swoich uczniów, kazał zidentyfikować Weald na globusie nieba zawierającym miliony gwiazd, i wziąć na nią kurs w hipernapędzie. Od czwartego nagle zażądał, obliczenia odległości do Weald wyłącznie na podstawie danych, jakie mógł zebrać z obserwacji, bez korzystania z żadnych rejestrów.

W tym samym czasie, pierwszy z mężczyzn, denerwował się, czekając na drugą wachtę. Calhoun udzielił każdemu z nich po kolei kolejnej wyczerpującej lekcji. Zorganizował im, prawdę mówiąc, wysoce intensywny, ale bardzo rozsądny kurs sztuki nawigowania w kosmosie. Jego młodzi uczniowie przejmowali dowodzenie na czterogodzinnych wachtach, z co najmniej jednym wyjściem z hipernapędu, na każdej z nich.

Podbudował pałający w nich entuzjazm. Całkowicie ignorowali niewygody powodowane przez dręczący ich głód –– chociaż na Orede nie mieli przecież żadnych powodów, aby ograniczać sobie racje żywnościowe –– coraz bardziej dumni z rzeczy, których się nauczyli.

Kiedy Weald stała się gwiazdą pierwszej wielkości, to prawdę mówiąc, cała czwórka nie została być może astrogatorami o najwyższych kwalifikacjach, ale stali się oni znacznie lepszymi pilotami kosmicznymi, niż na początku. W nieunikniony sposób w ich postawie w stosunku co Calhouna, pojawił się duży szacunek. Był surowy i sprawiedliwy. Na młodych ludziach, taka kombinacja zawsze robi wrażenie.

Maril pełniła rolę wyłącznie pasażerki. Teoretycznie, była tutaj, aby porównywać lekcje Calhouna z jego działaniami, kiedy lecieli sami. Ale w czasie tej podróży nie zrobił on niczego związanego ze szkoleniem, co byłoby odmienne od dwóch lotów międzygwiezdnych, jakie wykonała z nim Maril.

Zajmowała kabinę sypialną, na czas dwóch z sześciu wacht, każdego dnia pokładowego. Zajmowała się przygotowaczem jedzenia. Został on niemal zupełnie opróżniony z oryginalnych zapasów żywności, które zostały skonfiskowane przez rząd Dara. Taka ilość jedzenia nie robiła specjalnej różnicy w skali planety, ale rozsądne było, aby każdy na Dara był w równym stopniu źle odżywiony.

Szóstego dnia po opuszczeniu Dara, gwiazda Weald miała wielkość minus pięć dziesiątych. Teleskop elektronowy mógł już wykryć jej większe planety, a szczególnie gazowego giganta na piątej orbicie, o bardzo wysokim albedo. Calhoun znowu kazał swoim czterem uczniom, ocenić odległość od niej, wskazując różnice, jakie mogły się pojawić w pozycji wyjścia, gdyby kurs Statku Medycznego był źle wymierzony, choćby o jedną sekundę kątową.

– A teraz – energicznie oznajmił, – napijemy się kawy. Mam zamiar pasować was na pilotów. Maril, poproszę panią o cztery filiżanki kawy.

– *Chee*? – natychmiast zareagował Murgatroyd.

Statek Medyczny był straszliwie przepełniony, przy sześciu ludziach i Murgatroydzie, zajmujących przestrzeń przeznaczoną wyłącznie dla samych Calhouna i Murgatroyda. Mały *tormal* spędzał większość czasu w swojej norce, obserwując tylko paciorkowatymi oczyma, jak tak wielu ludzi kręci się wszędzie po czymś, co kiedyś było obszernym statkiem.

– Nie ma dla ciebie kawy, Murgatroyd – odparł mu Calhoun. – Ty nie brałeś udziału w lekcjach. To jest wyłącznie dla kończącej szkolenie klasy.

Murgatroyd wyszedł ze swojej miniaturowej norki. Znalazł swój mały kubek i podstawiał go z uporem, prosząc:

– Chee! Chee! Chee!

– Nie – twardo odparł Calhoun.

Przyjrzał się swojej klasie złożonej z czterech młodych ludzi, poznaczonych błękitnoskórymi piętnami.

– Wypijcie do dna! – polecił im. – To jest ostatni rozkaz, jak wam wydaję. Od tej chwili jesteście pełnoprawnymi pilotami!

Wypili kawę, pękając z dumy. Nie było pośród nich ani jednego, który by nie podziwiał Calhouna, za to że doprowadził ich do stanu w którym mogli podziwiać samych siebie. I, właściwie, stali się faktycznie niemal tak dobrymi pilotami, jak sobie to wyobrażali.

– A teraz – oznajmił Calhoun, – mam nadzieję, że powiecie mi prawdę o tych pudłach, które załadowaliście na pokład. Mówiliście, że to są wasze racje żywnościowe, ale przez ostatnie sześć dni nawet ich nie otworzyliście. Man pewien pomysł na to, co mogą one zawierać, ale powiedzcie mi to sami.

Cała czwórka wglądała na bardzo skrępowanych. Nastąpiła długa cisza.

– To mogłyby być – obojętnym tonem zauważył Calhoun, – kultury wirusowe, które miałyby zostać zrzucone na Weald. Weald przygotowuje plany, by wybić wszystkich ludzi na Dara. A więc, jakiś głupiec zdecydował zmusić Weald, aby zajęła się swoją własną zarazą, zamiast interesować się wami. Czy mam rację?

Młodzi ludzie wyglądali na strasznie nieszczęśliwych. Z młodego człowieka łatwo jest uczynić fanatyka. Ale musi być on nieustanie podburzany przeciwko swoim wrogom. Nie wolno pozostawić mu miejsca na nabranie zdrowego rozsądku i szacunku dla samego siebie. Przez cały czas ich pobytu na Statku Medycznym, w rozmowach nie padło żadne słowo na temat Weald, poza kwestią obiektu, w kierunku którego prowadzono astrogację jednostki. Nie padały żadne odniesienia dotyczące błękitnoskórych, wrogów, zagrożeń, ani innych tego typu spraw. Mówiono wyłącznie o pilotażu kosmicznym. Tych czterech młodych ludzi, stało się obecnie fanatykami w sprawach właściwej obsługi lecącego w przestrzeni statku.

– No cóż, sir – powiedział jeden z nich nieszczęśliwym tonem, – właściwie, to właśnie nam rozkazano zrobić.

– Nie zgadzam się – odparł Calhoun. – To nie może się udać. Pamiętajcie, że ja niedawno opuściłem Weald. Dyskutowali między sobą, że pewnego dnia Daranie mogliby próbować zrobić właśnie coś takiego. Poczynili przygotowania, by zwalczyć każdą możliwą zarazę, jaką moglibyście na nich zrzucić. Jeżeli tak często mówi się o czymś takim, to

musi być to dobrze przeprowadzone. To nie mogłoby się udać. Nie zgadzam się!

– Ale…

– Prawdę mówiąc – przerwał im Calhoun, – to nawet tego zabraniam. Jestem w stanie temu zapobiec. Nie zrobicie nic podobnego.

Jednemu z młodych ludzi, wpatrujących się w Calhouna, nagle opadła głowa. Zamknęły mu się oczy. Szarpnięciem wyprostował głowę i rozglądał się w oszołomieniu. Drugi opadł ciężko na fotel.

– T-to zabaffne! – Stwierdził nieobecnym głosem, i nagle usnął.

Trzeci stwierdził, że rozjeżdżają mu się kolana. Skierował całą uwagę na nie, usiłując usztywnić nogi. Ale po chwili kolana poddały się, jakby były z gumy, i powoli osunął się na podłogę. Czwarty z nich oznajmił niskim i pełnym wyrzutu głosem:

– Myszlałem, że pan jest nszym pszjacielm!

Upadł na podłogę.

Calhoun bardzo rozsądnie związał im ręce i nogi, i ułożył ich wygodnie na podłodze. Maril obserwowała wszystko, z zupełnie białą twarzą, trzymając rękę przy ustach. Nawet Murgatroyd wyglądał na poruszonego. Oznajmił z niepokojem:

– Chee? Chee?

– Nie – uspokoił go Calhoun. – Niebawem ponownie się obudzą.

Maril wyszeptała pełnym napięcia i desperacji tonem:

– Pan nas zdradził! Zamierza pan zabrać nas wszystkich na Weald!

– Nie – odparł Calhoun. – Tylko wejdziemy na orbitę wokół planety. Przedtem jednak chcę się pozbyć tych przeklętych pakunków z kulturami wirusowymi. Tak przy okazji, one i tak są martwe. Zabiłem je ultradźwiękami już parę dni temu, w trakcie trwania pasjonującej dyskusji o pomiarach odległości przy wykorzystaniu zmiennych Cefeid o znanym okresie.

Uważnie umieścił wszystkie cztery pudła w śmieciarce. Uruchomił ją. Pudła i ich zawartość zostały wyrzucone jedno po drugim w kosmos w postaci strugi metalicznych i innego rodzaju oparów. Calhoun usiadł przy pulpicie sterowniczym.

– Jestem funkcjonariuszem Służby Medycznej – oznajmił chłodno. – W żadnym wypadku nie mógłbym współpracować przy rozsiewaniu śmiertelnych zaraz, chociaż mała użyteczna epidemia, mogłaby być zupełnie inną kwestią. Ale zmuszanie Weald do zajęcia się kłopotami które tylko jeszcze bardziej zwiększyłyby jej nienawiść do Dara, nie jest teraz najważniejszą sprawą. Naprawdę ważne jest zdobycie żywności dla Dara. I to nie jakichś drobnych ilości, niczego w gruncie rzeczy nie zmieniających. To czego potrzeba, to tysiące ton, albo nawet dziesiątki tysięcy. – Następnie dodał jeszcze: – Wchodzimy w hipernapęd. Murdatroyd! Trzymaj się mocno!

Wszechświat zniknął w mgnieniu oka. Zmianie tej towarzyszyły zwyczajne nieprzyjemne sensacje. Murgatroyd beknął.

VI

Znaczną część firmamentu przesłaniał oślepiająco jasny pół-dysk Weald, jaskrawo świecący odbitym światłem słonecznym. Wyraźnie można było rozróżnić na nim czapy polarne na biegunach, morza i pocętkowane obszary lądu, na którym pieczołowicie utrzymywano równowagę obszarów zalesionych i terenów rolniczych, co pozwalało prowadzić tak efektywną kontrolę klimatu. Statek Medyczny swobodnie leciał przez kosmos, a Calhoun z rozdrażnieniem nasłuchiwał na wszystkich możliwych częstotliwościach, na jakich działały używane przez cywilizację ludzką namierniki.

Na statku panowała względna cisza. Maril wpatrywała się w Calhouna, sparaliżowana przez stan zdesperowanej niemocy decyzyjnej. Czterej młodzi błękitnoskórzy dalej spali, ciągle leżąc ze związanymi rękoma i nogami na podłodze sterówki. Murgatroyd wodził wzrokiem po nich, a następnie po Maril i Calhounie, a jego małe pokryte futrem czółko marszczyło się bezradnie.

– Nie mogli przecież sprowadzić, tego co szukam, z powrotem na dół! – pieklił się Calhoun, kiedy jego poszukiwania nie przynosiły żadnego skutku. – Nie mogli tego zrobić! To byłoby zbyt sensowne posunięcie, żeby się na nie zdecydowali!

– *Chee*! – przytłumionym głosem potwierdził Murgatroyd.

– Ale gdzie, u diabła, mogli je umieścić? – dopytywał sam siebie Calhoun. – Orbita biegunowa, to byłoby wręcz śmieszne! Oni… – Wtedy aż chrząknął z niesmakiem. – Och! Oczywiście! No to, gdzie jest ta sieć lądownicza?

Pracował w skupieniu przez kilka minut, sprawdzając położenie wealdiańskiej sieci lądowniczej, która była oznaczona na mapach w Katalogu Galaktycznym Sektora, weryfikując je z wyglądem kontynentów i mórz na pół-dysku planety, tak wyraźnie widocznym na zewnątrz. W końcu znalazł cel swoich poszukiwań. Włączył napęd statku, wykorzystywany w obrębie systemów słonecznych.

– Szkoda – poskarżył się Maril, – szkoda, że od razu nie pomyślałem o czymś tak prostym. A przecież to takie oczywiste! Gdyby chciała pani umieścić jakąś rzecz w kosmosie, tak by nie kolidowała ona z normalnym ruchem statków, jakiego rodzaju orbitę oraz jaką wysokość pani by wybrała?

Maril nic nie odpowiedziała.

– Oczywiście – wyjaśnił Calhoun, – zabrałaby ją pani najdalej jak to tylko możliwe, od wszystkich normalnych dróg podejścia statków zmierzających do portu kosmicznego. Najlepiej byłoby umieścić tę rzecz po przeciwległej stronie planety. No i chciałaby pani, żeby pozostała ona

tam na stałe, jak najdalej od trajektorii, na których każdy mógłby ją w każdej chwili zobaczyć, nie potrzebując zupełnie niczego szukać i wyliczać.

Uniósł palec.

– Tak więc umieszcza pani tę rzecz na orbicie, aby okrążała Weald w czasie dokładnie jednej doby, ani mniej ani więcej, oraz umieszcza ją pani nad równikiem. Potem nasz obiekt pozostaje w stałej pozycji, ponad określonym miejscem na planecie, sto osiemdziesiąt stopni długości geograficznej od sieci lądowniczej, bezpośrednio ponad równikiem.

Przez chwilę bazgrał coś na kartce.

– Co oznacza wysokość czterdziestu dwóch tysięcy mil, plus minus parę setek, i… jest! A ja szukałem tego na niskich orbitach!

Gderał do siebie w podobny sposób. Poczekał aż napęd systemowy przemieści Statek Medyczny jedną czwartą drogi wokół położonej poniżej jasnej planety. Linia zachodu zniknęła i dysk planety przybrał kształt pełnego koła. Potem Calhoun ponownie zaczął wsłuchiwać się w dźwięki płynące ze słuchawek wykrywacza, jeszcze raz chrząknął, zmieniając kurs, i wkrótce wydał z siebie odgłos wskazujący na głęboką satysfakcję.

Zrezygnował z naprowadzania przy pomocy instrumentów i wyglądał bezpośrednio przez port widokowy, z dużą delikatnością używając napędu systemowego. Murgatroyd oznajmił z przygnębieniem:

– *Chee*!

– Przestań się zamartwiać – polecił mu Calhoun. – Jak do tej pory nas nie zauważono, a tam jest działająca radiolatarnia, tak na wszelki wypadek, aby nikt nie walnął w to czego szukamy. To duża pomoc, ponieważ my chcemy w to walnąć, tyle że delikatnie.

Przez port widokowy, którym wyglądał, przesuwały się gwiazdy. Potem pojawiło się w nim coś ciemnego. Nawet Maril, pomimo stanu desperacji i oszołomienia, w jakim się znajdowała, zauważyła kształt jakiegoś znajdującego się w kosmosie obiektu, znacznie większego od Statku Medycznego. Zaczęła przyglądać się uważniej. Statek Medyczny manewrował z najwyższą ostrożnością. Dostrzegła kolejny duży obiekt. Trzeci. Czwarty. Wydawało się, że są tam ich całe dziesiątki.

Były to statki kosmiczne, w porównaniu z *Asklepiosem Dwadzieścia*, ogromnych rozmiarów. Unosiły się w kosmosie, podobnie jak Statek Medyczny. W przeciwieństwie do niego, nie miały jednak włączonych silników. Nie tworzyły żadnej uporządkowanej formacji. Nie leciały w równych odległościach od siebie. Nawet nie wskazywały dziobami w tym samymi kierunku. Kołysały się bezwładnie w próżni, jak wraki.

Calhoun pilotował swój mały statek, z idealną precyzją. Wkrótce nastąpiło bardzo delikatne zderzenie, a potem usłyszeli szczęknięcie. Widok za portem widokowym ustabilizował się, chociaż ciągle był trudny do uwierzenia. Statek Medyczny przywarł na przyssawkach magnetycznych do potężnej powierzchni ze spawanego metalu.

Calhoun odprężył się. Otworzył szafę w ścianie i wyciągnął z niej skafander kosmiczny. Zaczął szybko nakładać go na siebie.

– Wszystko idzie gładko – skomentował sytuację. – Nikt nas nie wywoływał. Jest więc ekstremalnie nieprawdopodobne, abyśmy zostali zauważeni. Nasi przyjaciele na podłodze wkrótce powinni zacząć

przychodzić do siebie. A ja w międzyczasie muszę sprawdzić, czy zostanę bohaterem, czy raczej władowałem się w pewne kłopoty!

Maril odparła posępnym tonem:

– Nie ma pojęcia, co pan zrobił, poza…

Calhoun mrugnął do niej wesoło, naciągając jednocześnie na pierś i na ramiona, swój ubiór próżniowy.

– Czy to nie jest oczywiste? – dopytywał się. – Dałem tym osobnikom lekcję astrogacji. Z pewnością nie zrobiłem tego po to, aby pomóc im zrzucić na Weald pojemniki z zarazkami! Przywiozłem ich tutaj! Czy nie widzi pani po co? Oto są statki kosmiczne. Nie mają załogi, i nikt nimi nie steruje. Prawdę mówiąc, to nie są one niczym innym, jak tylko latającymi po niebie zbiornikami magazynowymi!

Zdawał się uważać, że tłumaczenia są zakończone. Włożył ręce w rękawy i rękawice skafandra. Narzucił na ramiona zbiornik z powietrzem i umocował go do skafandra.

– Niedługo wrócę – powiedział, – mam nadzieję, że z dobrymi wieściami. Mam powody do optymizmu, ponieważ ci Wealdianie są bardzo praktycznymi ludźmi. Wszystkie rzeczy mają zawsze przygotowane i zapięte na ostatni guzik. Podejrzewam, że na tych statkach znajdę zapasy powietrza, paliwa, a być może nawet żywności, tak żeby w razie potrzeby, gdyby Weald musiała coś zrobić ze zmagazynowanym w ich ładowniach towarem, wystarczyło tylko przewieźć na nie załogi.

Zdjął hełm kosmiczny z półki i nałożył go na głowę. Przetestował skafander, sprawdzając ciśnienie powietrza w zbiorniku, stan zasobników energetycznych i inne dane wyświetlane na miniaturowych ekranach przyrządów, umieszczonych w malutkich wgłębieniach, tuż powyżej poziomu oczu. Umocował w pasie linę zabezpieczającą, rozmawiając z Maril przez otwartą płytę czołową hełmu:

– Gdyby nasi przyjaciele obudzili się przed moim powrotem – dodał na koniec, – prosiłbym, aby pani ich powstrzymała. Porzucenie mnie tutaj, raczej by mi się nie spodobało.

Ruszył człapiącym krokiem do śluzy powietrznej, ze zwojem linki, przewieszonym przez jedno z chronionych przez skafander ramion. Zamknął za sobą wewnętrzny właz śluzy. Nieco później, Maril usłyszała jak otwiera się właz zewnętrzny. Potem zapadła cisza.

Murgatroyd leciutko pisnął. Maril wzdrygnęła się. Calhoun wyszedł ze statku, w próżnię. Powiedział jakiś czas temu, że to czego szukał i w końcu znalazł, znajdowało się czterdzieści dwie mile ponad Weald. Trudno sobie wyobrazić że można spaść z odległości roku świetlnego, ale z czterdziestu dwóch mil, dużo łatwiej.

Calhoun szedł po stalowych płytach poszycia gigantycznego statku kosmicznego, unoszącego się dostojnie pośród dziesiątków swoich towarzyszy, z których wszystkie wyglądały jak wraki i wydawały się opuszczone. Mógł chodzić po jego kadłubie, dzięki butom z podeszwami magnetycznymi. Powierzył swoje życie im oraz cienkiej lince zabezpieczającej, ciągnącej się za jego plecami, aż do wnętrza śluzy powietrznej Statku Medycznego.

Czas mijał. Zegar tykał w szybkim tempie, pięciu tyknięć na sekundę, co było normalnym zwyczajem zegarów, od niepamiętnych czasów. Tylko on oraz cichutkie, spowszedniałe, odgłosy dobiegające z taśm nadających tło dźwiękowe, zapobiegały przed zapadnięciem na statku nieznośnie ciężkiej całkowitej ciszy.

Maril stwierdziła w pewnej chwili, że z napięciem nasłuchuje innych odgłosów. Jeden z czterech związanych błekitnoskórych, lekko chrapnął, poruszył się i ponownie zasnął. Murgatroyd rozglądał się dookoła nieszczęśliwym spojrzeniem, by w końcu ześlizgnąć się na podłogę sterówki. Potem jednak stanął bezradny, z braku miejsca, do którego miałby się udać, jak również czegoś do zrobienia. Usiadł więc i, wyraźnie bez serca, zaczął lizać swoje bokobrody. Maril poruszyła się.

Murgatroyd popatrzył na nią z nadzieją.

– *Chee*? – spytał ostrym głosem.

Pokręciła przecząco głową. Przyzwyczaiła się już zachowywać się tak, jakby Murgatroyd był istotą rozumną.

– Nie – powiedziała niepewnym głosem. – Jeszcze nie.

Mijały kolejne minuty. Nieznośnie długie minuty. Potem do ich uszu dobiegł cichuteńki szczęk. Powtórzył się. Następnie nagle w śluzie rozległy się jakieś hałasy. Nie ustawały. Odgłosy krzątaniny.

Zewnętrzny właz śluzy został zamknięty. Potem otworzył się wewnętrzny. Ze środka wyleciała gęsta biała mgła, w której coś się poruszało. Calhoun wychodzący za mgłą ze śluzy. Niósł ze sobą jakieś rzeczy, które przedtem nie miały żadnej wagi, ale w polu grawitacyjnym statku nagle zrobiły się ciężkie. Były to dwa skafandry kosmiczne i dziwaczny zestaw jakichś paczek. Rzucił je na podłogę, odsunął na bok osłonę czołową hełmu i energicznie oznajmił:

– Ależ to jest zimne! Maril, czy mogłaby pani włączyć grzejnik?

Sam natomiast zaczął rozbierać się ze swojego ubioru próżniowego.

– Załatwione – poinformował ją. – Statki mają paliwo i zaopatrzenie. Ci Wealdianie, to praktyczny narodek! Statki są gotowe do odlotu, kiedy tylko ogrzeje się ich wnętrza. Zajmująca pół stopnia tarcza słoneczna nie jest w stanie utrzymać statku w cieple, kiedy reszta kosmosu efektywnie zbliża się do zera bezwzględnego. To jest rola dla grzejników, takich jak ten.

Podkręcił promienniki cieplne. Wszędzie tam, gdzie padały ich promienie, mgła znikała. A metalowe skafandry kosmiczne, błyszczały i parowały. Para ta znikała w odległości kilku cali od ich powierzchni. Były tak bardzo zimne, że powietrze kondensowało na nich, zamieniając się w płyn, który natychmiast ponownie parował, tworząc mgłę, która rozgrzewając się znikała, ale natychmiast zastępowana była przez nową.

– Załatwione – powtórzył po raz kolejny Calhoun, wydostając ręce z rękawów skafandra. – Stery są zupełnie standardowe. Nasi śpiący przyjaciele, bez żadnych problemów powinni być w stanie polecieć tymi statkami z powrotem na Dara, pod warunkiem, że zanim wyruszą w drogę, nikt nie zwali się nam na głowę i nie zacznie sprawiać kłopotów.

Dokończył zdejmowanie skafandra kosmicznego, wyciągając ze środka nogi.

– I – dodał kwaśno, – przydźwigałem nawet dla wszystkich zainteresowanych trochę żywności, z żelaznych zapasów statków, ale zdaje się że jestem na tyle głupi, że stawałyby mi w gardle podczas jedzenia, na samą myśl o tym, że Dara ciągle głoduje.

Maril odparła:

– Ale przecież dla Dara nie ma już nadziei! Prawdziwej nadziei!

Stanął przed nią z otwartymi ustami.

– A jak pani myśli, po co my tutaj jesteśmy?

Zabrał się do przywracania do świadomości swoich czterech uczniów. Nie było to specjalnie trudne zadanie. Dawka środka usypiającego domieszana do kawy, którą dostali podczas ceremonii ukończenia szkolenia –– dodajmy: ceremonii składającej się wyłącznie z wypicia kilku łyków kawy i pójścia lulu –– była tak dobrana, by umożliwić ich łatwe obudzenie. Calhoun oczywiście od razu zabezpieczył się, rozbrajając ich, ale wkrótce potem czterech młodych ludzi wodziło za nim płonącymi ze wściekłości spojrzeniami.

– Chciałbym prosić – oznajmił Calhoun, niedbale trzymając w ręku blaster, – chciałbym prosić o ochotników. Na Dara szaleje klęska głodu. Weald ma nadwyżki plonów, z którymi nie ma co zrobić. Na Dara, rząd rozpaczliwie racjonuje każdą uncję jedzenia. Na Weald, rząd skupuje nadwyżki ziarna, aby utrzymać jego ceny.

Przerwał na chwilę.

– Aby zaoszczędzić na kosztach magazynowania, załadowali ziarno na przestarzałe statki kosmiczne, kiedyś używane do utrzymywania straży nad Dara, i powstrzymania jej przed ponownym wyruszeniem w kosmos, kiedy wybuchnie kolejna klęska głodu. Te statki zostały umieszczone na orbicie, a my zakotwiczyliśmy do jednego z nich.

Wskazał ręką na port widokowy.

– Ten statek wyładowany jest pół milionem buszli ziarna. Przyniosłem z niego skafandry kosmiczne, włączyłem na pokładzie grzejniki, i ustawiłem jego jednostkę hipernapędu na skok na Dara. Teraz proszę o ochotników do dostarczenia pół miliona buszli ziarna do miejsca, gdzie jest ono bardzo potrzebne. Czy są jacyś ochotnicy?

Było aż czterech. Nie od razu, byli bowiem bardzo zawstydzeni, ponieważ uniemożliwił im przeprowadzenie ich oryginalnego fanatycznego planu. A teraz w dodatku oferował coś znacznie lepszego, co mogli zrobić w miejsce tamtej rzeczy. Byli więc wściekli. Ale pół miliona buszli ziarna oznaczało, że ludzie którzy w innym przypadku by umarli, mieli szansę przeżyć.

Ostatecznie z wojowniczym oporem, najpierw jeden, a następnie po kolei, wszyscy zgodzili się na jego propozycję.

– No, dobrze! – łaskawie zgodził się Calhoun. – A teraz, ilu z was zaryzykuje samotny lot? Jeden ze statków zbożowych już się rozgrzewa. Ale wokół nas jest jeszcze mnóstwo innych. Każdy z was może zabrać na Dara statek i pół miliona buszli zboża, jeżeli tylko będziecie mieli odwagę aby tego dokonać!

Atmosfera zmieniła się diametralnie. Nagle wszyscy domagali się zadania, które im zaproponował. Ciągle czuli się bardzo nieswojo. Kierował

nimi i był ich nauczycielem, Aż do chwili kiedy poczuli wiarę w swoje umiejętności, poczuli się wspaniali i dumni. Potem wytargał ich za uszy i zmieszał z błotem. Ale jeżeli wrócą na Dara z czterema statkami wroga, z trudnymi do wyobrażenia ilościami żywności, która pomoże przerwać klęskę głodu…

Oczywiście, najpierw było trochę pracy do wykonania. Podgrzewany był tylko jeden statek. Do trzech kolejnych trzeba było dostać się w skafandrach kosmicznych. W każdym z nich należało ogrzać wnętrze, tak by powietrze na pokładzie stało się zdatne do oddychania, i doprowadzić do rozsądnej temperatury co najmniej część zmagazynowanych zapasów, aby można było korzystać z nich podczas podróży.

Potem należało sprawdzić jednostkę hipernapędu, oraz ustawić na niej odpowiednią długość lotu, jakiej wymagał bezpośredni skok w hipernapędzie na Dara. Calhoun musiał się ponadto upewnić, że wszyscy z tej czwórki potrafili zidentyfikować Dara w każdych warunkach, i wytyczyć na nią kurs z odpowiednio wysoką wymaganą precyzją, zarówno przed wejściem w hipernapęd, jak i po wyjściu z niego. Kiedy wszystko to zostało dopilnowane, Calhoun mógł mieć rozsądną nadzieję, że uda im się dotrzeć do celu. Ale nie mógł być tego zupełnie pewien.

Wkrótce, jego czterech uczniów, uścisnęło mu rękę, z dobroduszną tolerancją, młodych ludzi zamierzających zrealizować dużo większe plany, niż ich nauczyciel. Nie mogli potem rozmawiać przez komunikatory, ponieważ ich transmisje mogłyby zostać przechwycone na Weald.

Oczywiście, aby ich wielce heroiczne działania mogły zakończyć się sukcesem, musiały zostać wykonane w ukryciu, tak by nikt nie zauważył kradzieży.

Wydawało się, że minęły całe wieki. W końcu jeden ze statków zaczął skręcać, jak gdyby wokół jakiejś niewidocznej osi. Zakołysał się w jedną i w drugą stronę, jakby szukając punktu w który chciał wycelować dziobem. Drugi zaczął skręcać na swojej pozycji. Trzeci dał leciutki ciąg silnikiem systemowym, aby oddalić się nieco od innych. Czwarty…

Pierwszy ze statków zniknął. Wszedł w hipernapęd, zmierzając w stronę Dara, z szybkością wielokrotnie przekraczającą prędkość światła. Kolejny. Pozostałe dwa.

I to było wszystko. Reszta floty nadal wisiała niezgrabnie w próżni. A Calhoun z zatroskaniem przeglądał w pamięci wszystkie lekcje, jakich udzielił swoim uczniom, w trakcie tak rozpaczliwie małej liczby dni. Jeżeli cztery statki dolecą do Dara, ich piloci zostaną bohaterami. Calhoun przedstawił im te przyszłe fawory, aby przełamać ich zgorzkniałą negację. Ale ta chwała spadnie na nich –– jeżeli dolecą na Dara.

Maril przyglądała mu się dziwnym wzrokiem.

– A teraz, co? – spytała.

– Pokręcimy się tutaj jeszcze trochę – odparł Calhoun. – Tak, by zobaczyć czy z Weald nie przyleci ktoś tutaj, żeby sprawdzić co się stało. Kiedy statek wchodzi w hipernapęd, zawsze możliwe jest, że ktoś odbierze jakiegoś rodzaju sygnał. Zwykle nie jest to poważna sprawa. Być może nikt nie zwrócił uwagi. Ale jeżeli ktoś do nas przyleci…

– To co?

– Byłoby to bardzo niefortunne – przyznał Calhoun. Nagle zaczął wyglądać na bardzo zmęczonego. – Zniweczyłoby to wszelkie szanse na kolejne nasze powroty tutaj, żeby podkraść nieco więcej jedzenia. Tak na podobieństwo międzygwiezdnych myszy. Jeżeli oni zorientują się co zrobiliśmy, będą oczekiwali, że ponownie spróbujemy tej samej sztuczki. Mogliby przygotować na nas pułapkę. Albo mogliby na przykład wylądować resztą tych statków.

– Gdybym zdawała sobie sprawę z tego co pan planował – stwierdziła Maril, – przyłączyłabym się do waszych lekcji. Ja również mogłabym pilotować statek.

– Raczej by pani tego nie chciała – stwierdził Calhoun. Ziewnął szeroko. – Nie chciałaby pani zostać bohaterką. Żadna normalna dziewczyna by nie chciała.

– Dlaczego?

– Korvan – wyjaśnił Calhoun. Ziewnął ponownie. – Pytałem trochę o niego. Próbował dosyć rozpaczliwie zasłużyć się dla swoich błękitnoskórych rodaków. Wszystko co mu się udało osiągnąć, to stworzyć sposób mniej bolesnego zagłodzenia się. Nie czułby się dobrze, gdyby jego dziewczyna pomogła uczynić śmierć z głodu, nie tak nieuniknioną. Podziwiałby panią uprzejmie, ale nigdy by się z panią nie ożenił. A pani dobrze o tym wie.

Pokręciła głową, ale trudno powiedzieć, czy zaprzeczała reakcji Korvana, którego przecież Calhoun nigdy nie widział na oczy, czy przeczyła temu, że był on dla niej najważniejszy na świecie. Calhoun wyraźnie sugerował to ostatnie.

– Wydaje się, że pan również wcale nie próbuje zostać bohaterem! – zaprotestowała.

– Specjalnie by mnie to nie zmartwiło – przyznał Calhoun, – ale mam pracę do wykonania. Ktoś musi to zrobić. I to jest dla mnie ważniejsze, niż ludzki podziw.

– Pan również mógłby przyprowadzić z powrotem jeden statek – zaproponowała mu. – Byłby dużo więcej wart dla Dara, niż Statek Medyczny. A wtedy każdy by zrozumiał, że to pan wszystko zaplanował.

– Ach – odparł Calhoun, – nawet pani nie ma pojęcia, ile ten statek znaczy dla Dara!

Usiadł za sterami. Nałożył na uszy słuchawki. Nasłuchiwał. Bardzo, bardzo uważnie, monitorował wszystkie długości fal i wszystkie ich parametry, o których wiedział, że były używane na Weald. Nie było żadnej wzmianki, o jakimś dziwnym zachowaniu krążących w górze statków magazynowych z nadwyżką zboża. W ogóle nie było żadnych wiadomości o jakichkolwiek statkach. Było mnóstwo doniesień na temat Dara i błękitnoskórych oraz informacji dotyczących brutalnej walki politycznej, jaka miała obecnie miejsce, polegającej na prześciganiu się przez partie polityczne w obietnicach, która z nich będzie w stanie obiecać najdalej idącą ochronę przeciwko błękitnoskórym.

Po pełnej godzinie wysłuchiwania tego wszystkiego, Calhoun raptownie wyłączył odbiornik i poprowadził Statek Medyczny starannie wyliczonym kursem, dokładnie w kierunku gwiazdy, wokół której krążyła Dara. Po pewnym czasie zawołał:

– Wchodzimy w hipernapęd, Murgatroyd!

Murgatroyd przytrzymał się łapką. Gwiazdy znikły, wszechświat się zatoczył, i Statek Medyczny znalazł się w czymś w rodzaju własnego kosmosu, do którego nie mógł dotrzeć żaden sygnał, nie mogło przedrzeć się żadne niebezpieczeństwo i w którym nie istniały inne dźwięki poza tymi tworzonymi na bieżąco, aby zapobiec śmiertelnej ciszy.

Calhoun ponownie ziewnął.

– Teraz, przez dzień lub dwa, nie będziemy mieli nic do roboty – stwierdził ze zmęczeniem. – A ja powoli zaczynam rozumieć, dlaczego ludzie na Dara, jak tylko mogą, to śpią. To jedyny sposób na to, aby nie czuć się głodnym. A te wspaniałe sny, o przepysznym jedzeniu! Ale czuć się głodnym, to na Dara wymaganie społeczne.

Maril spytała z napięciem:

– A więc wraca pan tam? Po tym, jak zabrali panu statek?

– Nie skończyłem jeszcze mojej pracy – wyjaśnił jej. – Nie zażegnaliśmy jeszcze nawet klęski głodu, a głód jest przecież tylko efektem wtórnym. Gdyby nie było czegoś takiego jak niebieska skóra, nie byłoby głodu. Żywność zawsze gdzieś można kupić. Musimy zrobić coś, aby upewnić się, że klęska głodu nigdy już się nie powtórzy.

Popatrzyła na niego dziwnym wzrokiem.

– To byłoby niesłychanie pożądane – stwierdziła z ironią. – Ale nie jest pan w stanie tego dokonać.

– Nie, jeszcze nie dzisiaj – przyznał. Potem oznajmił tęsknym głosem: – Po drodze tutaj, w czasie naszego seminarium z astrogacji, nie było zbyt wiele okazji do spania. Wydaje mi się, że chciałbym się nieco przespać.

Wstała i prawie ostentacyjnie wyszła do drugiej kabiny, zostawiając go samego. Wzruszył ramionami. Położył się wygodnie na fotelu, który, aby przerwać monotonię życia w niezmiennym otoczeniu, jakiej doświadczały załogi Statków Medycznych, mógł przekształcić się w wygodne miejsce do spania. Natychmiast zatonął we śnie.

Przez wiele, wiele godzin pokładowych, nie było żadnych działań, działalności albo wydarzeń, które mogłyby przynieść jakiekolwiek możliwe do wyobrażenia następstwa dla Statku Medycznego. Bardzo, bardzo daleko, w odległości kilku lat świetlnych od nich, i kilku lat świetlnych od siebie, cztery wypełnione ziarnem transportowce pędziły w stronę dotkniętej klęską głodu planety błękitnoskórych. Każdy z wielkich statków miał tylko jednego na wpół wyszkolonego błękitnoskórego, służącego za pilota i całą załogę.

Tysiące milionów gwiazd płonęło z gwałtownością stosowną dla ich gwiezdnych typów, w galaktyce której jedynie bardzo niewielka część, została przebadana i skolonizowana przez ludzkość. Rasa ludzka liczyła obecnie kwadryliony osobników, zamieszkujących tysiące planet, ale niewielki Statek Medyczny wydawał się być spośród wszystkich stworzonych przez nią rzeczy, jedną z najmniej istotnych.

Potrafił podróżować pomiędzy różnymi układami słonecznymi, a nawet pomiędzy skupiskami gwiezdnymi, nie był jednak w stanie pokonać całego kontynentu gwiazd, po którym rozproszyła się ludzkość. A nawet przelot pomiędzy dowolnymi układami, dowolnych dwu gwiazd, zajmował

Statkowi Medycznemu wiele czasu. Co niektórych ludzi, którzy nie mieli nic do roboty, ani żadnych możliwości skrytych w nich samych, mogło przyprawić o szaleństwo.

W czasie drugiego dnia pokładowego, Calhoun sumiennie, ale z pewną niechęcią, pracował w małym laboratorium statku. Maril obserwowała go z czymś w rodzaju zadumanego milczenia. Murgatroyd przez większość czasu spał, z futrzastym ogonem, starannie rozłożonym na nosie.

Pod koniec dnia, Calhoun zakończył swoją pracę. Miał odmierzone sześć lub siedem centymetrów sześciennych klarownej cieczy, która stanowiła efekt długiego procesu hodowli kultur, badań pod mikroskopem, ponownej hodowli, plus końcowego filtrowania. Spoglądał na zegar i liczył czas.

– Lepiej zaczekać do jutra – w końcu stwierdził i włożył naczynie z klarowną cieczą do bezpiecznego przechowalnika z kontrolowaną temperaturą.

– Co to jest? – spytała go Maril. – Do czego to będzie?

– To część pracy, jaką się zajmuję – odparł Calhoun. Przez chwilę się zastanawiał: – Co by pani powiedziała na odrobinę muzyki?

Wyglądała na zdumioną. Przygotował urządzenie, założył do niego mikrotaśmę i usiadł z powrotem, aby posłuchać. Później rozległa się muzyka, jakiej nigdy jeszcze nie słyszała. Było to kolejne urządzenie mające na celu przeciwdziałać izolacji oraz monotonii podróży między różnymi planetami. Aby nie traciło ono swojej skuteczności, Calhoun dozował sobie muzykę, podobnie jak i inne rzeczy.

Każda przyjemność często powtarzana, wchodzi w nawyk, w tym sensie, że nie daje już takiego zadowolenia, kiedy jej się oddajemy, ale powoduje powstawanie stresów, jeżeli jesteśmy jej pozbawieni. Calhoun umyślnie robił sobie tygodnie przerwy, pomiędzy korzystaniem ze swoich nagrań, tak by muzyka ciągle była wydarzeniem, którego wyglądał z niecierpliwością i którym się cieszył.

Kiedy zmienił poruszające symfonie Kun Gee, na uspokajające, kojące melodie kompozytorów Szkoły Obrzeża, Maril obdarzyła go naprawdę bardzo szczególnym spojrzeniem.

– Wydaje mi się, że już rozumiem – oznajmiła powoli, – dlaczego pan nie zachowuje się tak, jak inni ludzie. Na przykład, w stosunku do mnie. Pański sposób życia, daje panu to, czego inni ludzie muszą szukać w najróżniejsze zwariowane sposoby –– czyniąc wykonywaną pracę pożywką dla swojej próżności, narzędziem do podbudowania dumy z siebie samych, tak by mogli poczuć się istotni. Pan zaś może zaangażować całą swoją uwagę, w pańską pracę.

Przemyślał jej słowa.

– Życie codzienne Statku Medycznego, jest tak zorganizowane, aby utrzymać człowieka przy zdrowych zmysłach – przyznał w końcu. – I działa to całkiem nieźle. Zaspokaja wszystkie moje potrzeby umysłowe. Ale są jeszcze instynkty…

Czekała. Ale nie kończył.

– A co pan robi z tymi instynktami, których muzyka, praca i inne tego typu rzeczy, nie są w stanie zaspokoić?

Calhoun uśmiechnął się krzywo.
– Nie pobłażam im ani na krok. Nie ma innego sposobu.
Wstał i wyraźnie oczekiwał od niej, że przejdzie do drugiej kabiny, na noc. Wyszła.
Kiedy wyciągnął próbkę klarownej cieczy, nad wyprodukowaniem której tak długo pracował, było już po śniadaniu, następnego dnia pokładowego.
– Zobaczymy jak to działa – stwierdził. – Murgatroyd jest całkiem niezły, w przypadku gdyby coś poszło nie tak. Dopóki on jest na pokładzie statku, a oprócz niego tylko nasza dwójka, to będzie absolutnie bezpieczne.
Przyglądała się, jak wstrzyknął sobie pod skórę pół cc. Potem lekko zadrżała.
– Jak to ma działać?
– To właśnie musimy sprawdzić. – Przerwał na chwilę. – Pani i ja – oznajmił z pewną suchością w głosie, – stanowimy doskonały test dla każdego przypadku. Jeżeli złapie pani coś ode mnie, będzie to naprawdę zaraźliwe.
Spoglądała na niego, niczego nie rozumiejąc.
Zmierzył sobie temperaturę. Wyciągnął segregatory, w których znajdowały się jego rozkazy, dotyczące każdej planety, na której powinien odbyć standardową inspekcję Służby Medycznej. Była pomiędzy nimi Weald. Dara nie. Ale funkcjonariusze Służby Medycznej mają dużą swobodę działania, nawet jeżeli chodzi o realizację normalnych procedur działania Służby Medycznej. Kiedy wykrywano jakieś operacje paskudnie zaniedbane, swoboda była dużo większa. Calhoun przeglądał papiery.
Dwie godziny później, ponownie zmierzył sobie temperaturę. Wyglądał na zadowolonego. Sporządził wpis w dzienniku okrętowym. Po kolejnych dwóch godzinach stwierdził, że ma silne pragnienie, i w związku z tym wyglądał na jeszcze bardziej zadowolonego.
Sporządził kolejny wpis w dzienniku, spokojnie i rzeczowo pobrał sobie z żyły niewielką ilość krwi i zawołał Murgatroyda. Murgatroyd przyjaźnie poddał się trywialnej operacji iniekcji, jaką przeprowadził Calhoun. Calhoun odłożył sprzęt i zauważył, że Maril przygląda się mu z wyrazem lekkiego wstrząsu na twarzy.
– To go w ogóle nie bolało – wyjaśnił jej Calhoun. – Zaraz po urodzeniu, malutkie miejsce na jego boku zostało pozbawione nerwów bólowych. Murgatroyd czuje się zupełnie dobrze. Właśnie po to tutaj jest!
– Ale przecież on jest pańskim przyjacielem! – żachnęła się Maril.
Murgatroyd, pomimo niewielkich rozmiarów i pokrywającego go futerka, miał wszystkie ludzkie atrybuty, których zazwyczaj wkrótce nabiera żyjące z ludźmi zwierzę. Calhoun popatrzył na niego z sympatią.
– Jest moim asystentem. Nie proszę go o nic, czego bym sam nie zrobił. Ale obaj jesteśmy ze Służby Medycznej. I robię dla niego rzeczy, których on sam by nie zrobił. Na przykład, przygotowuję dla niego kawę.
Murgatroyd usłyszał znajome słowo. Natychmiast zareagował:
– *Chee*!
– No, dobrze – zgodził się Calhoun. – Możemy się trochę napić.

Zrobił kawę. Murgatroyd wziął łyk z kubeczka, który był specjalnie przystosowany do jego malutkich łapek. Raz podrapał się po miejscu na boku, w którym nie miał nerwów bólowych. Swędziało go. Ale przez cały czas był doskonale zadowolony. Murgatroyd zawsze był zadowolony, kiedy przebywał gdzieś w pobliżu Calhouna.

Minęła kolejna godzina. Murgatroyd wszedł Calhounowi na kolana, wyraźnie zdeterminowany, aby tam pójść spać. Calhoun przeszkadzał mu tylko przez chwilę, dopóki nie wyciągnął z kieszeni przyrządów pomiarowych. Kiedy Murgatroyd zapadł w drzemkę, Calhoun nasłuchiwał rytmu bicia jego serca.

– Maril – poprosił. – Czy mogłaby pani coś dla mnie zanotować? Czas, a następnie dziewięćdziesiąt sześć i sto dwadzieścia na dziewięćdziesiąt cztery.

Spełniła jego prośbę, nie rozumiejąc jej powodów. Pół godziny później, nadal starając się nie ruszać, aby nie obudzić Murgatroyda, kazał jej ponownie zapisać czas i następną sekwencję liczb, nieco tylko się różniącą od poprzedniej. Po upływie kolejnych trzydziestu minut, trzeci zestaw. Wtedy jednak, położył Murgatroyda na łóżku, wyraźnie usatysfakcjonowany.

Zmierzył temperaturę sobie. Kiwnął głową.

– Murgatroyd i ja mamy do wykonania małą robótkę – powiedział do niej. – Czy mogłaby pani na chwilę wyjść do drugiej kabiny?

Zmartwiona, wyszła do kabiny sypialnej. Calhoun pobrał z pozbawionego czucia miejsca na boku Murgatroyda, małą próbkę krwi. Murgatroyd poddał się działaniom człowieka, z pełnym zaufaniem. W ciągu dziesięciu minut, Calhoun rozpuścił próbkę, dodał antykoagulantu, porządnie ją wymieszał, i odfiltrował do osiągnięcia klarowności, usuwając z niej czerwone i białe krwinki. Każdy inny lekarz ze Statku Medycznego, zrozumiałby od razu, że Calhoun dzięki Murgatroydowi przygotował próbkę doskonałego serum zawierającego przeciwciała, przeciwko czemuś co pobrał ze swojej ręki. Z pewnością też zdołałby się również zatroszczyć w razie czego o dwójkę pacjentów.

Ale każdy lekarz ze Statku Medycznego wiedziałby również, że chodziło tu o jeden z tych drobiazgowych środków ostrożności, jakie należy podjąć na Statku Medycznym, przy korzystaniu z przechowywanych kultur drobnoustrojów.

Calhoun odłożył przygotowaną próbkę i zawołał Maril.

– To nie było nic takiego – tłumaczył jej, – ale mogłaby pani poczuć się nieprzyjemnie. Po prostu mieliśmy tutaj troszeczkę rutynowych zabiegów, przez które trzeba przechodzić na Statku Medycznym. Teraz już wszystko w porządku.

Nie wchodził w dalsze szczegóły. Powiedziała tylko:

– Przygotuję lunch. – Zawahała się. – Przyniósł pan trochę jedzenia z pierwszego statku z Weald. Czy chciałby pan…

Pokręcił przecząco głową.

– Łatwo się wzruszam – przyznał. – Te kłopoty na Dara zostały zawinione przez Służbę Medyczną. Stało się to, na długo przed moimi

czasami, ale… Zostanę przy racjach, dopóki wszyscy nie będą mogli jeść do woli.

W miarę jak mijał dzień, przyglądał się jej ukradkiem. Po pewnym czasie uznał, że lekko się zarumieniła. Zaraz po kolacji złożonej z osobliwie nieapetycznych żywnościowych racji dariańskich, zaczęła łapczywie pić. Nie skomentował tego. Wyciągnął karty i pokazał jej skomplikowanego pasjansa, w którym sprawne liczenie w głowie i zaawansowane wykorzystanie rachunku prawdopodobieństwa, zwiększało szanse na wygraną.

Do północy nauczyła się go i układanie pochłonęło ją bez reszty. Dzięki temu Calhoun mógł analizować jej wygląd i zachowanie, nie okazując że to robi. Ponownie był bardzo zadowolony. Kiedy wspomniał, że statek powinien dolecieć na Dara za kolejne osiem godzin, odłożyła karty i poszła do drugiej kabiny.

Calhoun zaczął sporządzać wpis do dziennika. Dodał do niego notatki, jaki zapisała dla niego Maril, na temat pulsu i ciśnienia krwi Murgatroyda po wstrzyknięciu mu tych samych drobnoustrojów, które spowodowały u niego wcześniej gorączkę i pragnienie, a później podobne objawy u Maril, która nie miała bliższego kontaktu z nim, ani z drobnoustrojami. Dodał na końcu chłodny profesjonalny komentarz:

> *Wydaje się, że kultura zachowała swoje normalne właściwości, w trakcie długotrwałego przechowywania w stanie przetrwalnikowym. Zareagowała i namnożyła się szybko. Wstrzyknąłem podskórnie 0.5 cc, i po niecałej godzinie temperatura mojego ciała osiągnęła 37.8°C. Godzinę później wynosiła ona 37.9°. To była wartość szczytowa[1]. Niemal natychmiast powróciła do normalnego poziomu. Jedynym obserwowalnym objawem było lekko podwyższone pragnienie. Ciśnienie krwi i tętno, pozostały normalne. Druga osoba na Statku Medycznym, wykazywała te same objawy, które wystąpiły szybko i powtórzyły się w dokładnie takim samym natężeniu, pomimo braku fizycznego kontaktu.*

Poszedł spać, tak samo jak Murgatroyd zwinięty w kłębek w swojej norce, z ogonem starannie udrapowanym na nosie.

Statek Medyczny wyszedł z hipernapędu, o 13.00, czasu pokładowego. Calhoun nawiązał kontakt z obsługą sieci i wkrótce został sprowadzony na dół.

Było już niemal dwie godziny później, 15.00 czasu pokładowego, kiedy mieszkańcy Dara zostali poinformowani przez telewizję, że Calhoun zostanie bezzwłocznie stracony.

[1] W oryginale Leinster podaje temperatury 30.8°C oraz 30.9° (sprawdziłem, zarówno w wersji książkowej Ace, jak i magazynowej z Amazing). No cóż, powiedzmy, że jako Amerykanin, prawdopodobnie częściej miał do czynienia ze stopniami Fahrenheita. Uznałem, że jak na objawy lekkiej gorączki, 37.8°C oraz 37.9°, będzie mniej więcej akurat (przyp. tłumacza).

VII

Z punktu widzenia Daran, którzy byli przecież również błękitnoskórymi, decyzje o uznaniu Calhouna za winnego oraz o straceniu go, były całkiem rozsądne. Maril protestowała gwałtownie, a jej zeznania zgadzały się z zeznaniami Calhouna pod każdym względem. Jednak z punktu widzenia błękitnoskórych to właśnie te zeznania były elementem obciążającym.

Calhoun wziął w kosmos czterech młodych astrogatorów. Byli to jedyni na wpół wyszkoleni piloci kosmiczni, jakich posiadała Dara. Nie było ludzi w pełni wykwalifikowanych. Calhoun poprosił o nich, i zabrał ich ze sobą w próżnię, gdzie mieli zostać przeszkoleni w nowoczesnych metodach pilotażu statków kosmicznych.

Jak do tej pory nie było żadnego spornego punktu. Zaproponował im, że uczyni z nich bardziej kompetentnych pilotów, w lepszy sposób potrafiących prowadzić statki kosmiczne, na przykład na Orede, aby atakować pasące się tam potężne stada bydła. A on rozkazał im polecieć Statkiem Medycznym na Weald, co nie wzbudziło żadnych sprzeciwów z ich strony.

Jednak tuż przed przybyciem na miejsce, oszukał całą czwórkę, podając im kawę ze środkiem nasennym. Zniszczył ich śmiercionośne kultury bakteryjne, które rozkazano im zrzucić na Weald. Wysłał, jak on sam i Maril twierdzili, czterech szkolących się pilotów samych, w czterech olbrzymich statkach, wyładowanych po brzegi zbożem. Ale w te cztery statki nikt już w ogóle nie uwierzył.

Nikt nie wierzył, że cztery statki pełne ziarna, można wziąć od tak sobie. Wiedzieli tylko, że czterech częściowo wyszkolonych pilotów, zostało zabranych z Dara, i dzięki historyjce Calhouna wysłani ze statku, po oszołomieniu ich kawą.

Gdyby zostali właściwie wyszkoleni, gdyby udzielono im pomocy, albo nawet tylko pozwolono im zasiać ziarna zarazy na Weald, a oni wróciliby z powrotem. Byliby przygotowani do prowadzenia szkoleń innych ludzi, którzy mogliby pilotować kolejne statki kosmiczne, w obecnej chwili gorączkowo budowane w różnych potajemnych miejscach na Dara. Wtedy Dara mogłaby mieć szansę na przetrwanie.

Walka w kosmosie, przy pomocy częściowo jedynie wyszkolonych pilotów, byłaby w najlepszym razie ryzykowna. Bez żadnych wyszkolonych pilotów, była po prostu beznadziejna. Tak więc Calhoun, na podstawie swoich własnych słów, okazało się że skazał na zagładę wszystkie żywe istoty na Dara. Na masakrę pod bombami Weald.

To był ten ostatni kamyczek, który zniszczył jakąkolwiek szansę na to aby ktokolwiek mógł uwierzyć w jakieś bajeczne opowieści, na temat

statków wypełnionych zbożem. Calhoun zniszczył nawet te niewielkie nadzieje na opór. Weald miał już gotowe statki i mógł szybko budować nowe. Znacznie szybciej niż w najśmielszych nawet marzeniach mogła myśleć ich konstruowaniu Dara.

Co równie ważne, Weald miała całą masę doświadczonych pilotów i marynarzy kosmicznych, tak że mogła od razu w pełni obsadzić szereg statków, i szkolić załogi dla nowych. Gdyby teraz musiała zająć się rozpaczliwą walką z zarazą, to opóźniłoby wylot floty mającej eksterminować życie na Dara. Dara zyskałaby dzięki temu czas, przynajmniej na budowę statków, które mogłyby taranować swoich wrogów, i niszczyć ich w ten właśnie sposób.

Calhoun jednak sprawił, że przestało być to możliwe. Jeżeli mówił prawdę, i Weald miła już gotową flotę olbrzymich statków, które wystarczy jedynie opróżnić z ziarna i wypełnić bronią i ludźmi, to oznaczało że Dara była skazana. A jeżeli nie mówił prawdy, była równie definitywnie skazana na skutek jego działań. Tak wiec Calhoun miał zostać zabity.

Jego egzekucja miała zostać przeprowadzona w otwartej przestrzeni sieci lądowniczej, na oczach kamer wizyjnych, transmitujących obraz dla wszystkich, na całą błękitnoskórą planetę. Na wpół zagłodzeni ludzie, poznaczeni na skórze przerażającymi niebieskimi plamami, kazali mu przemaszerować na środek największego równego terenu na planecie, który nie został jeszcze desperacko wykorzystany pod uprawy. Na ich twarzach widać było nienawiść. Zgorzknienie i gniew, otoczyły Calhouna jak mur. Większość mieszkańców Dara chętnie zobaczyłaby jego śmierć zadaną sposób okrutny, odpowiednio do jego zbrodni, ale żaden możliwy do wymyślenia rodzaj egzekucji, i tak nie byłby w stanie ich usatysfakcjonować.

Tak więc cała sprawa została prowadzona na zimno, w rzeczowy sposób. Nikt go nawet nie znieważał ani nie obrażał. Pozostawiono go stojącego samotnie, na samym środku stanowiska sieci lądowniczej. Zamontowano setkę blasterów, które miały wypalić w niego w tej samej chwili. Miał zostać nie tylko zabity, miano go unicestwić. Miał zostać zamieniony w parę, w potoku błękitno białych płomieni, jakimi planowano go zalać.

Jego śmierć była tuż, tuż. Nie pozostawało już nic innego, tylko wydać rozkaz otwarcia ognia, kiedy głośniki w biurze sieci lądowniczej, zmroziły wszystkich. Jeden ze statków ze zbożem z Weald wyszedł właśnie z hipernapędu, i jego pilot tryumfalnie wywoływał kontrolę naziemną żądając podania współrzędnych do lądowania. Biuro sieci lądowniczej, przetransmitowało jego wezwanie na obwody głośników, jako najszybszy sposób wprowadzenia go do systemu komunikacyjnego całej planety.

– Wzywam ziemię – huczał tryumfalny głos pierwszego z pilotów, których szkolił Calhoun. – Wzywam ziemię! Pilot Franz w zdobycznym statku prosi o podanie współrzędnych do lądowania! Celem lądowania jest dostarczenie pół miliona buszli, zdobytego na wrogu ziarna!

Początkowo nikt nie śmiał w to uwierzyć. Ale pilot pokazał się na kanale wizyjnym. Został rozpoznany. Żaden błękitnoskóry nie pozwoliłby wziąć się żywcem ludziom z Weald, tak by można było go użyć na

przynętę! Wkrótce olbrzymi statek, kończąc swój drugi lot na Dara –– pierwszy z nich odbył pokolenie temu, kiedy jego celem było niesienie groźby śmierci i zniszczenia –– pojawił się na niebie, widoczny jako malutki punkcik. Schodził coraz niżej, i niżej, i po niedługim czasie unosił się ponad środkiem asfaltowego lądowiska, w którym to miejscu spokojnie stał Calhoun, czekający na swoją egzekucję.

Ekipa sieci lądowniczej zaczęła przesuwać statek na jeden z boków, i dopiero wtedy Calhoun ruszył spokojnym spacerkiem, w kierunku Statku Medycznego, stojącego przy wzmocnionej metalowymi belkami ścianie sieci lądowniczej.

Wielki statek dotknął ziemi, po czym jego wielki właz wyjściowy obrócił się i otworzył, a młody kandydat na pilota stanął w nim uśmiechnięty od ucha do ucha, trzymając w dłoniach pełne garście ziarna. Tłum zaroił się, zaczął wrzeszczeć, w delirycznym tryumfie, ten sam tłum, który zaledwie kilka minut temu czekał aby się radować, widokiem jeszcze żywego ciała Calhouna, eksplodującego w rozbłysku płomieni.

W tej chwili już nie nienawidzili Calhouna, ale pomimo tego musiał wywalczyć sobie drogę do Statku Medycznego. Został otoczony przez pełnych ekstatycznego uwielbienia obywateli Dara. Wykrzykiwali mu prosto w uszy wyrazy uwielbienia i radości, aż poczuł się na wpół głuchy. Niemal zerwali z niego ubranie, pragnąc dotknąć go, poklepać po plecach, zapewnić go o swojej wdzięczności i sympatii, zaledwie w kilka minut po tym, jak pragnęli jego krwi.

Dwie godziny po przybyciu pierwszego statku, wylądował drugi. Dara ponownie oszalała. Po upływie kolejnych czterech godzin, przyleciał trzeci. Czwarty został sprowadzony na dół następnego dnia.

Kiedy Calhoun po raz drugi stanął przed władzami i rządem Dara, ton jego głosu i sposób zachowania były bardzo suche.

– No dobrze – stwierdził szorstko, – chciałbym otrzymać kolejnych kilku astrogatorów do szkolenia. Myślę, że najprawdopodobniej będziemy mogli najechać flotę z ziarnem Weald po raz kolejny, w ten sposób stwarzając zalążek floty obronnej. Nalegam jednak, abyśmy nie używali siły. Chociaż raz moglibyśmy postąpić w tej sytuacji rozsądnie! Pomimo wszystko, cztery statki z ziarnem, to za mało, aby przełamać klęskę głodu! To bardzo duża pomoc, ale są one dopiero początkiem ilości, jakie są potrzebne dla całej populacji planetarnej!

– Na jakie dostawy ziarna możemy mieć nadzieję? – dopytywał się człowiek z niebieskim znamieniem, pokrywającym mu cały podbródek.

Calhoun przekazał swoje przewidywania.

– A jak długo potrwa, zanim flota Weald zawiśnie nam nad głowami, zrzucając bomby fuzyjne? – dopytywał się inny, ponurym tonem.

Calhoun określił czas. Ale potem dodał jeszcze:

– Myślę, że uda nam się powstrzymać ich przed zrzuceniem bomb, jeżeli będziemy mieli flotę statków z ziarnem, i paru wyszkolonych astrogatorów.

– Jak?

Wyjaśnił to. Niemożliwe było, aby powiedzieć im o wszystkim, co uważał za sensowne zachowanie. Program emocjonalny mógł zostać

przedstawiony i zaakceptowany natychmiast. Plan działań, który był naprawdę inteligentny, biorący pod uwagę wszystkie elementy zaistniałej sytuacji, musiał być akceptowany kawałek po kawałku. Nawet pomimo tego, wojskowi mruczeli.

– Mamy mnóstwo pierwiastków ciężkich – powiedział jeden z nich. – Gdybyśmy użyli naszych mózgów, moglibyśmy mieć więcej bomb, niż może o tym marzyć Weald! Moglibyśmy zmienić całą tę ich planetę w kopcącą kupę żużlu!

– Co – zjadliwie wtrącił Calhoun, – dałoby wam może trochę satysfakcji, ale nawet uncji żywności! A jedzenie jest obecnie dużo ważniejsze niż satysfakcja. Tak więc, mam zamiar ponownie polecieć na Weald. Chcę żeby ktoś wbudował w mój statek pewne dodatkowe wyposażenie, oraz chcę tych czterech pilotów, których wyszkoliłem i kolejnych dwudziestu kandydatów. Chciałbym także dostać jakieś bardziej przyzwoite racje żywnościowe! Ostatnia podróż przyniosła dwa miliony buszli ziarna. Z pewnością możecie wygospodarować odpowiednie wyżywienie dla dwudziestu ludzi, na parę dni!

Budowa specjalnego wyposażenia, zabrała nieco czasu, ale Statek Medyczny wystartował już dwa dni po jego zamontowaniu. Urządzenie na które musieli poczekać, było prostym środkiem zabezpieczającym przed katastrofą, podobną do tej jaka spotkała statek z kopalni na Orede. Zasadniczo był to zbiornik z ciekłym tlenem, wciśnięty w przestrzeń po zabranych ze statku zapasach żywności. Kiedy przepompowywano przez niego zużyte powietrze ze statku, jako pierwsze zamarzały i wytrącały się, zawarte się w nim para wodna i CO_2.

Potem powietrze przepływało przez ciekły tlen, z prędkością pozwalającą na zastąpienie CO_2, bardziej nadającym się do oddychania materiałem. Następnie, po ponownym jego ogrzaniu, do powietrza dodawana była z powrotem para wodna. Dopóki nie zabrakło tlenu, powietrze mogło być oczyszczane i utrzymywane w stanie nadającym się do oddychania, dla dowolnej liczby ludzi. Normalne wyposażenie Statku Medycznego, było w stanie obsłużyć nie więcej niż dziesięć osób. Ale dzięki temu nowemu urządzeniu, statek mógł odbyć rejs na Weald wypełniony niemal po brzegi ludźmi.

Kiedy Statek Medyczny wyruszył, Maril pozostała na Dara. Kiedy Murgatroyd zobaczył, że zamykający się właz, ma ją od nich odciąć, zaczął piskliwie protestować.

– *Chee*! – zawołał oburzonym tonem. – *Chee*! *Chee*!

– Nie – odparł mu Calhoun. – I tak będziemy mocno stłoczeni. Zobaczymy się z nią później.

Kiwnął głową w stronę jednego ze swoich pierwszych czterech uczniów, który służbiście nawiązał kontakt z biurem sieci lądowniczej, i bardzo sprawnie nadzorował wynoszenie statku przez sieć. Pozostali trzej z przeszkolonej wcześniej czwórki ludzi, objaśniali najdrobniejszy ruch, przydzielonej każdemu z nich podgrupie słuchaczy. Calhoun chodził dookoła, słuchając i upewniając się, że szkolenie odpowiadało standardom.

Czuł się nieswojo, pełniąc rolę kierownika instytucji edukacyjnej w kosmosie. Nie podobało mu się to. W ciasnym wnętrzu Statku Medycznego, stłoczonych zostało, oprócz niego samego, dwudziestu czterech ludzi. Każdy każdemu wchodził w drogę. Deptali sobie nawzajem po uszach. Przez cały czas ktoś jadł, przez cały czas ktoś spał, i kompletnie nie było potrzeby włączania taśmy z tłem dźwiękowym, aby na statku nie zapadła nienośna cisza. Ale system uzdatniania powietrza działał dosyć dobrze, poza jednym przypadkiem, kiedy popsuło się urządzenie ponownie je nagrzewające, i temperatura wewnątrz statku zanim ktokolwiek dostrzegł i rozwiązał ten problem, powoli spadła poniżej zera.

Podróż na Weald tym razem zajęła siedem dni, z powodu programu szkoleniowego, jaki należało przeprowadzić. Calhoun obgryzał sobie paznokcie z powodu opóźnienia. Ale było ono konieczne, aby każdy z uczniów, wykonał samodzielnie swoje własne namiary na gwiazdę Weald, obliczył odległości, aby każdy z nich mógł poćwiczyć manewry, które wkrótce będzie musiał wykonać bez nadzoru. Calhoun miał tylko desperacką nadzieję, że przygotowania do stworzenia aktywnej siły bojowej na Weald, nie przebiegają specjalnie szybko.

Miał jednak nadzieję, że wobec braku bezpośrednich wiadomości z Dara, wealdiańscy oficjele, zachowywać się będą zgodnie z normalnymi standardami polityków. Ogłosili sprawę statku z Orede, jako atak z Dara. Potem, zanim zagłosują za ofensywą, powinni skupić się na środkach obronnych. Zanim zaczną prace nad flotą mającą zniszczyć błękitnoskórych, powinni najpierw zbudować statki patrolowe, które mogłyby wypatrzyć ewentualną inwazję na nich. To wychodziłoby naprzeciw żądaniom społeczeństwa, domagającego się zorganizowania obrony.

Calhoun miał rację. Statek Medyczny wykonał końcowe podejście do Weald, z nim za sterami. Wykonał już odpowiednie pomiary jasności, podczas poprzedniego rejsu, i teraz tylko ponownie z nich skorzystał. Nie były absolutnie dokładne, ponieważ plamy słoneczne mogły zmienić wartość każdego odczytu, aż do dwóch miejsc dziesiętnych. Ale pierwsze wyjście z hipernapędu wypadło akurat na tyle daleko od systemu Wealdian, że Calhoun mógł dostrzec jego planety, przy pomocy teleskopu elektronowego, ustawionego na największe powiększenie. Mógł wziąć kurs na samą Weald, biorąc pod uwagę, oczywiście, opóźnienie w obserwowalnym ruchu obrazu planety, spowodowane skończonym charakterem prędkości światła. Spróbował wykonać najkrótszy z możliwych skoków na hipernapędzie, i wleciał do systemu słonecznego dobrze poza linią jakichkolwiek patroli obserwacyjnych.

To był czysty traf. Szczęście trwało dalej. Przebił się przez ochronę statków patrolowych, będąc niewykrywalnym w hipernapędzie. Znalazł się tylko o pół godziny drogi, na napędzie systemowym, od floty statków z ziarnem. Przede wszystkim nie było żadnego alarmu. Oczywiście, radary wykryły Statek Medyczny, jako obiekt, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Kierował się w stronę Weald. Prawdopodobnie wzięto go za jedną z łodzi patrolowych. Takie pomyłki po prostu się zdarzają.

Calhoun wyciągnął skafandry próżniowe, schowane także w pustej przestrzeni ładunkowej, z której zabrano zapasy. Czterech dawnych studentów, wyszło w kosmos, każdy z nich eskortował mniej doświadczonego neofitę, a wszyscy zostali mocno przywiązani, przy pomocy linek asekuracyjnych. Ogrzali wnętrza czterech statków, i przeszli do kolejnych. Wkrótce gotowych do podróży międzygwiezdnej, było już osiem statków, a w każdym z nich siedział wystraszony, ale rezolutny młody pilot, zapoznający się ze sterami i urządzeniami nawigacyjnymi. Potem gotowych było szesnaście statków. Dwadzieścia. Dwadzieścia trzy.

Od strony Weald nadleciał z szumem statek patrolowy. Oczywiście, był uzbrojony. Nadleciał na pełnej szybkości, mknąc w górę na wysokości czterdziestu kilku tysięcy mil od planety. Calhoun zaklął. Nie mógł wywołać swoich uczniów, aby poinformować ich o tym, co się ku nim zbliża. Statek patrolowy mógłby to podsłuchać. Nie mógł zaufać niewypróbowanym jeszcze młodym ludziom, że będą zachowywali się rozsądnie, kiedy zostaną zaskoczeni, a statek patrolowy podleci i będzie usiłował, na przykład, zabrać któregoś z nich na pokład.

Wtedy poczuł przypływ inspiracji. Zawołał Murgatroyda, usadził go przed komunikatorem i przełączył na transmisję wyłącznie głosową. Dla Murgatroyda były to dosyć dobrze znane czynności. Często widział, jak Calhoun używa komunikatora.

– *Chee*! – zapiszczał Murgatroyd. – *Chee-chee*!

Z głośnika dobiegł zaskoczony głos:

– Co to jest?

– *Chee* – z ochotą odpowiedział mu Murgatroyd.

Komunikator mówił coś do niego. Murgatroyd uwielbiał trzy rzeczy, w następującej kolejności. Pierwszą z nich był Calhoun. Drugą była kawa. Trzecią udawanie, że rozmawia jak istota rozumna. Głośnik eksplodował żądaniem:

– Hej, ty tam! Zidentyfikuj się natychmiast!

– *Chee-chee-chee-chee*! – oznajmił Murgatroyd. Aż skręcił się z przyjemności i dodał, całkiem sensownie: – *Chee*!

Komunikator wrzasnął na cały głos:

– Wzywam ziemię! Wzywam ziemię! Posłuchajcie tylko tego! Coś nieludzkiego mówi do mnie przez komunikator! Posłuchajcie tego i powiedzcie mi, co mam zrobić!

Murgatroyd przerwał mu kolejnym ostrym piskiem:

– *Chee*!

Wtedy Calhoun powoli odciągnął Statek Medyczny od skupiska pozornie cichych i pozbawionych życia statków z ziarnem. Wysoce nieprawdopodobne było, aby łódź patrolowa miała na pokładzie teleskop elektronowy. Najprawdopodobniej mieli co najwyżej radar, a w takim przypadku, mogli określić tylko, że jakiś obiekt nieznanego rodzaju porusza się samodzielnie w kosmosie. Calhoun przyśpieszył lot Statku Medycznego. To powinien być ostateczny dowód. Statki ze zbożem znajdowały się pomiędzy Weald i jej gwiazdą. Nawet teleskopy elektronowe na ziemi –– a teleskopy elektronowe były w końcu teleskopami optycznymi z elektronowym wzmocnieniem –– nie mogły

złapać dobrego obrazu statku, przez zalaną światłem słonecznym atmosferę.

– *Chee*? – spytał natarczywie Murgatroyd. – *Chee-chee-chee*?

– Czy to błękitnoskórzy? – drżącym głosem dopytywał się ktoś z łodzi patrolowej. – Ziemia! Ziemia! Czy to błękitnoskórzy?

Ciężki, autorytatywny głos odezwał się z dużo większą mocą.

– To nie jest ludzki głos – szorstko stwierdził. – Podejdź bliżej do tego statku i prześlij nam jego obraz. Nie strzelaj pierwszy, chyba że skieruje się w dół.

Statek patrolowy skręcił i ruszył w stronę Statku Medycznego. Nadal był jeszcze bardzo daleko od niego.

– *Chee-chee* – zachęcająco powiedział Murgatroyd.

Calhoun zmienił kurs Statku Medycznego. Statek patrolowy również zmienił kurs. Calhoun pozwolił mu podejść bliżej, ale tylko troszeczkę. Odciągał go od floty statków z ziarnem.

Skierował na nie swój teleskop elektronowy. Zobaczył na zewnątrz jednego z nich postać w skafandrze kosmicznym, jednak bezpiecznie przywiązaną na lince. Łatwo było się domyślić, że ktoś miał zamiar udać się na Statek Medyczny po rozkazy, albo przekazać raport, i stwierdził, że Statek Medyczny zniknął. Wracał więc do środka, żeby włączyć komunikator.

– *Chee* – zawołał Murgatroyd.

Ciężki głos zahuczał:

– Hej, ty tam! To jest planeta zamieszkała przez ludzi! Jeżeli przybywasz w pokoju, wyłącz swoje silniki i pozwól aby podszedł do ciebie nasz statek patrolowy!

Murgatroyd odparł mu zainteresowanym, ale niepewnym tonem. Ponownie zaryczał huczący głos. Potem jego rolę przejął inny głos, jeszcze bardziej władczy. Murgatroyd był wręcz oczarowany tym, że tak wielu ludzi chciało z nim rozmawiać. Wykonał coś, co dla niego praktycznie oznaczało całą orację. W odpowiedzi ostatni głos przemówił przekonywującym i słodkim tonem.

– *Chee-chee-chee-chee* – stwierdził Murgatroyd.

Jeden ze statków z ziarnem zamigotał, i po chwili już go nie było. Zniknął w hipernapędzie. Następny. I kolejny. Nagle zaczęły migotać i znikać dwójkami i trójkami.

– *Chee* – oznajmił Murgatroyd, z końcową nutą w głosie.

Ostatni statek ze zbożem, zniknął

– Wzywam statek patrolowy – sucho powiedział Calhoun. – Tu mówi Statek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia*. Byłem u was parę tygodni temu. Rozmawiacie z moim *tormalem*, Murgatroydem.

Przerwa. Zupełna przerwa. Potem wybuch gwałtownego i dzikiego nieopanowania.

– Byłem na Dara – powiedział w odpowiedzi Calhoun.

Zapadła martwa cisza.

– Panuje tam klęska głodu – stanowczo oznajmił. – A więc te statki ze zbożem, które mieliście na orbicie, zostały zabrane przez mieszkańców

Dara – błękitnoskórych, jeżeli tak wolicie –– aby mogli nakarmić siebie oraz swoje rodziny. Oni umierają z głodu, a to nie jest wcale przyjemne.

Jeden wielki wybuch, niemożliwych do wydrukowania określeń. Następnie, dawniej słodki, głos zjadliwie stwierdził:

– Tak? Służba Medyczna dowie się o pańskim wtrącaniu się w nieswoje sprawy!

– Oczywiście – odparł Calhoun. – Osobiście złożę raport na ten temat. Mam dla pana informację. Dara gotowa jest zapłacić za każdą uncję ziarna i za statki, w których było ono przechowywane. Zapłacą w metalach ciężkich –– irydzie, uranie i innych tego typu rzeczach.

Słodki głos mocno zmroziło.

– Tak jakbyśmy mogli na to pozwolić, aby coś co kiedykolwiek było na Dara, mogło dotknąć naszej ziemi!

– E, tam! Przecież można to wysterylizować. Jeżeli mówimy choćby o metalach, to uran topi się w temperaturze 1150 stopni Celsjusza, wolfram przy 3370 stopniach a iryd przy 2350. Takiego rodzaju rzeczy możecie załadować, przetopić je w kosmosie, a potem zaholować do domu. W ten sposób możecie, właściwie, wysterylizować całą masę przydatnych surowców!

Słodki głos był wyraźnie rozwścieczony.

– Złożę na ten temat raport! Odpowie pan za to!

Calhoun uprzejmie odparł:

– Jestem pewien, że to co mówię jest rejestrowane, a więc dodam jeszcze tylko, że przebywanie Wealdian na Dara jest absolutnie możliwe, i możecie zabrać sobie stamtąd każdą rzecz, jaką uznacie za przydatną –– oczywiście, w ramach spłaty za szkody dokonane przez błękitnoskórych –– a następnie wrócić na wealdiańskie statki, bez żadnej groźby przeniesienia jakiejkolwiek zarazy. Proszę byście upewnili się, że nagranie jest czysto i poprawnie rejestrowane…

Opisał im, jasno, wyraźnie i dokładnie, w jaki sposób można odpowiednio wyposażyć człowieka, do pobytu na obszarze jakiejkolwiek możliwej do pomyślenia zarazy, by mógł zrobić wszystko co uznawał na niezbędne dla dokonania grabieży –– oczywiście Calhoun nie użył tego słowa –– i wrócić do swoich towarzyszy, nie ryzykując przeniesienia z powrotem żadnego skażenia. Podał im dokładne szczegóły.

Potem jeszcze dodał:

– Mój radar pokazuje mi, że cztery wasze statki zbliżają się do mnie ze wszystkich stron, aby strącić mnie na ziemię. Rozłączam się.

Statek Medyczny zniknął z normalnej przestrzeni i wszedł do tego pełnego nieprawdopodobnych naprężeń rozszerzenia, które uformował wokół siebie, i w obrębie którego wszystkie stałe fizyczne były kompletnie szalone i dziwaczne. Przede wszystkim, w przestrzeni napiętej przez hipernapęd, nie udało się jeszcze zmierzyć szybkości światła. Była zbyt wysoka. Po drugie, statek kosmiczny mógł w hipernapędzie podróżować z prędkością wielokrotnie przekraczającą 186 000 mil na sekundę.

I właśnie to zrobił Statek Medyczny. Na pokładzie nie było nikogo poza Calhounem i Murgatroydem. Panowała przyjemna cisza, zakłócana jedynie

przez cichutkie, tuż ponad progiem percepcji szumy, które nieczęsto się zauważało.

Calhoun rozkoszował się luksusem odzyskanej prywatności. Przez ostatnich siedem dni, w dwóch kabinach statku tłoczyły się oprócz niego dodatkowe dwadzieścia cztery istoty ludzkie, tak że pomiędzy nim i kimś innym, nigdy nie pozostawało więcej, niż niecały jard przestrzeni. Nie trzeba być żadnym snobem, aby czasami zapragnąć odrobiny samotności!

Murgatroyd w zamyśleniu lizał sobie bokobrody.

– Mam nadzieję– powiedział Calhoun, – że wszystko idzie dobrze. Może na Dara będą pamiętali, że zdobyłem dla nich jakieś dziesięć milionów buszli ziarna. Może również, kto wie, tak po prostu niewykluczone, że teraz zaczną mnie słuchać i zachowywać się rozumnie. Pomimo wszystko, to jest jedyny sposób przerwania klęski głodu. Przecież nie za pomocą dziesięciu milionów buszli dla całej planety! A już z pewnością nie przy pomocy bomb!

Lecąc bezpośrednio, nie robiąc przerw na ćwiczenia, Statek Medyczny mógł dolecieć na Dara, w nieco ponad pięć dni. Calhoun oczekiwał odrobiny odpoczynku. Na początek, przygotował sobie pierwszy stosowny posiłek, od czasu lądowania na Dara. Wkrótce potem jeszcze raz usiadł przy posiłku, złożonym z podwójnej darańskiej głodowej racji, które nie były specjalnie apetyczne. Ale na pokładzie nie było nic innego.

Potem pozwolił sobie na odrobinę przyjemności, wyobrażając sobie, co się dzieje w normalnym wszechświecie, poza hipernapędem. Gwiazdy płonęły, komety pędziły po swoich trajektoriach, tworzyły się chmury, a następnie spuszczały na ziemię deszcz, i w ogóle miały miejsce różnego rodzaju zjawiska astronomiczne oraz meteorologiczne. Na Weald, oczywiście, zapanowała panika w najczystszej postaci.

O zniknięcie floty z ziarnem, nie będzie się przecież oskarżać dwudziestu czterech ludzi. Podejrzewać się będzie istnienie floty Daran, a podejrzenie z wolna zmieni się w przerażenie, a razem z przerażeniem przyjdzie kryzys rządowy. Rozpoczną się szaleńcze poszukiwania każdego pojazdu, jaki będzie można wysłać w kosmos, oraz zaangażowana improwizacja w tworzeniu floty kosmicznej.

Ale oprócz tego, specjaliści od broni biologicznej sprawdzą dokładnie instrukcje Calhouna, dotyczące wyposażenia przy pomocy którego uzbrojeni ludzie mogliby wylądować na dotkniętej zarazą planecie, a następnie bezpiecznie wystartować z niej z powrotem. Wojskowi i oficjele rządowi, dojdą do nieodparcie narzucającej się rozsądnej konkluzji, że o ile Calhoun nie mógł podjąć aktywnej akcji przeciwko błękitnoskórym, jako zdrowy na umyśle i normalny obywatel galaktyki, powinien stać on po stronie prawa, porządku, pożyteczności i sprawiedliwości –– czyli mówiąc w skrócie, po stronie Weald. Tak więc polecą przygotowanie prototypowych skafandrów ochronnych, wyprodukowanych zgodnie ze wskazówkami Calhouna, a potem je przetestują. Będą doskonale działały.

Na Dara, w kierunku której spokojnie podróżował Calhoun, ziarno rozprowadzano szczodrze, i każda osoba na planecie otrzymała niemal podwójną rację zbożową. To ciągle nie był przydział zadowalający, ale ulga była znaczna. Panowało silne poczucie wdzięczności dla Calhouna, które

jak zwykle obejmowało entuzjastyczne przewidywania, różnego rodzaju faworów, jakie miały go spotkać w przyszłości. Maril na okrągło udzielała wywiadów, jako osoba w największym stopniu uprawniona do dyskusji o nim, i nie wyrządziła jego reputacji żadnej szkody. To było mniej więcej wszystko, co działo się na Dara...

Nie. Nie wszystko. Było coś jeszcze. Bardzo ciekawa rzecz, przy okazji. Zaczęła szerzyć się choroba, o bardzo łagodnych objawach, tak że nie do końca można było nazwać ją zarazą. Osoby, które ją złapały, zaczynały lekko gorączkować, a temperatura wzrastała, do maksymalnej wartości 37.9 stopni. Piły przy tym nieco więcej wody niż zwykle. Potem ich temperatura opadała z powrotem do normalnej, i w ogóle zapominały o sprawie. Tego typu trywialne epidemie, zdarzają się zawsze. Rzadko są one nawet rejestrowane, ponieważ bardzo niewielu ludzi pomyśli o pójściu do lekarza. I tak właśnie stało się w tym przypadku.

Calhoun popatrzył również troszeczkę w przyszłość. Wkrótce przybędzie flota statków z ziarnem, wyładuje je i wystartuje ponownie na Orede. Tym razem urządzą niesamowitą rzeź pomiędzy stadami dzikiego bydła, i przywiozą ze sobą niewiarygodne ilości świeżo ubitej, zamrożonej wołowiny. Niemal każdy będzie mógł ponownie spróbować mięsa, co powinno sprawić ludziom jeszcze większą przyjemność.

Następnie przemysł Dara zacznie pracować nad zadaniami wyznaczonymi przez rząd. Zdumiewająca ilość materiałów rozszczepialnych zostanie przekształcona na bomby –– ustępstwo poczynione przez Calhouna –– a fabryki tworzyw sztucznych wyprodukują zdumiewającą liczbę tanich plastikowych skafandrów. Zaś do stolicy planety zaczną docierać olbrzymie dostawy metali ciężkich w sztabach, gdzie zostaną przetworzone na broń i inne mniej istotne elementy.

Być może ktoś byłby w stanie przewidzieć z góry każdą z tych rzeczy, ale mało prawdopodobne było, aby ktokolwiek to zrobił. Nikt jednak, poza Calhounem, nie był w stanie złożyć ich razem w jedną całość, i miał nadzieję, że wszystko to zadziała dokładnie i szybko. Przewidywał bardzo obiecujące rezultaty końcowe. Tak właściwie to, pędząc Statkiem Medycznym przez kosmos, czwartego dnia swojej podróży, rozmyślał już nad pewnymi ulepszeniami, które można było osiągnąć w łącznym efekcie tych wszystkich wydarzeń, kiedy odpowiednio zmiesza się je ze sobą.

Wrócił na Dara. Pewnego razu na Statku Medycznym pojawiła się Maril. Murgatroyd przywitał ją z entuzjazmem.

– Stało się coś dziwnego – powiedziała Maril, bardzo zakłopotana. – Opowiadałam panu o tym, że czasami te błękitne znamiona znikają u dzieci, a potem już nigdy nie wracają. Tak samo również potomkowie tych dzieci też nie mają znamion.

– Tak – potwierdził Calhoun. – Pamiętam, że mówiła mi pani o czymś takim.

– A pan przypomniał sobie o pewnej grupie wirusów z Tralee. Mówił pan, że atakują one ludzi tylko w straszliwie złym stanie fizycznym, ale potem mogą być przekazywane przez matkę na dzieci, dopóki kiedyś same nie wymrą.

Calhoun zamrugał oczyma.

– Tak?

– Korvan – zaczęła Maril, bardzo ostrożnie, – pracował nad mechanizmem powstawania tych niebieskich znamion u Daran. Wydaje mu się, że ludzie, którzy niemal umarli z powodu zarazy, mogli złapać wirusa, i jeżeli potem wyzdrowieli, przekazać go dalej, i w ten sposób stać się błękitnoskórymi.

– Interesujące – odparł Calhoun obojętnym tonem.

– A kiedy lecieliśmy z Weald – mówiła dalej Maril, naprawdę w bardzo ostrożny sposób, – pracował pan nad jakimś materiałem biologicznym. Zapisywał pan na ten temat całkiem sporo w dzienniku pokładowym. Zrobił pan sobie zastrzyk. Pamięta pan? A Murgatroyd? Zapisywał pan temperaturę swoją i Murgatroyda? – Zwilżyła wargi językiem. – Powiedział pan, że jeśli choroba przeniesie się pomiędzy nami, to będzie coś naprawdę zaraźliwego, czyż nie?

– Ta dyskusja dotyczy strasznie wielu różnych zagadnień – stwierdził Calhoun. – Czy dochodzi pani do sedna sprawy?

– Dochodzę – odparła Maril. – Tysiące ludzi zauważyło, że ich plamy pigmentu zaczynają zanikać. Nie tylko dzieci, ale również dorośli. A Korvan odkrył, że to zawsze wydaje się następować w dzień po tym, jak mieli gorączkę i silne pragnienie, a potem znowu poczuli się dobrze. Pan próbował czegoś, po czym gorączkował pan i chciało się panu pić. Ja również to miałam, wtedy na statku. Korvan myśli, że to ma podłoże epidemiczne, że to jakaś choroba, która niszczy niebieskie plamy, u każdego kto na nią zachoruje. Zawsze występują jakieś trywialne epidemie, których istnienia nikt nawet nie zauważa. Korvan znalazł dowody, że jedna z nich właśnie powoduje, że słowo błękitnoskóry, przestanie mieć jakiekolwiek znaczenie.

– Nadzwyczajnie! – oznajmił Calhoun.

– Czy to pańska robota? – spytała go Maril wprost. – Czy to pan wywołał jakąś nieszkodliwą epidemię, która niszczy wirusa odpowiedzialnego za stworzenie błękitnoskórych?

Calhoun odparł z udawanym zdziwieniem:

– Maril, jak pani mogła coś takiego pomyśleć?

– Ponieważ byłam tam i widziałam – upierała się Maril. Powiedziała to jakoś rozpaczliwie. – Wiem, że pan to zrobił! Pytanie jest tylko, czy ma pan zamiar to ujawnić? Kiedy ludzie zorientują się, że już nie są błękitnoskórymi, kiedy nie będzie już kogoś takiego jak błękitnoskóry, czy ma pan zamiar ujawnić w jaki sposób się to stało?

– Naturalnie, że nie – stwierdził Calhoun. – Ale dlaczego…? – Wtedy nagle się domyślił. – Czy Korvan…

– On myśli – powiedziała Maril, – że on to sam wszystko odkrył. Znalazł dowody. Jest bardzo dumny z tego. Gdyby miał pan zamiar to ujawnić, musiałabym mu powiedzieć, w jaki sposób pewne koncepcje dotarły do jego głowy. Byłby bardzo zawstydzony i rozgniewany.

Calhoun zastanawiał się, przypatrując się jej.

– To nie ma znaczenia, w jaki sposób się to stało – stwierdził w końcu. – Idea, że ktoś mógłby zrobić to celowo, też byłaby bardzo kłopotliwa. Lepiej nie poruszać tego tematu. A więc, wydaje się, że najlepiej będzie,

aby to Korvan odkrył co dzieje się z pigmentem błękitnoskórych, i jak to się stało. Ale nie, dlaczego.

Studiowała jego twarz, bardzo uważnie.

– Nie robi pan tego, jako przysługi dla mnie – zdecydowała w końcu. – Pan woli, żeby to odbyło się w ten sposób.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwile, Aż zaczął skręcać się pod jej spojrzeniem. Wtedy kiwnęła głową i odeszła.

Godzinę później doniesiono o wealdiańskiej flocie kosmicznej, która pojawiła się w kosmosie i zmierzała w stronę Dara.

VIII

Przed główną częścią floty, podążały małe statki zwiadowcze. Oryginalnie były to łodzie patrolowe, przeznaczone do służby w obrębie systemu słonecznego i niezdolne do lotu w hipernapędzie. Zostały przywiezione z Weald w ładowniach liniowców, obecnie przekształconych na okręty. Statki zwiadowcze przemknęły nisko nad ziemią, transmitując na okręty floty doskonałe obrazy, wszystkiego co uda im się dojrzeć zanim zostaną zestrzelone. Znalazły sieć lądowniczą. Na jej lądowisku nie było niczego większego, niż Statek Medyczny Calhouna, *Asklepios Dwadzieścia*.

Szukały w różnych miejscach. Mknęły w jedną stronę, i w drugą, skanując szerokie pasy powierzchni Dara. Miasta planety, jej autostrady i centra przemysłowe, były kompletnie otwarte na inspekcję z nieba. Wyglądało to wszystko tak, jakby łodzie zwiadowcze, najbardziej zażarcie wypatrywały floty dawnych statków zbożowych, o których Calhoun mówił, że zostały przechwycone przez błękitnoskórych i zabrane z Weald. Jeżeli rzeczywiście łodzie zwiadowcze szukały właśnie ich, to nie udało im się niczego znaleźć.

Dara nie stawiła najeźdźcom żadnego oporu. Nic nie uniosło się w kosmos, aby uniemożliwić te przeszukiwania, albo się im opierać. Zwiadowcy przelecieli na pełnej szybkości nad każdą częścią głodującej planety, zarówno lądową jak i morską, i nigdzie nie było widać najmniejszych oznak wojskowych przygotowań, przeciwko agresji. Ogromne statki głównej floty, czekały w spokoju, podczas gdy łodzie zwiadowcze raportowały nieustannie, że nigdzie nie ma nawet śladu skradzionej floty. A skradziona flota, była jedynym środkiem, przy pomocy którego można było bronić planety. Nie było sensu używać jej do stoczenia bitwy w otwartym kosmosie. Ale flota, walcząca w oparciu o planetę, mogłaby być niebezpieczna.

Mijały kolejne godziny. Wealdiańska flota główna nadal czekała. Nie było widać z jej strony żadnych ofensywnych ruchów. Z kolei na ziemi, nie było widać żadnych działań defensywnych. Biorąc pod uwagę fakt, że w każdy rzeczywisty konflikt musiałyby zostać zaangażowane bomby fuzyjne, zapadło coś w rodzaju zaambarasowanej przerwy. Statki Wealdian były gotowe do rozpoczęcia bombardowania. Mniej niepokoiło ich już to, że mogą zostać obrócone w parę, przez samobójcze uderzenia statków obronnych, które mogły wysadzać się w bliskiej odległości od swoich wrogów.

Flota nie może jednak lecieć przez kosmos na odległość kilku lat świetlnych, tylko po to aby wywrzeć zwykłą presję. A wealdiańska flota była wyposażona w środki do całkowitego zniszczenia. Mogła zrzucać bomby z odległości setek, tysięcy, a nawet dziesiątków tysięcy mil. Mogła

poznaczyć całą powierzchnię planety Dara, strzelającymi w górę grzybiastymi obłokami, rozprzestrzeniającymi się tak, by utworzyć ciągłą kurtynę produktów fuzji atomowej. A kiedy opadnie ona na dół, zabije każdą żywą istotę, która nie została jeszcze unicestwiona przez same eksplozje. Nawet stworzenia żyjące w największych głębinach oceanów, zginęłyby z powodu śmiertelnych, celowo stworzonych cząsteczek opadu.

Fota Wealdian, z lubością kontemplowała swoją siłę destrukcyjną. Na Dara nie stwierdzono żadnych zdolności obronnych. Ruszyła więc naprzód.

Wtedy jednak, ze stolicy Dara wysłana została pewna wiadomość. Głosiła ona, że statek w hipernapędzie przekazał wieści znajdującej się gdzieś w kosmosie darańskiej flocie. Flota Daran obecnie pędziła w kierunku Weald. Składała się ona z trzydziestu siedmiu gigantycznych statków. Przenosiły one takie to a takie rodzaje bomb, w takich to a takich ilościach. Jeżeli wydane flocie rozkazy nie zostaną anulowane, zrzuci je na Weald, aby eksplodowały na powierzchni planety. Jeżeli Weald zbombarduje Dara, rozkazy nie będą mogły zostać anulowane. A więc Weald mogła zbombardować Dara, mogła nawet zniszczyć całe życie na wyklętej planecie. Ale wskutek tego Weald również zginie.

Flota przerwała ruch naprzód. Sytuacja zmieniła się w pata, po jednej stronie wspieranego przez czystą desperację, a po drugiej przez równie czystą frustrację. Nie widać było żadnego sposobu, na zakończenie tej wojny. Żadna z planet nie mogła zaufać drugiej, choćby przez minutę. Gdyby nawet nie zniszczyły siebie nawzajem, tak jak to było możliwe obecnie, to i tak każda ze stron oczekiwać będzie od drugiej, że tamta w dowolnej chwili w przyszłości, mogłaby przeprowadzić zaskakujący atak bez ostrzeżenia. W ostatecznym więc rozrachunku, i tak albo jedna albo druga planeta musi zostać zniszczona, a przetrwa ta, która okaże się lepsza w sztuce knucia zdradzieckich spisków.

Wtedy jednak planeta wyklętych, złożyła nową propozycję. Jeżeli zostanie zaakceptowane rozwiązanie sprawy statków ze zbożem i ich ładunku, na drodze rekompensaty, to Dara wyśle statek kurierski, który powstrzyma bombardowanie Weald. Za wszystkie szkody, do jakich rości sobie prawa Weald, płatność mogłaby się odbyć w sztabach irydu, uranu, wolframu, a nawet złota jeżeli Weald sobie by tego życzyła.

Podejmują się nawet zapłacić odszkodowania dla górników na Orede, którzy co prawda zginęli w wyniku wypadku, ale być może w pewnym sensie zawinionego przez Dara. Zapłacą. Jeżeli jednak rozpocznie się bombardowanie, to Weald będzie musiała zniszczyć wszystko atomowym ogniem, a jej flota nie będzie miała planety, na którą mogłaby wrócić.

Ta propozycja wydawała się zarówno tchórzliwa, jak i głupia. Dzięki niej flota Weald mogłaby złupić Dara, a potem ją zdradzić. Ale na tym właśnie polegał pomysł Calhouna. Propozycja wydawała się wiarygodna dla admirałów floty. Dla błękitnoskórych, czuli oni jedynie pogardę. Pogardliwie, zaakceptowali to na wpół poddanie.

Porozumienie zostało rozgłoszone na falach eteru, przez stacje nadawcze na Dara, i wśród mieszkańców wyklętej planety wezbrała fala gwałtownego oburzenia. W kwestii nalegania na dalszy opór, wybuchła niemal rewolucja, jednak beznadziejna i skazana na niepowodzenie. Ale

nie wszyscy na Dara zdawali sobie sprawę z ważnej zmiany, jaka wydarzyła się w stanie rzeczy na tej planecie. Wroga flota nie miała o tym najmniejszego pojęcia.

Flota najeźdźców rozstawiła się w groźnym szyku, na nieboskłonie Dara, w sporej odległości ponad atmosferą. Twarde głosy przemawiały do obsługi sieci lądowniczej, z coraz większą arogancją. Monstrualny statek z Weald, zaczął ciężko schodzić na ziemię, niesiony przez pola siłowe sieci lądowniczej. Łagodnie przyziemił. Znajdujący się na nim Wealdianie byli pełni obawy, ale głodni zdobyczy, która, jak byli pewni, łatwo wpadnie im w łapy.

Z włazów statku wyłonili się ludzie. Mieli na sobie podwójne, przezroczyste, luźne skafandry, jakie zasugerował im Calhoun, które zostały starannie przetestowane, i które stanowiły doskonałą ochronę przeciwko skażeniu. Były to podwójne ubiory z plastiku, ze zbiornikami powietrza pod wewnętrzną, elastyczną powłoką.

Ludzie noszący takiego rodzaju plastikowe skafandry mogli chodzić po powierzchni Dara. Mogli pracować na Dara. Mogli bezkarnie plądrować, a ewentualne skażenie pozostałoby jedynie na zewnętrznej powłoce ich skafandrów. Po powrocie na statki, musieli po prostu stanąć w śluzie powietrznej w strumieniach żrących gazów, które zabiłyby wszelkie możliwe formy organizmów chorobotwórczych. Następnie, w ramach dodatkowego zabezpieczenia, po wypełnieniu śluzy powietrzem z Weald, ludzie mogli spalić plastikowe powłoki zewnętrzne swoich skafandrów, nie pozwalając dostać się skażeniu pomiędzy dwie warstwy plastiku.

Cała zgromadzona przez nich zdobycz, oczywiście, musiała przed powrotem na Weald, zostać poddana odkażeniu. Metale, w razie potrzeby, mogły nawet zostać przetopione. Klejnoty można było wysterylizować. Uświadomienie sobie faktu, że błękitnoskórymi nie tylko można pogardzać, ale można ich również obrabować, było jednym z najbardziej satysfakcjonujących odkryć. Był jednak pewien niewielki strzępek zdawałoby się nieistotnej informacji, którego flota Weald nie posiadała.

Informacją ową, była wiadomość, że mieszkańcy Dara nie są już błękitnoskórymi. Przydarzyła się bowiem pewna trywialna epidemia…

Ludzie z Weald, w plastikowych kombinezonach, ochoczo krzątali się wokół swoich spraw. Przejęli kierowanie pracą sieci lądowniczej, wypędzając operatorów z Dara. Po raz pierwszy w historii Dara, obsługa sieci musiała zrobić sobie makijaż, aby wyglądać tak, jakby ciągle jeszcze mieli na skórze plamy niebieskiego pigmentu. Tak naprawdę, już ich nie było. Grupa naziemna Wealdian przetestowała działanie sieci. Sprowadzili na dół kolejny gigantyczny statek. Potem kolejny. I jeszcze jeden.

Po całym mieście rozproszyły się grupy ludzi w lśniących plastikowych skafandrach. Znaleziono stosy sztab z cennych metali, przygotowane w geście poddania do wywiezienia z planety. Niektórzy z ludzi zaczęli je przenosić do ładowni wealdiańskich statków. Inni rozeszli się po prostu w poszukiwaniu własnej, osobistej zdobyczy.

Natrafili na bardzo niewielu Daran. Ci, których ujrzeli, ponuro trzymali się z daleka od nich. Wealdianie wchodzili do sklepów i zabierali z nich, co im się żywnie podobało. Gorliwie opróżniali ze skarbów bankowe sejfy.

Do wiszących w górze wielkich statków, pomknęły tryumfalne i pogardliwe raporty. Błękitnoskórzy, jak głosiły te relacje, pozbawieni byli ducha i zachowywali się tchórzliwie. Sami pozwalali, aby ich obrabowano. Nie wchodzili w drogę. Zaobserwowano, że ludność miasta wylewała się z niego strumieniami, uciekając panicznie w obawie przed grupami desantowymi ze statków. Błękitnoskórzy usłużnie przygotowali obiecane wcześniej cenne metale, ale do zabrania było dużo więcej.

Na dół schodziły następne statki, i kolejne. Kilka z pierwszych, ciężko wyładowanych, uniosło się z powrotem w kosmos, i rozpoczął się proces odkażania ich kadłubów. Pomiędzy statkami, ciągle jeszcze pozostającymi na orbicie, a tymi które były już na ziemi, zaczęła się rodzić zazdrość. Statki, które wylądowały jako pierwsze, mogły sobie wybrać łupy. Wybuchły spory o priorytety, teraz, kiedy marynarka wojenna Weald, w oczywisty sposób uzyskała licencję na kradzież. Pomiędzy członkami zespołów naziemnych, pojawiło się zamieszanie. Dyscyplina zupełnie zniknęła. Ludzie w plastikowych skafandrach, zmienili się w grupę kręcących się na własną rękę osobników, szukających czegoś, co dałoby się jeszcze zrabować.

Wokół samej sieci pozostawały co prawda uzbrojone i czujne grupy desantowe, ale sama stolica Dara leżała otworem. Wracający z łupami ludzie, stwierdzali często, że ich statki już wystartowały, aby zrobić miejsce innym. Zostali upchnięci na okręty, których zespoły naziemne właśnie wracały na pokład. Coraz więcej ludzi znajdowało się na statkach, do których załóg nie należeli, a coraz mniej było na tych, na których powinni.

W międzyczasie połowa floty znalazła się na ziemi, nie próbowano już nawet, zatrzymywać statków na dole, do czasu kiedy wróci cała ich załoga. Było za wielu ludzi na innych jednostkach, żądających swojej kolejki do rabunku. Lista chętnych statków obejmowała rzeczywiście wiele pozycji, ale dla ludzi na ich pokładach, zupełnie przestało się to liczyć.

Pozostało jeszcze mniej niż piętnaście statków, na których możliwa do wypełnienia przestrzeń ładunkowa, ciągle jeszcze była pusta, kiedy czujnie monitorujący sytuację rząd Dara, przekazał najeźdźcom nową wiadomość. Zażądał, aby zaprzestać grabieży. Niezależnie od tego jak wysokiej zapłaty mogłaby domagać się Weald, zostało już zabrane pięć razy więcej. Nadszedł czas, aby to przerwać.

Było to zabawne. Admirał floty kosmicznej Weald, rozkazał, aby okręty przygotowały się do akcji. Statek z wiadomością odwołującą darańską flotę z Weald, został wysłany już dawno temu. Teraz już żaden inny kurier nie mógł przecież odlecieć! Daranie powinni zaakceptować konsekwencje swojego wyboru, swojego poddania, albo flota zacznie zrzucać bomby.

Calhoun właśnie uprzejmie poprosił wealdiańskiego admirała, o przyjęcie, kiedy zaczęły się kłopoty. Wcale nie na ziemi, absolutnie. Wszystko na dole było pod doskonałą kontrolą, zwłaszcza tam gdzie siły naziemne okupowały sieć lądowniczą, oraz na terenie bezpośrednio ją otaczającym. Kwatera główna admirała floty kosmicznej, znajdowała się biurze sieci lądowniczej. Raporty spływały normalnie, wydawano kolejne

rozkazy, pomiędzy ludźmi w plastikowych skafandrach wymieniane były odpowiednio służbiste saluty. Wszystko tam było w idealnym porządku.

Ale na statkach znajdujących się w kosmosie, zaczęła szerzyć się panika. Z komunikatorów dobiegały przerażające, przesiąknięte przerażeniem wrzaski. Krzyki. Zamarła wszelka sensowna komunikacja. Statki rzucały się szaleńczo w tą i z powrotem. Niektóre zniknęły w hipernapędzie. Co najmniej jeden zanurkował z pełną szybkością w darański ocean.

Admirał stwierdził, że dowodzi jedynie piętnastoma statkami, ponieważ tyle pozostało z jego całych sił. Reszta floty przechodziła okres histerycznego szaleństwa. Na niektórych statkach trwał on tylko kilka minut. Na innych ciągnął się pół godziny i więcej. Potem wisiały one tylko bezwładnie w górze, nie odpowiadając na wywołania.

W porcie kosmicznym pojawił się Calhoun, razem z podróżującym na jego ramieniu Murgatroydem. Zatrzymał go zdumiony oficer w plastikowym skafandrze.

– Przyszedłem tutaj – powiedział mu Calhoun, – aby porozmawiać z panem admirałem. Nazywam się Calhoun, jestem ze Służby Medycznej i jak mi się wydaje spotkaliśmy się z panem admirałem na bankiecie, kilka tygodni temu. Powinien mnie pamiętać.

– Będzie pan musiał poczekać – sprzeciwił się oficer. – Pojawiły się pewne kłopoty…

– Tak – przerwał mu Calhoun. – Wiem o tym. Pomogłem je zorganizować. Chciałbym wyjaśnić wszystko panu admirałowi. Musi wiedzieć co się stało, jeśli ma podjąć odpowiednie środki zaradcze.

Wszędzie panowało zdenerwowanie. Wielu ludzi w plastikowych skafandrach, ciągle nie miało pojęcia, że coś szło nie tak. Niektórzy właśnie się pojawili, przynosząc ze sobą łupy. Inni tłoczyli się z niecierpliwością na lądowisku, wokół włazów do śluz wejściowych statków, czekając na swoją kolejkę aby stanąć w strumieniu żrących gazów, które odkażą ich skafandry, a następnie spalić ich zewnętrzną powłokę, i szczęśliwie znaleźć się na aseptycznym pokładzie wealdiańskiego statku. Tam będą mogli oddać się rozmyślaniom o tym, jacy bogaci powrócą na Weald.

Ale sytuacja na górze była dziwna i wyglądała bardzo, bardzo złowieszczo. Toczyła się gorąca dyskusja. Wkrótce Calhoun stanął przed wealdiańskim admirałem.

– Przyszedłem do pana, aby coś wyjaśnić – uprzejmie zagaił Calhoun. – Sytuacja nieco się zmieniła. Co, jak jestem pewien, pan również zauważył.

Admirał wpatrywał się w niego płonącym wzrokiem przez dwie warstwy plastiku, które okrywały go niemal jak opakowanie bożonarodzeniowej paczki.

– Proszę się pośpieszyć! – ostro rzucił.

– Po pierwsze – powiedział Calhoun, – nie ma już żadnych błękitnoskórych. Jakaś epidemia, czy coś takiego, spowodowała że niebieskie plamy na skórze Daran, zniknęły zupełnie. Zawsze zresztą niektórzy z nich ich nie mieli. Teraz plam nie ma już nikt.

– Nonsens! – warknął admirał. – A poza tym, co to ma wspólnego z obecną sytuacją?

– No cóż, wszystko – odparł łagodnie Calhoun. – Wydaje się, że Daranie, jeżeli tylko będą mieli ochotę, mogą uchodzić za Wealdian. A więc, skoro mogą, to uchodzą. Wmieszali się między pańskich ludzi, mając na sobie plastikowe skafandry, dokładnie takie same, jak ten, z którego pan obecnie korzysta. W całym tym zamieszaniu z powracającymi rabusiami, dostali się na pokłady pańskich statków. W obecnej chwili, na górze nie ma już ani jednego okrętu, który nie byłby dzisiaj na ziemi, i który nie miałby na pokładzie od jednego do kilkunastu Daran –– już nie błękitnoskórych.

Admirał zaryczał. Potem jego twarz zrobiła się szara.

– Jeżeli uważa pan, że pańskie załogi zostały wystawione na kontakt z nosicielami zarazy z Dara, to nie może pan zabrać swojej floty z powrotem na Weald – delikatnie oznajmił Calhoun. – I tak nie pozwolono by panu wylądować.

Admirał wykrztusił przez zesztywniałe wargi:

– Wypalę wszystko…

– Nie – odparł Calhoun, tonem równie delikatnym jak poprzednio. – Kiedy rozkazał pan przygotowanie statków do akcji, znajdujący się na każdym ze statków Daranie, uwolnili gaz wywołujący panikę. Do wykonania tego zadania, potrzebowali jedynie małych, kieszonkowych pojemników z gazem. Mieli je przy sobie. Musieli potem tylko oddychać powietrzem ze zbiorników swoich skafandrów, tak by ochronić się przed działaniem gazu. Mieli je pod ręką. Niemal na wszystkich pańskich statkach, które są na górze, załogi oszalały z powodu działania gazu. Pozostaną w takim stanie, dopóki nie zostanie wymienione powietrze. Daranie zabarykadowali się w sterówkach większości, jeżeli nie wszystkich, pańskich statków. Pan nie ma już floty. Te kilka statków, które pozostało pod pańskimi rozkazami… Na każdą zrzuconą przez nie bombę, nasza flota na Weald zrzuci pięćdziesiąt.

Wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że lepiej by było, gdyby nie podejmował pan działań ofensywnych. Natomiast myślę, że oficerowie medyczni pańskiej floty, mogliby ruszyć się i dowiedzieć się czegoś o prawdziwym życiu. Nie ma żadnej potrzeby prowadzenia dalszej wojny między Dara i Weald, ale jeżeli pan się upiera…

Admirałowi wyrwał się z gardła zduszony dźwięk. Mógłby rozkazać aby zabić Calhouna, ale musiał wziąć pod uwagę pewien przerażający fakt. Marynarze jego floty, przebywający na ziemi, oddychali wealdiańskim powietrzem, ze zbiorników swoich skafandrów. Wystarczało go tylko mniej więcej do tej pory. Gdyby zostali wpuszczeni na pokłady ciągle jeszcze posłusznych mu statków, znajdujących się na orbicie, Daranie bez wątpienia zmieszaliby się również i z nimi. Nie było żadnej możliwości zabrania grup obecnie przebywających na dole, bez narażenia ich na kontakt z Daranami, tutaj lub na statkach. Nie było żadnej możliwości oddzielenia Daran.

– Ja… wydam odpowiednie rozkazy – głuchym głosem oznajmił admirał. – Nie wiem, jakie są wasze dalsze diabelskie plany, ale… nie wiem też, w jaki sposób was powstrzymać.

– Wszystko co będzie potrzebne – ciepło odparł Calhoun, – to otwarty umysł. Powstało pewne nieporozumienie, które musi zostać wyjaśnione. Należy także zrozumieć pewne praktyki zdrowia ogólnoplanetarnego, oraz odrzucić pewną liczbę uprzedzeń. Ale od zmiany zdania, nikt jeszcze nie umarł. Międzygwiezdna Służba Medyczna udowadnia to na okrągło!

Siedzący mu na ramieniu Murgatroyd, poczuł że nadszedł czas, aby wziął udział w rozmowie. Oznajmił:

– *Chee-chee*!

– Tak – zgodził się z nim Calhoun. – Chcemy wreszcie zakończyć tę robotę. I tak jesteśmy już opóźnieni.

Oczywiście nie było mowy, aby Calhoun mógł natychmiast odlecieć. Musiał przewodniczyć różnego rodzaju spotkaniom oficerów służb medycznych floty i urzędników opieki zdrowotnej z Dara. Musiał wyjaśniać, korygować nieporozumienia i delikatnie sugerować odpowiednie eksperymenty biologiczne, które udowodniłyby lekarzom z Weald, że na Dara nie ma już żadnej zarazy, niezależnie od tego co się działo trzy pokolenia temu.

Musiał siedzieć spokojnie, kiedy niezmiernie pewny siebie, młody darański lekarz –– którego imię brzmiało bodajże Korvan –– w dosyć wyniosły sposób, zademonstrował dowody, że dawna niebieska pigmentacja, była efektem wirusowym, zupełnie niezwiązanym z zarazą, który został całkowicie zlikwidowany przez bardzo trywialną epidemię tego to, a tego.

Calhoun przyjrzał się temu młodemu człowiekowi, jedynie z dosyć obojętnym i chłodnym zainteresowaniem. Maril mogła sobie myśleć, że jest on cudowny, nawet jeżeli to ona przekazała mu cały materiał do jego pracy. No cóż, zgodził się z nią, że jest cudowny. Calhoun wzruszył ramionami i zajął się swoimi własnymi sprawami.

Ustalono zwrot zrabowanych dóbr, obustronną, pełną i całkowitą zgodę, że Daranie nie są już nosicielami zarazy, jeżeli w ogóle kiedykolwiek nimi byli –– gdyby Weald nie udało się przekonać do tego innych planet, to sama Weald musiałaby przyłączyć się do Dara w izolacji od sąsiednich światów. Statek kurierski musiał odwołać dwadzieścia siedem okrętów, unoszących się przedtem wokół Weald. Większość z nich wykorzystywana miała być przez pewien czas do przewozu wołowiny z Orede. Inne miały sprowadzić z Weald więcej zboża. Oczywiście za odpowiednią płatnością. Niezbędna była wymiana misji handlowych między Weald i Dara. Trzeba było…

Minął pełny tydzień, zanim mógł wsiąść do małego Statku Medycznego i przygotować się do odlotu. Nawet wtedy były jeszcze pewne sprawy, którymi trzeba było się zająć. Nie można było zastąpić wszystkich zapasów żywności, które zostały usunięte wcześniej. Trzeba było zastąpić pewne próbki biologiczne, a inne zniszczyć.

Kiedy był już niemal gotowy do odlotu, na Statek Medyczny przyszła Maril. Nie wyglądała na specjalnie szczęśliwą.

– Chciałabym, żeby poznał pan Korvana – oznajmiła z żalem.

– Spotkałem go kiedyś – odparł Calhoun. – Myślę, że z czasem zostanie jednym z najwybitniejszych obywateli. Ma wszelkie niezbędne ku temu talenty.

Maril uśmiechnęła się, ale bardzo niewyraźnie.

– Ale pan go nie podziwia.

– Nie określiłbym tego w ten sposób – zaprotestował Calhoun. – Poza tym, jeżeli on jest tym, czego pani pragnie, to co ja mogę na to poradzić?

– Nawet pan nie próbował – powiedziała Maril. – Tak samo jak ja nie próbowałam zafascynować pana. Dlaczego?

Calhoun tylko rozłożył ręce. Ale popatrzył na Maril z szacunkiem. Nie każda kobieta była w stanie stawić czoła faktowi, że mężczyzna nie czuł się zmuszony, aby robić jej awanse. Czasami tak po prostu jest, i nie ma to nic wspólnego z pożądaniem, czarem, czy czymkolwiek innym.

– Ma pani zamiar za niego wyjść – powiedział. – Mam nadzieję, że będzie pani bardzo szczęśliwa.

– On jest mężczyzną, jakiego chcę – odparła szczerze Maril. – I wątpię, czy kiedykolwiek spojrzy na jakąś inną kobietę. Zależy mu tylko na wspaniałych odkryciach. Trochę tego żałuję.

Calhoun nie zadał oczywistego pytania. Zamiast tego stwierdził z zamyśleniem:

– Jest coś, czym mogłaby się pani zająć. To jest bardzo potrzebna rzecz. Służba Medyczna w tym sektorze, była strasznie źle zarządzana. Jest cała masa odkryć, które powinny zostać dokonane. Nie wydaje mi się, aby pani Korvana cieszyło gdyby ktoś wręczył mu je, podane na wielkiej srebrnej tacy. Ale one powinny zostać ogłoszone…

Maril odparła:

– Chyba domyślam się, o co panu chodzi. Podrzuciłam mu przecież wskazówki odnośnie sposobu zniknięcia tych błękitnoskórych znamion, tak. Ma pan dla mnie jakieś książki?

Calhoun skinął głową. Poszukał właściwych pozycji.

– Gdybyśmy zakochali się w sobie, Maril, jakiż byłby z nas zespół! Szkoda! Oto prezent ślubny dla pani, tylko proszę go dobrze schować.

Położyła swoją dłoń na jego.

– Lubię pana niemal tak bardzo, jak Murgatroyda! Tak! Korvan nigdy się tego nie dowie, i zostanie wielkim człowiekiem. – Potem dodała defensywnym tonem. – Ale nie wydaje mi się, aby on dokonywał swoich odkryć, wyłącznie na podstawie podrzucanych przeze mnie wskazówek. On sam również potrafi odkrywać wspaniałe rzeczy!

– Z których – wtrącił Calhoun, – najwspanialszą jest pani. Powodzenia, Maril!

Odeszła uśmiechając się. Ale kiedy znalazła się już poza statkiem, ukradkiem otarła oczy.

Wkrótce Statek Medyczny został wyniesiony na orbitę. Calhoun wycelował w następną planetę, znajdującą się na liście do odwiedzenia. Po niej miał już wracać do centrali sektora, przywożąc ze sobą zgryźliwy

raport, dotyczący napotkanych po drodze problemów i sposobu w jaki poprzednio sobie z nimi radzono.

– Wchodzimy w hipernapęd, Murgatroyd!

Potem gwiazdy ponownie zniknęły i zapanowała cisza, samotność i słabiutkie, niemal niesłyszalne serie szmerów tła dźwiękowego, które powodowały że na Statku Medycznym można było jakoś wytrzymać.

Po kilku długich, bardzo długich dniach, statek wyszedł z hipernapędu i Calhoun skierował go w stronę zaokrąglonej i zalanej światłem słonecznym planety. We właściwym czasie nacisnął przycisk komunikatora.

– Wzywam ziemię! – powiedział krótko. – Wzywam ziemię! Statek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia* zgłasza swój przylot i prosi o współrzędne do lądowania. Celem lądowania jest planetarna inspekcja zdrowotna. Nasza masa, pięćdziesiąt ton standardowych.

Nastąpiła przerwa, w czasie której wyemitowany komunikat pokonał wiele, wiele tysięcy mil. Potem przemówił głośnik:

– *Asklepios Dwadzieścia*, powtórz swoją identyfikację!

Calhoun cierpliwie ją powtórzył. Murgatroyd przyglądał się mu z rozjarzonymi oczyma. Być może miał nadzieję, że Calhoun pozwoli mu na kolejną długą rozmowę z kimś, po drugiej stronie komunikatora.

– Uprzedzam się – surowo oznajmił komunikator, – że jakiekolwiek oszustwo albo fałszerstwo, odnośnie twojej tożsamości lub celu lądowania, zostanie surowo ukarane. Nie pozwalamy tutaj sobie na specjalne ryzyko! Jeżeli chcesz lądować pomimo tego ostrzeżenia…

– Wchodzę w to – odparł Calhoun. – Proszę o współrzędne.

Zapisał je sobie. Jego twarz miała lekko zbolały wyraz. Statek Medyczny leciał dalej, na napędzie systemowym. Murgatroyd spytał:

– *Chee-chee*? *Chee*?

Calhoun westchnął.

– To prawda, Murgatroyd. Znowu się zaczyna!

KONIEC